

BŁP IMP. 73-6-2500250

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/374

1978



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

KSS "KOR" : **APEL DO SPOŁECZEŃSTWA**

W. SEBYŁA : **I ZNOWU TUPOT NÓG SOŁDACKICH...**

Zb. RAPACKI : **PRZYJEMNE ZŁUDY I NIEMIŁE REALIA**

WYWIAD Z DYREKTOREM ROZGŁOŚNI POLSKIEJ

RWE

J. LEWANDOWSKI : **POZA AKUMULACJĄ**

I SPOŻYCIEM

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Papież Jan Paweł II</i>	3
Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”:	<i>Apel do społeczeństwa</i>	4
Czesław Miłosz:	<i>Kartki dotyczące lat Niepodległości</i> ..	14
Władysław Sebyła:	<i>I znowu tupot nóg żołdackich</i>	19
Józef Mackiewicz:	<i>Powroty</i>	21

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Rapacki:	<i>Przyjemne złudy i niemiłe realia</i>	29
Bogdan Osadczuk:	<i>List z Pekinu</i>	50
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	55

SPRAWY I TROSKI

J. Giedroyc — G. Herling-Grudziński:	<i>Rozgłosnia Polska RWE — Wywiad z Zygmuntem Michałowskim</i>	59
--------------------------------------	--	----

K R A J

Józef Lewandowski:	<i>Poza akumulacją i spożyciem</i>	81
J. Ś.:	<i>Niecenzurowana prasa krajowa</i>	104

SĄSIEDZI

Bohdan Sahajdaczny:	<i>Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich</i>	111
Czytelnik:	<i>Nowe rosyjskie czasopisma</i>	122
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	129

CI, CO ODESZLI

Bolesław Sulik:	<i>Pan Adam</i>	132
Ludwik Cohn:	<i>Wspomnienie o Adamie Ciołkoszu</i>	135

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Warszawskie rozrywki jesienne</i>	139
---------	--	-----

KSIĄŻKI

Wit Tarnawski:	<i>Wzorowa historia literatury emigracyjnej</i>	143
Edward Możejko:	<i>Plastyka Sidura</i>	145
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	145



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	147
--------------	----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
—	<i>„Młodzi z POSK'iem”</i>	155



H. Grynberg, A. Koraszewski, „La Pensée Russe”, Depesza M. Rostropowicza i G. Wiśniewskiej do Papieża:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158
Dominik Morawski:	<i>Sprostowanie:</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1978

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Katarzyna Ciulis, Lackawanna, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 63,00
Wiktoria Felis, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 21,00
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA), po raz trzynasty	F. 21,00
Ryszard Głodkowski, 54130 St. Max, po raz piętnasty	F. 185,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz czwarty	F. 100,00
W. Kolaciński, Chicago, Ill. (USA)	F. 64,00
Janina Zyndram-Kościałkowska, 65310 Laloubère — zamiast kwiatów w Dzień Zaduszny na grób śp. Juliusza Mieroszew- skiego	F. 50,00
N.N. z Warszawy	F. 85,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz trzeci	F. 100,00
Szymański z Montrealu — zamiast kwiatów na trumnę śp. Zbi- gniewa Szpikowskiego	F. 90,00
W. z Lund (Szwecja), po raz drugi	F. 100,00
Z.M.K., Zoetermeer (Holandia), po raz drugi	F. 24,77
Bezimiennie z Australii, po raz siódmy	F. 90,00
Bezimiennie z Bergen (Norwegia)	F. 100,00
Bezimiennie z Park Ridge, Ill. (USA), po raz drugi	F. 520,80
W. z Lund (Szwecja) — na opozycję w Kraju	F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

W październikowej *Kulturze* podaliśmy wpłatę p. Tadeusza Brzostka z Paryża F.100,00 — „na pomoc dla opozycji w Polsce” podczas gdy nota winna była brzmieć: „Dla uczczenia pamięci zmarłego w Australii Andrzeja Cheiuka — na pomoc dla opozycji w Polsce”. Za to opuszczenie ofiarodawcę prze-praszamy.

WPLATY NA KSS „KOR”

Bronisław A. i Jan ze Sztokholmu — dla uczczenia pamięci Ju- liusza Mieroszewskiego	F. 20,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — dla uczczenia pamięci Adama Ciołkosza	F. 100,00
Jerzy Jawa-Jasielski, Hot Springs, Kansas (USA) — na apel „Konfederacji 76”	F. 105,00
Stanisław Jarosz, Union, N.J. — na apel „Konfederacji 76” ..	F. 42,00
Jurek z Polski	F. 20,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Ks. Władysław Kłos, Buffalo, N.Y. (USA) — na apel „Konfede- racji 76”	F. 126,00
W. Kolaciński, Chicago, Ill. (USA)	F. 84,00
Kolega K. z Polski — dla uczczenia pamięci Jerzego Dia- czyzny, por. A.K. obwód Tomaszów Lubelski	F. 50,00
Krystyna z Lund (Szwecja)	F. 200,00
Polish Workers Relief Committee, Polish American Congress Inc.	F.1680,00
Zjednoczenie Polskie w Afryce Południowej, Johannesburg ..	F.1950,00
Bezimiennie z Holandii	F. 50,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Papież Jan Paweł II

Kultura łączy się z całym narodem w radości i dumie, że po raz pierwszy Polak zasiadł na piotrowym tronie i że wybór padł na ks. Kardynała Karola Wojtyłę, którego indywidualność i wyjątkowe kwalifikacje pozwalają nam mieć przekonanie, że sprostą tak trudnemu zadaniu. Jego pontyfikat przypada bowiem w okresie ciężkim, jeśli nie tragicznym, nie tylko dla Kościoła, ale dla całej naszej cywilizacji.

Jest jeszcze za wcześnie na zanalizowanie tego historycznego wydarzenia i próby sformułowania tego, czego oczekujemy od pontyfikatu Jana Pawła II. Obecnie możemy tylko zsolidaryzować się z opinią pewnego księdza polskiego, zacytowaną 21. 10. br. przez korespondenta *Le Monde*, Manuela Lucberta:

„Dla nas, polskich katolików, wybór Kardynała Wojtyły jest wyzwaniem. Jest okazją do rachunku sumienia. Nie jesteśmy odpowiedzialni ani za nasze odosobnienie, ani za nasz prowincjonalizm. Ale to wydarzenie powinno nam dać siłę, żeby się z tego wyrwać, żeby stać się bardziej uniwersalnymi, a zatem i bardziej katolickimi”.

Chcemy jeszcze podkreślić, że nowy Papież wywołał ogromną falę nadziei wśród wszystkich chrześcijan w bloku sowieckim jak również u wszystkich ludzi na świecie, walczących o sprawiedliwość i wolność człowieka.

REDAKCJA

Miesięcznik *Kontynent* wysłał do Jana Pawła II telegram gratulacyjny następującej treści: „Wasza Świętość — razem z całym narodem polskim, razem z całą Europą Wschodnią, razem ze wszystkimi chrześcijanami świata jesteśmy głęboko uradowani wybraniem Waszej Świętości na tron papieski. Od tej chwili, jak nigdy przedtem, wzrok wszystkich cierpiących na ziemi jest zwrócony do Stolicy Apostolskiej.

W imieniu czasopisma *Kontynent* Władimir Bukowski, Natalia Gorbienievska, Władimir Maksimow, Ernst Nieizwiasty, Wiktor Niekrasow.

Apel do Społeczeństwa

Protest robotniczy z czerwca 1976 ujawnił głęboki kryzys życia gospodarczego i społecznego kraju. Okres dwóch lat, jaki upłynął od tego momentu, był dostatecznie długi aby można było oczekiwać od władz przynajmniej zarysowania perspektyw rozwiązania kryzysu. Niestety, w ciągu tych dwóch lat, nie usunięto przyczyn wybuchu, za to powstały nowe źródła napięć. Narastająca dezorganizacja i marazm pustoszą życie gospodarcze, polityczne, społeczne i kulturalne kraju. W tej poważnej sytuacji uważamy za swój obowiązek zwrócić się do społeczeństwa polskiego z oceną sytuacji i próbą wskazania dostępnych społeczeństwu środków zaradczych. Chcielibyśmy również, aby nasze oświadczenie stało się przestrogą dla władz przed kontynuowaniem polityki świadomego lekceważenia autentycznych problemów społecznych i uchylania się przed ich rozwiązaniem. Skutki takiej polityki wielokrotnie okazywały się dla społeczeństwa tragiczne, a wszelka za nie odpowiedzialność obciąża władze.

I

1. Odrzucona przez społeczeństwo w 1976 roku podwyżka cen artykułów żywnościowych została zastąpiona podwyżką utajoną. Prowadzona jest na szeroką skalę praktyka wypuszczania na rynek artykułów droższych, opatrzonych nowymi nazwami i wycofywania artykułów tańszych. Taktyką tą objęto szereg artykułów przemysłowych i większość spożywczych, nie omijając nawet pieczywa. Wzrost cen w handlu upaństwowionym odbił się rów-

nież na handlu prywatnym, powodując wielokrotny wzrost cen warzyw i owoców. Skalę tego zjawiska trudno określić, ale nie ulega wątpliwości, że łącznie z oficjalnymi zmianami cen inflacja jest znacznie wyższa niżby to wynikało z danych urzędowych.

Nieustannie wzrastają trudności zaopatrzeniowe, tak w dziedzinie artykułów przemysłowych jak żywnościowych. W sklepach, bez kolejek, bez ogromnych strat czasu lub bez protekcji i przekupstwa, nie sposób kupić wielu towarów.

Nie zdołano rozwiązać problemu zaopatrzenia ludności w mięso. Trudno za takie rozwiązanie uważać rozbudowaną sieć sklepów komercyjnych, w których cena kilograma kielbasy kształtuje się na poziomie dziennych zarobków średnio uposażonego robotnika (150-200 złotych za 1 kilogram). W ostatnim okresie, w kilkudziesięciu zakładach przemysłowych (np. Huta Warszawa, Zakłady im. Róży Luksemburg) wprowadzono deputaty mięsne. Nie wiemy, czy system racjonowania wyrobów mięsnych jest w chwili obecnej konieczny. Do momentu opublikowania przez władze państwowe pełnego bilansu mięsnego (produkcja, eksport, spożycie), zajęcie stanowiska w tej sprawie jest niemożliwe. Na pewno jednak ewentualny system racjonowania powinien obejmować całe społeczeństwo i być przez nie zatwierdzony. Utajona podwyżka cen i trudności zaopatrzeniowe powodują drastyczny wzrost kosztów utrzymania godzący przede wszystkim w najuboższe warstwy ludności.

2. W alarmującej sytuacji znajduje się służba zdrowia. Ciągący się latami stan chronicznego niedoinwestowania odbił się w ostatnich latach zmniejszeniem i tak niedostatecznej ilości łóżek szpitalnych (psychiatria, położnictwo: *Rocznik Statystyczny 1977*). Ciasnota oraz stan techniczny ogromnej ilości szpitali, od okresu przedwojennego nie poddawanych remontom kapitalnym, spowodowały powstanie w wielu szpitalach warunków sanitarnych stanowiących zagrożenie dla przebywających tam chorych.

Niedostateczne wyżywienie oraz brak leków w szpitalach i na rynku stanowią dodatkową przeszkodę w leczeniu.

Budowa specjalnego, nowoczesnego szpitala rządowego dla dygnitarzy w Międzyzlesiu oraz specjalny import leków mogą być w tym kontekście potraktowane jedynie jako wyraz pełnej świadomości władz co do stanu powszechnej służby zdrowia, a ściąganie od społeczeństwa składek na Społeczny Fundusz Zdrowia — jako cyniczne nadużycie.

3. W ciągu ubiegłych lat nie uległa również poprawie dramatyczna sytuacja mieszkaniowa. Ilość oczekujących w kolejce na własne mieszkanie rośnie z roku na rok, a okres oczekiwania wydłuża się. Towarzyszy temu systematyczny wzrost kosztów

budownictwa, obciążający w znacznej mierze budżety rodzinne (miesięczny czynsz wraz ze spłatami kredytu sięga w spółdzielniach mieszkaniowych sumy 3.000 złotych).

Władze usiłują kompensować dezorganizację gospodarki zaostrożoną eksploatacją robotników. Przeciętny czas pracy wielu grup pracowniczych jest często wydłużany. Kierowcy, górnicy, pracownicy budownictwa i wiele innych grup zawodowych, pracują po 10-12 godzin dziennie.

Pozbawianie górników dni stanowiących ekwiwalent za wolne soboty, obowiązkowa praca w niedzielę oraz system płac, w którym jednorazowa nieobecność, wywołana nawet najbardziej usprawiedliwionymi przyczynami (choroba, śmierć bliskich) powoduje stratę ok. 20 % zarobku miesięcznego, jest czymś, co można porównać jedynie z wczesnokapitalistycznym wyzyskiem.

5. Porównanie dziennych zarobków robotnika z cenami w sklepie komercyjnym ujawnia jeszcze jeden niepokojący fakt: narastanie społecznego rozwarstwienia. Nadmiernie (w niewielkim związku z kwalifikacjami) zróżnicowane są płace. Ogromne są również rozpiętości w wysokości emerytur. Mamy w Polsce rodziny żyjące w skrajnie trudnych warunkach bytowych i nieliczne, nieposiadające żadnych trosk materialnych. Dodatkowym czynnikiem zwiększającym nierówność społeczne jest istnienie przywilejów dla grup związanych z władzą; uprzywilejowane zaopatrzenie, specjalna służba zdrowia, przydziały mieszkań, działek budowlanych, dewiz, specjalne ośrodki wypoczynkowe — to tylko niektóre udogodnienia dostępne wąskim grupom kierowniczym. W konsekwencji, następuje wyobcowanie społeczne grup związanych z władzą i niedostrzeganie realnych problemów społeczeństwa. Gdy dowiadujemy się, że z funduszy przeznaczonych na rozwój rolnictwa buduje się ośrodek rządowy w Bieszczadach i wysiedla w związku z tym ludność miejscową (wieś Wołosate), to fakt taki musimy traktować jako dowód, że władze utraciły całkowity kontakt z rzeczywistością.

Coraz częściej mamy do czynienia z dziedziczeniem uprzywilejowanej pozycji rodziców. Zasada równego startu dla młodzieży staje się iluzoryczna.

W sytuacji, w której kryzys gospodarczy godzi w całe społeczeństwo, a szczególnie w warstwy upośledzone, zagwarantowanie specjalnych przywilejów grupom rządzącym budzi słuszny gniew i oburzenie moralne.

6. Zasadniczym elementem sytuacji gospodarczej, społecznej i politycznej kraju w ostatnich latach jest pogłębiający się kryzys rolnictwa. Ujawniają się skutki prowadzonej w ciągu trzydziestolecia polityki dyskryminacji i niszczenia rodzinnej gospodarki

chłopskiej. Mimo to, produkcja towarowa z jednego hektara użytków w gospodarce rodzinnej przewyższa produkcję towarową z jednego hektara użytkowanego w gospodarce upaństwowionej. Wciąż gigantyczne środki inwestycyjne kieruje się do PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, mimo że koszty utrzymania PGR-ów przekraczają wartość ich produkcji.

W ostatnich latach ze szczególną siłą wystąpiły trudności związane z ogólnym kryzysem gospodarki: brak węgla, nawozów, pasz, maszyn rolniczych, artykułów budowlanych. Ogranicza to zasadniczo możliwości inwestycyjne gospodarstw chłopskich i powoduje ucieczkę młodzieży ze wsi.

Dezorganizacja i korupcja w instytucjach skupu powoduje marnotrawienie już wyprodukowanych artykułów rolnych.

W chwili obecnej po wprowadzeniu odpłat na ubezpieczenie emerytalne rolników, finansowe obciążenia gospodarki chłopskiej wobec państwa przekraczają często połowę jej dochodów. Odmowa płacenia składek emerytalnych, na co zdecydowało się ponad 250.000 rolników w całym kraju, najlepiej charakteryzuje stosunek wsi do polityki rolnej państwa.

7. Ujawnione podczas wypadków czerwcowych łamanie zasad praworządności okazało się polityką powszechnie stosowaną. Bicie zatrzymywanych przez organa MO — to nie jednorazowe przypadki, ale usankcjonowana przez władze zwierzchnie forma samosądu milicyjnego.

Zebrane przez Biuro Interwencyjne KSS KOR materiały, opublikowane w Dokumentach Bezprawia, dowodzą pełnej bezkarności milicji i Służby Bezpieczeństwa. Nawet najdrastyczniejsze fakty zabójstw, dokonywane na osobach zatrzymanych, nie pociągają za sobą żadnych konsekwencji dla funkcjonariuszy winnych przestępstwa. W sprawie o zabójstwo Zbrozyny, aby ukryć prawdziwych sprawców, nie zawahano się przed sfabrykowaniem śledztwa i procesu sądowego, zakończonych śmiercią w więzieniu głównego świadka i skazaniem na długoletnie wyroki dwojga ludzi, którym nie udowodniono winy. Z działalności kolegów do spraw wykroczeń, których kompetencje znacznie rozszerzono kosztem sądownictwa, nie zachowuje się nawet pozorów przestrzegania prawa. Prokuratura generalna wbrew przepisom prawa nie reaguje na wpływające do niej zażalenia, a Rada Państwa, Sejm i Ministerstwo Sprawiedliwości pozostają głuche na wszelkie sygnały o zwyrodnieniu i anarchii szerzących się w aparacie ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

8. Uzurpowanie sobie przez Partię prawa wyłączności w niekontrolowanym niczym kierowaniu i narzucaniu ocen i decyzji we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia stworzyło szczególne

zagrożenie dla polskiej nauki i kultury. Drastyczne ograniczenie zakresu i swobody badań naukowych i ogłaszania ich wyniku, zwłaszcza w dziedzinach humanistycznych, jak filozofia, ekonomia, socjologia, historia, sztywne wymogi narzucanej doktryny, która dawno już wyzbyła się cech ideologii, przekształcając się w zbiór dyktowanych przez władzę dogmatów i dowolnych rozporządzeń, obsadzanie stanowisk naukowych niekompetentnymi, lecz posłusznymi wykonawcami poleceń aparatu politycznego — wszystko to uderza w polską kulturę, uniemożliwia nie tylko jej rozwój, ale nawet zachowanie i kultywowanie dotychczasowego dorobku. Literatura, teatr, film, — gałęzie kultury, w których dominuje słowo — szczególnie są narażone na arbitralne dławienie swobody myśli, unicestwienie twórczego działania. Kultura w tych warunkach martwieje. Literatura, tak istotny, choć niewymierny w swym działaniu składnik życia duchowego narodu, albo sprowadzana jest do roli wykonawcy zleceń władzy i zmuszana do całkowitego rozbratu z prawdą o otaczającej nas rzeczywistości, albo tolerowana jako nieszkodliwy „kwiatek do kożucha”. Samoobroną kultury jest podjęta przed paru laty inicjatywa publikacji poza zasięgiem kontroli państwowej i niezależna od deformującego zakłamania nauka.

System cenzury prewencyjnej uderza nie tylko w kulturę i naukę, lecz w całe życie społeczne i gospodarcze kraju. Cenzura tłumi nie tylko przejawy krytyki, ale wszelkie autentyczne informacje, które mogłyby dostarczyć społeczeństwu niepożądaną przez władzę samowiedzy o jego rzeczywistej sytuacji. „Książka zapisów i zaleceń” GUKPiW, opublikowana przez KSS „KOR”, ujawnia rozmiary ingerencji cenzury we wszystkie dziedziny życia. Na coraz rozleglejsze obszary milczenia, wyjąłowane przez dyskryminację żywej kultury współczesnej, wkracza w monstrualnie rozdętej i wszechobecnej postaci, uprzywilejowany przez politykę kulturalną produkt zastępczy — wielopostaciowa rozrywka, rozliczne festiwale przebojów piosenkarskich, licha namiastka kultury. Ona to stanowi w istocie główny obiekt upowszechniania i spełnia rolę zagłuszania głębszych aspiracji kulturowych społeczeństwa i systematycznego obniżania jego potrzeb duchowych.

Najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury objęci są zakazem publikacji. Ambitniejsze filmy nie są dopuszczane na ekrany, całe okresy historii współczesnej są przemilczane lub fałszowane. Prymas Polski, najwyższy autorytet moralny kraju, ostrzegał przed tym zjawiskiem, widząc w nim zagrożenie tożsamości narodowej i kulturowej społeczeństwa. Zagrożenie przez cenzurę kultury i sztuki było tematem obrad Związku Literatów Polskich i Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, a także przedmiotem wystąpienia Polskiego PEN-Clubu.

System dezinformacji zatacza błędne koło i nie omija również władzy, która go stworzyła. Jak podało *Życie Warszawy*, 65 % sprawozdawczych jednostek statystycznych napływających do Głównego Urzędu Statystycznego jest fałszowane, a ocenę tę należy uznać za optymistyczną. Na podstawie fałszywych informacji nie sposób podejmować prawidłowych decyzji. Paraliż musi objąć całe życie kraju.

Obawa przed własnym społeczeństwem powoduje, że władze nie są w stanie przedstawić mu prawdy o sytuacji. Propagowany jako wyjście z kryzysu tak zwany „manewr gospodarczy” okazał się zbiorem doraźnych, arbitralnych i nieskoordynowanych ingerencji w życie gospodarcze kraju. Skutkiem tej polityki jest postępująca dezorganizacja gospodarki:

- zamrożenie inwestycji spowodowało miliardowe straty w wyniku nieukończenia rozpoczętych już budów,
- drastyczne ograniczenie importu odbiło się wielotygodniowymi przestojami w fabrykach całej Polski,
- rabunkowy eksport artykułów żywnościowych pogłębił braki na rynku wewnętrznym,
- rozkład systemu planowania, przy jednoczesnym negowaniu gospodarki rynkowej i zachowaniu anachronicznego systemu kierowania przedsiębiorstwami przy pomocy nakazów i dyrektyw, pozbawił gospodarkę jakichkolwiek mechanizmów regulacyjnych.

System arbitralnych i nieodwołalnych decyzji władz partyjnopństwowych przypisujących sobie nieomyślność spowodował niewymierne spustoszenia w świadomości społecznej narodu. Tępienie niezależnych poglądów, wymuszanie bezwzględnego posłuszeństwa wobec wszelkich odgórnych dyrektyw kształtują w społeczeństwie postawy bezideowości i dwulicowości, sprzyjają szerzeniu się konformizmu, służalczości, karierowiczostwa. Te właśnie cechy stanowią rekomendację przy obsadzaniu stanowisk kierowniczych. Ludzie kompetentni, światli, samodzielnie myślący są pozbawieni możliwości awansu, a często nawet pracy.

Szerzący się nihilizm społeczny zaowocował pijactwem, cwaniactwem, korupcją i pogardą dla rzetelnej pracy.

Niezbędna jest zasadnicza reforma gospodarcza. Jednakże nawet najgłębiej przemyślane, najbardziej konsekwentne reformy nie będą w stanie niczego zmienić jeśli natrafiają na barierę społecznej obojętności i zniechęcenia.

Dyspozycyjne wobec PZPR Konferencje Samorządu Robotniczego nie ożywią gospodarki. Wyłonione spośród władz i im podporządkowane Komitety Kontroli Społecznej nie dotrą do

źródeł niegospodarności, korupcji i bezprawia. Jedynym rezultatem tych działań będzie wzrost dezorganizacji życia kraju.

II

W społeczeństwie polskim są ogromne rezerwy inicjatywy, aktywności i energii zdolne przełamać obecny kryzys. Warunkiem ich wyzwolenia jest umożliwienie powstania rzeczywistego przedstawicielstwa wszystkich środowisk społecznych. Niezbędne jest też opublikowanie prawdziwych danych dotyczących sytuacji gospodarczej i społecznej. Tylko przy spełnieniu tych warunków (współpracy władz ze społeczeństwem) możliwe jest opracowanie szczegółowego programu naprawy systemu gospodarczego i sytuacji społecznej. Program ten powinien zostać sformułowany w szerokiej dyskusji, z udziałem niezależnych ekspertów. Bez realizacji tych warunków wszelkie próby nawiązania kontaktu ze społeczeństwem muszą się przekształcić w dialog władzy samej z sobą.

1. Doświadczenia Grudnia 1970 i Czerwca 1976 wykazały, że możliwe jest skłonienie władzy do ustępstw w drodze społecznego nacisku. Jednakże skutki tych działań okazały się krótkotrwałe. Władze bardzo szybko odbierały zdeintegrowanemu społeczeństwu uzyskane zdobycze. Przeciwdziałać temu tylko może nacisk ciągły, powszechny i zorganizowany.

W końcu 1975 roku toczyła się dyskusja nad proponowanym przez władze PRL projektem zmian w Konstytucji. Propozycje sformułowane w tej dyskusji w listach i petycjach obywateli można uznać za nowe ujęcie celu niezależnej działalności społecznej. Celem tym jest zapewnienie wolności przekonań, wolności słowa i informacji, wolności zrzeszeń i zgromadzeń, wolności prasy, odpowiedzialności władz państwowych przed społeczeństwem. Działalność zmierzająca do tego celu powinna służyć tworzeniu więzi społecznych niszczonych w systemie monopolistycznej i scentralizowanej władzy. Powinna ona być podejmowana niezależnie od istniejących oficjalnie struktur organizacyjnych.

Nie bezsilna rozpacz, ale stanowcze, zdeterminowane i godne domaganie się przez społeczeństwo szacunku dla jego praw, może doprowadzić do ich odzyskania i stanowić drogę do naprawy Rzeczypospolitej. Wyrazem tego przekonania była opublikowana w październiku 1977 roku propozycja programu społecznego zatytułowana: Deklaracja Ruchu Demokratycznego, wypracowana w środowisku KOR i podpisana przez ponad 100 osób (Głos nr 1). Zarysowany w niej program samoorganizacji społeczeństwa jest alternatywą wobec rosnącego niebezpieczeństwa żywiołowego spo-

łecznego wybuchu, który mógłby postawić kraj w obliczu katastrofy narodowej.

Słuszność tak zarysowanego programu jest już dziś potwierdzona powstaniem szeregu niezależnych inicjatyw społecznych.

— Obronę interesów robotniczych podjął dwutygodnik *Robotnik*.

— Wobec kompromitacji oficjalnych związków zawodowych na Śląsku i w Gdańsku powstały grupy założycielskie wolnych związków zawodowych.

— Pod koniec lipca 1978 powstał Tymczasowy Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej, a na początku września Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej. Komitety te są niezależnym przedstawicielstwem 16 wsi w województwie lubelskim i 20 w województwie radomskim. Problematyce wsi poświęcony jest dwutygodnik *Gospodarz*.

— Demaskowanie aktów łamania praworządności i niesienie pomocy poszkodowanym legło u podstaw powstania Biura Interwencyjnego KSS „KOR”.

— Powstałe na wielu uczelniach w całym kraju Studenckie Komitety Solidarności stawiają sobie za cel przełamanie monopolu SZSP i odrodzenie niezależnego ruchu broniącego interesów studenta i uczelni.

— Odpowiedzią na zniewolenie i zakłamanie nauki było powstanie Towarzystwa Kursów Naukowych. Skupiona w nim grupa kilkudziesięciu wybitnych naukowców zorganizowała w ubiegłym roku akademickim serię całosemestralnych wykładów, na których kilkuset studentów mogło podjąć naukę w atmosferze powagi i prawdy nie hamowanej przez cenzurę i nie męczonej frazeologią polityczną.

— Monopol wydawniczy państwa jest przełamywany przez rozwijającą się prasę niezależną. Czasopisma społeczno-polityczne, Niezależna Oficyna Wydawnicza publikująca autorów skazanych przez władze na milczenie — wszystko to stanowi wyraz odradzającego się życia kulturalnego.

Nie jest to wiele, ale wystarczy dla udowodnienia, że niezależna, zorganizowana, skuteczna działalność społeczna jest możliwa. Im bardziej masowe będą niezależne organizacje, tym mniej narażeni na represje będą ich uczestnicy i tym skuteczniejsza będzie ich działalność.

III

Odradzająca się w ostatnich latach niezależna działalność społeczna polega na organizowaniu autentycznej opinii publicznej,

na obronie przed represjami, na formułowaniu rzeczywistych postulatów społeczeństwa i przełamywaniu państwowego monopolu rozpowszechniania informacji. Udział w takich działaniach dostępny jest każdemu.

1. Niezbędna jest jak najszersza dyskusja na temat społecznej i gospodarczej sytuacji w kraju. Nie zainicjuje jej władza, ale: a) każdy obywatel może i powinien zabierać głos na publicznych zebraniach, przedstawiać znane sobie fakty i domagać się od władz informacji, wysuwać żądania i doprowadzać do uchwalania ich przez zebranie. W taki właśnie sposób w lecie br. udało się w wielu przedsiębiorstwach osiągnąć wypłatę średnich zarobków za przestoje w pracy powstałe z winy dyrekcji. W taki właśnie sposób w 1956 roku społeczeństwo polskie brało udział w ogólnonarodowej dyskusji i zmuszało władze państwowe do daleko idących ustępstw; b) Każdy obywatel może i powinien inspirować w swoim środowisku dyskusję na temat warunków życia i pracy oraz gospodarczej i politycznej sytuacji w kraju. Dyskusje takie winny prowadzić do sformułowania autentycznych postulatów zmian we własnym środowisku zawodowym, inicjować prace nad programem naprawy Rzeczypospolitej. Winny też stać się zaczątkiem działań zarówno w obrębie oficjalnych struktur jak i poza nimi; c) Każdy obywatel może i powinien brać udział w przełamywaniu państwowego monopolu informacji. Służyć temu może na przykład rozpowszechnianie prasy niezależnej oraz informowanie niezależnych instytucji, o problemach swoich środowisk, o ich postulatach i żądaniach.

2. Niezbędne jest organizowanie się dla obrony swoich praw. Tylko ludzie zorganizowani mogą wybrać swoich rzeczywistych przedstawicieli. Wszyscy obywatele będący członkami związków zawodowych i odpowiadających im stowarzyszeń producentów rolnych, mają możliwość wybrać swych autentycznych przedstawicieli we wszystkich ogniwach związkowych i formułować program obrony interesów pracowniczych. Na przykład górnicy, oczekujący bezskutecznie likwidacji przymusowej pracy w niedziele i 12-godzinnego dnia pracy, mogliby uczynić te sprawy postulatem przy wyborach związkowych głosując tylko na tych kandydatów, którzy zobowiążą się walczyć o realizację tego postulatu. Obywatele, nie znajdujący możliwości działania poprzez skompromitowane z reguły organizacje oficjalne mają możliwość powoływać nowe, tak jak chłopci z Lubelszczyzny i Ziemi Grójeckiej w obronie swoich interesów powołali Komitety Samoobrony Chłopskiej. W taki sam sposób można postępować we wszystkich środowiskach społecznych.

3. Walczyć zawsze jest łatwiej w sposób zorganizowany.

Każdy strajk, każde zbiorowe wystąpienie załogi fabrycznej czy mieszkańców wioski osiągnie skutek jeśli będziemy działać solidarnie i w sposób zdyscyplinowany. Jest to szczególnie ważne wtedy, gdy przemoc władz wywołuje oburzenie, gniew, rozpacz. Współuczestników walki trzeba bronić jeszcze mocniej niż wysuwanych żądań. Bez organizacji i solidarności nie osiągniemy nic.

4. Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych stanowi — art. 19: 1) Każdy człowiek ma prawo do posiadania bez przeszkód własnych poglądów; 2) Każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii, prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów, bez względu na granice państwowe, ustnie, pisemnie lub drukiem, w postaci dzieła sztuki bądź w jakikolwiek inny sposób według własnego wyboru. Art. 22: 1) Każdy człowiek ma prawo do swobodnego stowarzyszania się z innymi, włącznie z prawem do tworzenia i przystępowania do związków zawodowych w celu ochrony ich interesów. Pakt ten został ratyfikowany przez Radę Państwa w marcu 1977 i stanowi obowiązującą wszystkich w Polsce normę prawną. Gdy społeczeństwo polskie potrafi się zorganizować dla obrony swoich praw, już w ten sposób zostanie zapoczątkowany proces przezwyciężania kryzysu społecznego, gospodarczego i politycznego. Najgłębszą przyczyną kryzysu w naszym kraju jest wywłaszczenie obywateli z ich praw, a państwo z suwerenności.

Warszawa, 10 października 1978.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Kartki dotyczące lat niepodległości

O wiele łatwiej dostać się nad rzekę Columbia, która wpada do Pacyfiku, albo rozbić namiot nad rzeką Athabesca płynącą do jezior polarnych, niż przeniknąć w tę strefę, gdzie zostały srebrne wężyki na kołnierzu ojcowskiego munduru. Jest wiosna tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, mieszkają na Nadbrzeżnej, tuż koło kościoła Świętego Jakuba, i kto by spodziewał się, że tak przechowa się w kimś ten zapach kwiatów, ławek, nieszpórów? Bryczką z żołnierzem na koźle jeżdżą wzdłuż Wilii, na Antokol i dalej, za miasto, gdzie nad rzeką stacjonują saperzy. I wszystko jest zielenią, zielenią przybrane baterie, oliwkowo-zielony pierwszy samochód pancerny i zieleń za oknami kiedy ojciec śpiewa:

*Nad brzegiem pięknych wód Loary
Tam były moje urodziny.
To stamtąd płyną dwa towary:
Przepyszne wstążki, karabiny.*

O kim tę piosenkę ułożono? O bronii z Francji przysłanej? O pancerce? A jeszcze śpiewają:

*Nad Stochodem, gdzie w wojence padł
Rośnie na mogile białej róży kwiat.*

I też na Nabrzeżnej, tylko u drugiego jej końca, bliżej przystani, pani Burchardtowa, stojąc z lewej, pamięta to, strony fortepianu, wywodzi z wysokiej szyi melodię mało zrozumiałej pieśni:

Szu miały muecha kawiarni

Na murach domów nad Wilią czyta: Piłsudski, i myśli: czemu napisali „ds” a nie „dz”, jak powinno być po polsku? I pani Strawińska i pani Niezabitowska i brat Marysi Pawlikowskiej Danek został lotnikiem, Wituś gdzieś daleko ze swoim pułkiem jazdy, Nina, wariatka, podobno wstąpiła do ułanów. Kiedy doktor Świeżyński wycina mu migdałki, boli dziwnie ale krótko i potem wolno jeść dużo lodów, a przypomina to sobie później siedząc w krześle dentystycznym kiedy doktor Hallatt śmieje się: „You are certainly not a complainer!”. Lody, czerśnie, już lato, wielkie nagłówki w gazetach i coraz więcej rozmów półgłosem. Przerwanie frontu znaczy dla niego tamto, z pierwszej pamięci: pylne drogi pod łuną dalekiego ognia artylerii, eszelony, koczowania, strachy. Zapchana brykami, furgonami, wózkami upalna szosa od Niemenczyna pozostanie dla niego samą ideą klęski. Będzie też mógł powiedzieć nie wprowadzając w błąd nikogo: znam pustoszące ulice miasta ze spojrzeniami zza przymkniętych okiennic. O zmierzchu ich wóz wyładowany betami i poszorem dla koni wjeżdża pod górę, zakrętami szosy która idzie przez Ponary na Landwarów, ale kiedy oglądnąć się, miasto w dole jest ciemne. Czym dla niego stały się później, kiedy był studentem, serpentyny tej szosy, jak patrzył z nich na miasto, nie może sobie teraz dokładnie przedstawić ani sprawdzić okoliczności, bo nie ma kogo zapytać, to było dawno i wszyscy umarli. Nie powinno tak być ale jest, że nawet srebrne wężyki na kołnierzu ojcowskiego munduru pojawiają się tylko jeżeli wróci melodia piosenki:

*Nad brzegiem pięknych wód Loary
Tam były moje urodziny.*

Wojna była wygrana i gwiazdy spokojne.

Topolowa i polna kraina uboga uchroniła skrzydła nad chatą bocianie i swój chleb znaczony znakiem krzyża.

Nikt nie miał wycinać lipowych alei ani osaczać wiosek nad ranem i wysyłać ludzi transportami na wschód.

Majsterkowie poszywający dachy słomą, wiejscy kowale, bednarze sposobiący beczki na porę kiszenia kapusty mieli pełne ręce roboty, jak i muzycanci na weselach.

Zachowana została bieda powszednia, bosonodzy pastuszkowie palili na ścierniach ogniska, gęsi gęgały na rozłogu i skrzypiały studzienne żurawie.

Czarne miasteczka okryte w dni jarmarczne wzorzystą derką i szczupiące z worka owies, w piątek wieczorem zapalały świece.

Drewniane szprychy klekotały nocą w polu i łuna szła od wieczornej zorzy, nie od przebudzonych miast.

Uczeń galicyjskiego gimnazjum, wyrobnik, panicz i gospodarski syn leżeli pod darnią zostawiając ojczyznę sprawom Króla-Ducha.

Zwyciezca, szlachcic o niepolskim nazwisku, gryzł wąs i nic nie mówił.

*„Wyszedt... na pola... żył i czarnoziem,
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu”.*

Gdybyż to jak jego ojciec układać płodozmiany, obmyślać co zrobią jutro czeladź i kumiecie!

„Sionki wysokie a glinami śliskie”

Gdybyż to mieć chociażby tyle mocy ile miał król-oracz, sędzia pod jabłoniami!

*„Ciągłe mnie wznosisz do się różo złota,
Zawsze widziana w przede dniach żywota”.*

Nie było jego państwa: żadne plemię nie chciało jego związku narodów.

„Ścigany wielkim genezyjskim krzykiem”

Nie było jego kraju: był inny kraj, który dostał za późno.

„Jestem jak żebrak zatrzymany w drodze”

A gwiazdy nad jego głową nie były spokojne, ale co w nich wyczytał, nie przydałoby się nikomu.

Trumna pod białym orłem złożona w królewskich grobach, ale serce gdzie indziej, w jego mieście, w jego stolicy.

I cóż to za spadkobierca korony Bolesławów, po którym znów bezdomność pobitych pokoleń?

*„Jak gdyby uśmiech był to, co należy
Tym świętym pieśniami — na których krew leży”.*

(Cytaty z „Króla-Ducha”)

Do Czechowicza

Możliwe, że umarli nie potrzebują raportów z ziemi i co działa się później oglądają w symbolu.

Ja jednak zakładam u ciebie niejakie zainteresowanie, przynajmniej twoim dalszym pobytem wśród żywych.

Staram się tedy opisać jaki pojawiaasz się teraz, na moim innym łądzie, w późnej błyskawicy.

Ciemnowłosy chłopak w niebieskim mundurze piechoty, maciejówka z orzełkiem i owijacze.

Bo byłeś przez dwa tygodnie żołnierzem w Dwudziestym Roku i tak byli ubrani aktorzy w twojej sztuce.

Którą Horzyca zdążył wystawić zanim rozpadły się nasze biurka w pokoju o skrzypiących posadzkach przy placu Dąbrowskiego.

Zanim ty zginąłeś od bomby, Szulc w Oświęcimiu, Szpak od kuli za to że nie poszedł do getta, Włodarkiewiczowa od ataku serca w New Yorku.

Więc nie dziwi mnie ten strój na tobie krążącym koło mnie i kiedy nagrywałem twoje wiersze w Linguistic Lab i dzisiaj, kiedy ich słucham.

Odebrane żywoty, znieważone ziemie i grzech, a twoja nuta czysta nad otchłanią.

Z żelaznych łóżek, reumatycznych suteryn, rozczochranych zawodzeń i szlochów, perkalowej nędzy.

Z wychodków w podwórzu, pomidorów na oknie, pary nad balią, zatuszczonych kajetów w kratkę —

Jak mogła wzbijać się ta skromna muzyka na młode głosy, ciemne pola przemieniająca?

Senne pola, trochę nagietków i malw, u moi matysi, u moi kochany.

Oddzielony skazą we krwi, świadomy Fatum: ale trwa tylko zaśpiew, o całym smutku nikt nie wie.

A to mnie udręczało przez te lata które żyłem po tobie: pytanie gdzie jest prawda niespamiętanych rzeczy.

Gdzie ty za twoimi słowami i wszyscy milczący i zaniemiałe państwo, które raz kiedyś było.

Czesław MIŁOŚZ

I znowu tupot nóg żołdackich...

Zamieszczony poniżej wiersz Władysława Sebyły ukazał się w jednym z ostatnich numerów tygodnika *Pion*, w roku 1939. Władysław Sebyła, ur. w roku 1902 został zamordowany w Katyniu w roku 1940.

*I znów tupot nóg żołdackich
i grzmiących sotni gwizd kozackich
gwieździsty nad Europą but
i mrowi się ludami wschód.*

*A na zachodzie werbli trzask
rozgwar motorów z nieboskłonu
i krok miarowy — wzywa łask
boga mocniejszych batalionów.*

*Ojczyzna moja, a ty trwasz
W żelaznym pogrążona gwarze
Światowidową, mroczną twarz
Zwracasz w cztery strony wraże.*

*I marzy Ci się chleb i miód
i szklane domy w rodnych sadach
i szczęśliwości pełen trud
pod gałęziami lip biesiada.*

*A niebo wokół się czerwieni
Ocknął się kontuszowy trup
przystają mędracy przerażeni
opustoszały widząc grób.*

*I znów? Czy znów? Kołowrót dziejów
W płonący krąg porywa nas
skończyły się sny kołodziejów
stalowy szumi, groźny las*

*Żelazne dęby dudnią głucho
toczy się mur, żelazny bór
nad koronami zawieruchą
znów szumi wiatr, znów śpiewa chór*

O mój rozmarynie...

Władysław SEBYŁA

Powroty

Ze wszystkich powracających na świecie najczęściej powracają: myśli. Może dlatego, że myśl nie ma w tym ani wyrachowania, ani celu. A ot, tak sobie, przy byle okazji, aby tylko powrócić. Jest na przykład jesień, liście żółkną. I nagle ni z tego ni z owego myśl powraca do jakiejś tam byłej jesieni. Tak się złożyło raptem. Do zanotowanej kiedyś w mojej książce „Bunt rojstów”. Bardzo dawno temu. Ani tej jesieni nikt pamiętać nie może, a i książki nie pamięta, bo i po co ona komu?

Bywał w Polsce niepodległej taki zwyczaj, że pewnego dnia na ulicach wszystkich miast, gdzie stacjonują garnizony, warczą bębny. Piękny to był zwyczaj, że zwolnionych po kilkuletniej służbie obowiązkowej żołnierzy odprowadza przez miasto, na dworzec, orkiestra wojskowa. Bębny wybijają im po raz ostatni karny, ale zarazem wesoły takt. Cóż za ogrom radości! — Powracało się przecież, pamiętam, chociażby tylko ze szkoły, chociażby na Boże Narodzenie, i już piersi rozpierał nadmiar tchu; a gdyby całą radość wessać wraz z mroźnym powietrzem, chyba by człowiek skostniał z radości... Wiosną zaś, po ukończonym roku, wszystkie wiatry chciało się zagarnąć w płuca, i książki stawały się lekkie jak puch, i leciało się z nimi do domu, do domu! Ani jednej złej twarzy na chodniku. Sami dobrzy ludzie, miasto dobrych ludzi, kula ziemiska dobrych ludzi! A przecież nie było w tym nostalgii, nie było za sobą koszar i lat drylu koszarowego, nie było bębnow które nogi podrywają do powrotu, do dawno niewidzianych stron.

Rozumiem tych zwolnionych żołnierzy bardzo dobrze. Ze w ostatnim werblu można zapomnieć wiele niesłusznych, ciężkich, bezmyślnych i jeszcze bardziej nieuniknionych przykrości rekruckiego życia. Nagle cała gehenna bierze w łeb, a zostają

beztroskie wspomnienia. Wtedy tych ludzi łatwo rozpoznać: mają twarze wesołe, a w ręku drewniane kuferki.

Była właśnie jesień. W jeden z takich dni, pełnych rozigranymi bębniami, wypadło mi akurat jechać z Wilna dawną koleją „poleską”, przez Lidę na południe, do Dawidgródka. Jest ranek. Jest, nie wiadomo dlaczego, i mnie wesoło na duszy. Jesień jak na oleodruku. Kurz kolejowy, zazwyczaj przykry, wydaje się być złotym w promieniach słońca. Złote są też liście, i te które opadają zwyczajnie, i te które trzymają się jeszcze na drzewach; złote ścierniska pól, i nawet dym z parowozu, który się na nie kładzie. Kontury krajobrazu ostre, a na stacjach wszędzie radość.

Ludzie tutejsi nie lubią uzewnętrzniać swoich uczuć, stąd pośada się ich o skrytość, nieufność, wrodzoną ponurość charakteru. Ale ten ranek jest wyjątkowy. Nie drażni mnie, że pociąg w Nowojelni stoi ponad przepisowe minuty postoju. Patrzę przez okno, wdycham sosnowe powietrze i obserwuję jak się pociąg rozładowuje; dziesiątki krzepkich postaci biegnie po peronie. Witają się ze sobą, żegnają z tymi, co jadą dalej. Machają czapkami, podają sobie ręce; niezgrabnie to czynią gdy chcą wykazać uprzejmość, pretensjonalnie szurgają nogami. A na budynku stacyjnym, jak zwykle, wielka na niebieskim tle, białymi literami reklama: „Odol”. Nikt nie wie, do czego to ma służyć. Przybili do ściany, znaczy trzeba. — Odjazd! Pociąg rusza, jak gąsienica pełen drgających rąk w oknach.

Na każdej stacji powtarza się ta sama scena, ale nie nudzi. W Mołczadzi wielkie zbiegowisko Żydów oczekuje powrotu swego bohatera. Jest! Zostawił karabin i maskę gazową w koszarach. Od jutra zabierze się do handełsu. Wszyscy śmieją się, poklepują przyjaźnie. Harmider wielki. Jedziemy dalej.

W Łunińcu pełno na dworcu. Stacja węzłowa. Z różnych krańców Polski przybywają zwolnieni żołnierze. Trzecia klasa trzeszczy, ale jedzie. Nadpisy: „Nie wychylać się” przestają obowiązywać. Z każdego okna wychylają się ludzie.

Zawracamy na wschód, do Mikaszewicz, to już w kierunku sowieckiej granicy. Ciągłe w pyłe, słońcu, a tam, het po horyzont, niezmierzone, żółtawo-zielone trawy błot poleskich.

W Łachwie stoi taki tłum, że z trudem zaledwie mogę się precyzyjnie do furmanek. Już siadłem, ale woźnica się rozgląda, ściga lejce, zapomina o mnie, wypatruje w tłumie znajomych twarzy. Uśmiecha się do grupy, w której młoda kobieta idzie za rękę z chłopem.

— Nu, szto, znajsza swojeho?

— Znajsza! — odkrzykuje piskliwie i znów wszyscy się śmieją.

Cmoknął na konia i pojechaliśmy. Lato było suche, rzeki na Polesiu mało mają wody. Przez rzekę Śmierć, która jeszcze wiosną rozlewała na dziesiątki kilometrów, jedzie się dziś w bród. Przejechali. Woźnica zamyślił się i opowiada:

— To kniazia kiedyś, Radziwiłła. On pokłiadał było swojej żonce, że będzie jej wierny do „śmierci”. Ale nie powiedział do jakiej. To znaczy jak przejechał na drugi brzeg rzeki, to i wolny, hulaj choć z byle jaką... Chytry był taki człowiek.

— Jaki to Radziwiłł?

— Chto jego wie, nia wiedaju i ja; dawno było, ludzie mówili. Wiadomo kniaź.

— A ładna pewnie była żona?

— Dziwo, szto u korola dy żonka chorosza! Pewnie, że była. Ja jej nie widział. Nu, ty! — zwrócił się do konia — kab ciabie wouki! — I chlasnął biczem.

Po upalnym lecie przyszła piękna jesień, nie porównać do niczego. Powietrze takie, że i w maju nie mogło być lepszego, ani takich rozległych mszarów. Ale ot i ciepła noc. Teraz poszła usypiana grobla. Dawno już zostały za nami ostatnie światła, i wymięliśmy ostatniego ze szczekających psów. Wiatr poniósł jego głos i rozpląnął w przestrzeni. Teraz tylko błota, łąki i gwiazdy.

Zaraz tworzy się tabor. Zupełnie samorzutnie; jedna furmanka zwolni biegu, ta z tyłu zatnie konia, a później jadą razem... Znow się dołączają inne, coraz ich więcej. Taborem jest jechać weselej i bezpieczniej w nocy. Dzwoneczki-kołokolcziki dzwonią podwiązane przy duhach. Krowy mają też na szyi i konie na pastwiskach. Bo Pan Bóg stworzył Polesie bardzo rozległe i pastwiska nie kończą się nigdy, chyba nad brzegiem Prypeci. A do Prypeci i jeszcze daleko.

Przed nami jedzie ksiądz, za nami Szłoma z Dawidgródka. Później naładowany wóz żołnierskimi kuferkami, a pasażerowie idą i jadą na przemian. Przodem jeszcze kilka furmanek; na jednej z nich dziewczęta wesoło rozmawiają. Daleka droga. Ciężka. Skrzypią wozy w piasku grobli.

Biorę na swoją furmankę ułana. Szabla i lanca, koń i mundur zostały w 18-tym pułku w Grudziądzu. Wraca teraz piechotą w wykrzywionych buciskach, bez palta, nastawił klapy marynarki, czapka krzywo nasadzona. Powraca do domu z Pomorza. Jeszcze ze 30 kilometrów. Dwa lata służby za nim, czarna noc drogi poleskiej przed ostatecznym celem. Nabrał akcentu twardej wymowy, jak życie rekruckie. Nikt by z tej wymowy nie poznał mieszkańca Dawidgródka.

Podziękował grzecznie, i opowiada o koniu jakiego miał.

O konkursach. Za jeden wyścig wziął aparat (fotograficzny, tłumaczy mi). Za rąbanie szablą...

— Łoży?

— Mhm, dostałem zegarek; dwadzieścia pięć złotych kosztował. Inne strony. Tu ledwie koń ciągnie w piachu, a tam szosy kostką wykładane...

Drobniutko zabrzęczał za nami dzwoneczek. Dołączyła nowa furmanka. Chłop zarzucił lejce na wóz i podbiegł żywo.

— Chłopcy, a z naszaj wioski służyć tam u Hrudziacu?

— Kto tam wi — odpowiada twardą polszczyzną ułan.

— Z jakoj? — pada głos z ciemności.

— Z Arłou...

— Nia słysząc było.

Ciemno jest. Tylko po bokach, hen przed nami migają ogniska pastuchów. Ktoś jedzie naprzeciw. Wozy ładowane beczkami. Toć przecie jutro doroczny kiermasz w Łachwie. Nie widać kto, ale ot, ktoś rozpoznał w ciemności:

— Zdarou Wasilij!!

— Aaa... Zdarowy mołodcy! Zdarowy chłopcy! Wiertajeciecia?!...

Wyminęliśmy. Ułan powraca do opowiadania o pomorskich gospodarstwach, o obozie ćwiczebnym w Grupie pod Grudziądzem...

— He! — przerwałem mu. — I ja tam byłem, na skróconym kursie dla podporuczników rezerwy! „Padnij”, „powstań”... Też piaski cholerne były.

— Cholerne — przytakuje.

Na niebie zamigotała gwiazda, spadła. Woźnica spojrzął w górę, westchnął po chłopsku i zaczął dopytywać się o kometę. Bo nie to, że głupie baby na wioskach, ale nawet w Łunińcu, a to i Pińsku, słysząc było, ludzie mówili o końcu świata.

— Bujanie gości — odzywał się po swojemu ułan. Ale zamilkł czegoś, też spojrzął na gwiazdy, też westchnął i nagle pochyliwszy się do woźnicy zagadnął półgłosem:

— Ty Żytniuka znajesz?

— Jakoho?

— Dy Żytniuka, Hołowacza, iz Horodka, miasnika.

— Aa... Hołowacza. Znaju, a jakże.

— Doczka jaho, nia wyszła zamuż?

— Marija-to? Zamużna, tak.

Nastało milczenie. Powracający po dwóch latach w rodzinne strony ułan poprawił się tylko na słomianym siedzeniu. Spojrzał w mrok; niby to ziewnął, ale wyczuć było, że sztucznie.

Przed nami ogników coraz więcej. Co to?

— Pripiać — jakby uroczyście zapowiedział woźnica.

Wjechaliśmy na most. Most ten leży tylko nad błotem i łąkami z jednej i drugiej strony. Po środku płynie Prypec, a obydwa brzegi łączy prom. Więc jest to raczej pomost, a zbudowany w ten sposób, że wyloty jego obniża się i podwyższa, w zależności od poziomu wody. Teraz jest sucho. Na lewym i prawym brzegu palą się ogniska, gęsto i długie, długie ciągną się stamtąd pieśni pastuchów, które nie mają końca, a tylko rozplývają się bez melodii. Milkną, i znów ktoś zaczyna śpiewać. A dzikie kaczki: „kwak, kwak!”... Zaczęły się przeloty. — Tabor hałaśliwie wjechał na pomost i toczył się z chrzęstem i tupotem kopyt, aż stanął przed poprzeczną żerdzią. Prom na tamtym brzegu.

— Eeeej! Heeeej! Padawaj, padawaaaaj!! — Poniosło za rzekę, nad łąką, nad płaską przestrzenią nocną, i odbiło się chyba o dawidgródecką puszcę. Wesoło wysypał się tłum byłych żołnierzy z furmanek, podeszli do bariery i wchłaniać poczęli noc nad Prypecią. Nagle z pobliskiego ogniska zerwał się chłopak, doskoczył do poręczy pomostu i rozjaśnionym uśmiechem wpatrzył się w twarz ułana. Ten zamrugnął przecierając oczy:

— Fiedzia! A ty szto tut rabisz?!

— Ech! naczuju bratcy! Czaho mnie śpieszyć... Oj, jak wiesieło! Tu i ludzi, tu i koni, i karowy, tu i dziauczaty, tu i kaczki! Hladzi, skolki ahniej! I w mieście nie bywajet. Ech-ma! — Powiodł szeroko ramionami obejmując nieboskłon nad ogniskami. A tyle było szczęścia w jego głosie, tyle spełnionych marzeń, że wszyscy ci, nie tylko z Grudziądza, zamilkli raptem. A że i pieśni właśnie ustały, słysząc było przez chwilę tylko jak kaczki kwaczą na wodzie, i podzwaniają dzwonki u duh, gdy koń przestąpił nogę na pomoście.

— Padawaaaaj, padawaaaaa!... — zapiał melodyjnie przewodnik i prom ruszył z tamtego brzegu na powitanie żołnierskich synów.

Po drugiej stronie Prypeci zaczął się las. Towarzysz mój podjął rozmowę na nowo:

— Dużo czego nauczył się człowiek we wojsku.

— O, tak — przytaknął woźnica i wyraził przekonanie, że ten co wraca z wojska to inny człowiek, i rozumu nabierze i światłości.

Ale na sąsiednim wozie powszechną uwagę przyciągnęło opowiadanie Szłomy. Był on w „ruskiem” wojsku, jeszcze z czter-nastego roku. W Mozyrzu, który teraz za sowiecką granicą.

— A Mozyr, wialikoje heto miasteczko? — już go nie widzieli... młodzi.

— O! — odpowiedział z odcieniem dumy Żyd. — Jak Pińsk.

Służył podczas pokoju, a później z wybuchem wojny w 1914 roku, na froncie. Naturalnie, trafił zaraz do niewoli. Jeść mało dawali. Wrócił po pięciu latach, ale już do Dawidgródka, gdzie przeniosła się rodzina. Ledwo konia przykupił i wóz dla handlu sprawił, przyszli Bałachowcy i ograbili. Później przyszli Polacy i ograbili. Pod Stolinem stali Petlurowcy. Strach. Później przyszli bolszewicy. Jak zaczęli grabić i zabierać bydło z obór radziwiłowskiej ordynacji, miejscowy Rewkom i chłopci, i mieszczanie powiedzieli: „to nasze! Nie dadzim wywozity!”. Uj, jakaja wyszła pieriestrietka!

Bolszewicy wycofali się z miasteczka i oblegli je. Po pewnym czasie ściągnęli większe posiłki, zagrozili spalaniem i wyrznięciem Dawidgródka. Wtedy uzbrojeni chłopci poddali się. Ale mimo to przyszedł „karatielny otriad” i ten spotkał biednego Szłomę na ulicy i zdjął mu ostatnie buty.

— Żydu co — odezwał się któryś — choć bez butów, a pieniądze w kieszeni zawsze ma.

Szłoma pociągnął nosem, i z przyzwyczajenia a nie z musu, zdzielił konia batem. Na wspomnienie „pieniędzy”, powrócił do wspomnień natury gospodarczej, do tematu jak tu się żyło przed rewolucją, przed wojną roku 1914: „Aj-aj-jajaj, jaki tu był handel, jaki tu był ruch! Jak ludzie zarabiali...”.

Męcząca droga. Grzęźnie w rychłym piasku świeżej grobli. A bokami stoi wilgotna puszcza. W niej przenikliwie krzyczą sowy. Kobiety z pierwszych furmanek próbowały zaintonować piosenkę, ale nie wyszło, bo wszyscy już zmęczeni, senni. Bardzo wolno zbliżamy się do celu. Do domów. Chłopcy milkną jeden za drugim. Dom wymarzonej nostalgii, będzie już rzeczywistym domem powszednim.

Na mego ułana czeka stary ojciec. Co on ma? Nic nie ma. Szewc. Z wiosną, gdy wody rozleją, jak inni rusza w drogę z nasionami. Nasiona warzyw i kwiatów dawidgródcekich z dawna słyną na Polesiu. Dużo rzemieślników przeistacza się wtedy w „domokrąźców”, choć słowo tu niepodchodzące... Płynię Horyniem w górę, aż do Stoliny, dalej jeszcze. Bywa Prypecią, a później Stochodem. Sprzedaje, niby to zarabia. Ciężkie życie. Nie utrzymasz się z niego. Jeden brat w Krakowie pracuje, drugi aż w Gdyni. Rozwłóczyli się po tej naszej Polsce. W pułku to choć o żarciu nie trzeba było myśleć. — Coraz bliżej, coraz bliżej.

— Czy to koniec lasu już?

— O, nieee!

Objazdka tylko. Wypada skrócić w błoto. — Ej tam! Stoooj! — A szto zdarłósia? — Ahnia nie majesz? — Ty, Jakow, bacz dobra, a to hrużko tuta, konia potopiti možna!

Z trudem wydostaliśmy się z błota. Z chrzęstem faszyny pod kołami; pot bije z zadów końskich. Wreszcie znowu płaskie łąki, daleko przed nami, powinno już widać światła Dawidgródka. Czemu nie dojrzeć?

— Musić mgła poszła z Horyni...



W Dawidgródku stanęłam w parterowym hoteliku przy głównej ulicy. Czy nazywała się ona: „Piłsudskiego”, „3-go Maja”, „Rydzia-Śmigłego”?... doprawdy nie mogę przypomnieć. Bokami ulicy szedł wysoki chodnik z desek, a pośrodku jezdni niebrukowana, pokryta w suche lata wysoką warstwą kurzu; zaś późną jesienią i wiosną głębokim błockiem sięgającym do połowy cholew. Nie w długich butach nie było zwyczaju chodzić. A szewcy znakomici bywali w Dawidgródku. Zaś we wsiowych łapciach radzono sobie tak jak powszechnie na Polesiu.

Hotel miał ubikacje na podwórzu. Wodę do mycia przynosiła do „numeru” dziewczyna w wiadrach. Należał on do Dawida Rabinowicza, i na szyldzie stało wypisane poprawnie: „Hotel Bristol”. Jakoś trzeciego dnia, przy rannym śniadaniu — [naczynia i noże, zgodnie z rytuałem, podawało się z odseparowanej szafki dla trefnych gości] — Rabinowicz sam nalewał herbatę z samowaru, wyjątkowo chmurny na twarzy. Wydawał się czymś zatroskany.

— Panu krepkiej arbaty, prawda?

— Mhm, mocną proszę, jak zawsze.

— Tak, uj, jaka straszna zbrodnia zdarzyła się.

— No, co takiego?

— Jest tu u nas mięśnik, Hołowacz jego przezywają. To on miał córkę, Marija jej było. To ona na wiosnę tego roku wyszła za mąż za jednego tu człowieka. To dzisiejszej nocy, jeden z tych, co to akuratnie z żołdatów powrócili, zabił ją na śmierć. Siekierą.

— O, ccco pan powiesz, panie Rabinowicz! Jak to zdarzyło się? Po pijanemu chyba, czy jak?

— Nie wiem ja. Policja rozbiera się teraz... Ale nie konieczne. Musić tam między nimi coś było wprzód...

— Uś, uś, uś... — stęknęła Hana, która weszła na ostatnie słowa. — Siekierą... Uś, taki zbrodniarz... Czy to człowiek? To zwierz nie człowiek...

— No — wtrąciłem sentencjonalnie — zwierz nie bywa zbrodniarzem; tylko człowiek może być zbrodniarzem. Czy nie w Grudziądzu on czasem służył?

— Kto jego tam wie, gdzie on badział się. Ja wiem? — wzruszył ramionami.

— Uś, uś... — Stara Hana była szczególnie przejęta tym zdarzeniem.



Wracam z Dawidgródka nie drogą kołową do najbliższej stacji Łachwa, lecz drogą wodną na Pińsk, i stamtąd dopiero koleją do Wilna.

Wracam na „Norwidzie”. Nieznany ani chłopom, ani żydowskim jego właścicielom, poeta ten pruje Horyń, Prypeć, Pine i płynie na zachód. Z kolei jest deszcz, który zlewa pokład i łączy błota z horyzontem. Musi być wielka cisza w bezkresie bagien, ale nad kabiną ustawiają beczki i tłuką się ludzie. Czasem syrena „Norwida” ryczy nad płaską przestrzenią, żeby zarobić troszki. Przybił do przystani, wziął z paru pasażerów, i poszedł dalej. Tłucze kołami: na zachód, na zachód. Z Dawidgródka do Pińska płynie 18 godzin. Płynie i sapie. Poeta wśród błot. A błota ciągną się bez wymiaru. Cóż za nastrój w taką szarugę.

Tymczasem nazajutrz znowu słońce. Znowu kaczkę, kurki wodne, dzikie gęsi i drobiazg w sitowiu. Milkną tylko gdy przełatuje jeden, drugi rybołów. Wprost z traw wyskakuje Pińsk nad wodą. Biały — bieleje kolegiatą jezuicką, katedrą, cerkwią. Z bardzo daleka go widać, bo Pan Bóg dał przestrzeń równą, zielono-żółknącą jesienią od dołu, niebieską — niebem od góry.

Wiele już razy płynęłam tym szlakiem. Nie tyle, oczywiście, co stary Iwan z Bereziec, który go znał sprzed pierwszej wojny od Gdańska do Chersonia, ale oceniam go lepiej. Bo Iwanu co? Zarobek, machorka i kawał chleba w głowie, a mnie — piękno. Zwracam mu uwagę:

— Pahladzi że, sonce to jakoje nad bałotami!

— Dyk hłazu, panok...

I stoimy oparci o poręcz, razem na suchym znów pokładzie, razem plujemy za burt do Piny, razem palimy, on fajkę, a ja „klubę”. Ot, i przypłynęli.



Teraz sobie przypomniałam. Była to jesień roku 1936. Czterdzieści lat temu, z hakiem.

Józef MACKIEWICZ

Archiwum polityczne

Przyjemne złudy i niemiłe realia

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

Dwa teksty, które się ukazały w dwóch kolejnych numerach *Kultury* (6/78 i 7-8/78), wydają się stanowić ważny przyczynek do dyskusji i przemyśleń na temat dalszych losów Polski. Chodzi o artykuł Socjusza „Ile jest dróg” i o tekst deklaracji P.P.N. w sprawach niemieckich, wzbogacający o dodatkową ważną pozycję ciekawy zbiór analiz i propozycji wysłanych z tejże oficyny. Teksty te wykazują niemałą zbieżność w wielu punktach, zwłaszcza w rozumowaniu i we wnioskach. Artykuł Socjusza budzi co prawda więcej wątpliwości niż tekst P.P.N., dużo *nota-bene* ostrożniejszy w swoich sformułowaniach, ale zastrzeżenia dotyczą praktycznie tej samej dziedziny i tych samych założeń. Dlatego też czuję się upoważniony do traktowania obu jako pewnego rodzaju całości, a więc i do łącznego ich omówienia.

Artykuł Socjusza zawiera świetną analizę sytuacji krajowej. Czytelnik oderwany od krajowych układów, zostaje z punktu wprowadzony w ich sedno i uzyskuje cenne i oryginalne perspektywy na bliską i dalszą przyszłość.

Podobnie trudno nie pochylić czoła przed trafną definicją istnej tragedii greckiej, w jaką uwikłana jest władza sowiecka: chodzi o podstawową sprzeczność między wymaganiami racjonalnego postępu gospodarczego i postulatem utrzymania aktualnego ustroju politycznego (dwie aspiracje, które się wzajemnie, i to jak najkategoryczniej, wykluczają).

Tak zarysowana analiza prowadzi do wniosków pod kątem orientacji polskich wysiłków niepodległościowych. Otóż do rozmowania, którego logiczności nie sposób podważyć została wprowadzona pewna ilość elementów dodatkowych, traktowanych chyba jako pewniki. Odnoszą się one przeważnie, choć nie

wyłącznie, do sytuacji na Zachodzie i noszą piętno dużej pochopności w ocenach, dając asumpt do obawy, że świadomość autorów nie nadała za tempem zaszłych przeobrażeń. Postanowiłem więc dorzucić tutaj moje trzy grosze.

Zaczniemy od układu sił na osi Wschód-Zachód. Tylko przyklasnąć tezie Socjusza, że „współczesna rzeczywistość polityczna i ekonomiczna jest niebywale płynna”, że „zmiany w międzynarodowym układzie sił dokonane w ciągu ostatnich lat 30-tu są olbrzymie, a ich proces bynajmniej się nie skończył”. Ale jeśli każde z supermocarstw doznaje niepowodzeń na arenie tzw. trzeciego świata, to polityka sowiecka w Afryce okazuje się dużo bardziej opłacalna, niż to wynika z oceny Socjusza (Algieria, Angola, Mozambik, a obecnie Etiopia), nie mówiąc o Bliskim i Środkowym Wschodzie azjatyckim (Irak i Syria jeszcze dla Kremla nie są stracone, ostatnio zdobył dogodną pozycję strategiczną w Afganistanie; kompensatą za klęskę w Egipcie jest obiecująca ewolucja w Turcji). Podobnie trudno się podpisać pod idylliczną wizję ewolucji w krajach trzeciego świata, która ma coraz bardziej potęgować ich rezerwę wobec Sowietów, podczas gdy ugruntowała się tam — i to na pokolenia — zasadnicza niechęć do dawnych kolonizatorów, których czyni się odpowiedzialnymi za przeszłe, teraźniejsze i przyszłe niepowodzenia wszelkiej natury.

Szukając oparcia dla polskich dążeń niepodległościowych Socjusz powołuje się na zbieżność interesów polskich i amerykańskich (co ma nam zapewnić pomoc Stanów), na możliwość włączenia zasobnej w energię Polski do Wspólnoty europejskiej, wreszcie na perspektywę korzystnej ewolucji stosunków polsko-niemieckich. To zagadnienie jest szerzej omówione w manifestie P.P.N., gdzie znowu optymistyczne zapatrywania na przyszłość stosunków polsko-niemieckich wiążą się z przyszłą integracją zjednoczonych Niemiec do Wspólnoty europejskiej.

Nie wspinałbym się na ambonę, gdyby autorzy obu tekstów zasygnalizowali trzy optymistyczne hipotezy, których urzeczywistnienie mogłoby przejaśnić polskie horyzonty. Ale na hipotezach nie wolno, dopóki nie przyobleką się w kształty realne, opierać konkretnej polityki.

1. Ameryka i Europa Środkowo-Wschodnia

Polityka amerykańska, na pewno od czasu Konferencji Teherańskiej (a to już czyni co najmniej lat 35), przyjęła zasadę podziału świata euroazjatyckiego na strefy wpływów, a od 1945

roku konsekwentnie jej przestrzega. Zdarza się nawet, że daje dowody niemałej energii kiedy chodzi o odsunięcie groźby zmiany *status quo* na rzecz Sowietów. Co więcej — Stanom zależy na utrzymaniu sytuacji, która dla Polski nie tylko jest, ale z każdym miesiącem staje się coraz bardziej nie do zniesienia (do tego stopnia, że nie sposób wykluczyć rozpaczliwych wybuchów).

Harmonia polsko-amerykańska wymagałaby bądź naszego dostosowania się do obecnej sytuacji geopolitycznej, a więc akcesu społeczeństwa do ustroju, który jest obciążony odpowiedzialnością za wszelkie zło, które się w kraju krzewi; bądź zmiany amerykańskiej polityki wobec naszego kraju i naszej części Europy. Nie zanosz się ani na jedno ani na drugie. Jeżeli Socjusz pochwycił jakieś w tym kierunku sygnały zza Oceanu — to tu, do nas, one nie dotarły.

W swoim czasie można było łączyć pewne nadzieje z programem obrony praw człowieka, zainicjowanym na progu kadencji prezydenta Cartera. Logika tego programu — o ile byłby on konsekwentnie realizowany — mogłaby prowadzić do kwestionowania przyczyn ustrojowych ucisku jednostek, a więc do globalnego postawienia pod pręgierz — w oczach opinii światowej — systemu, którego immanentną częścią są techniki prześladowcze. Jak wiadomo stało się inaczej i wysiłki amerykańskie ograniczają się do wynegocjowywania zwolnienia bardziej znanych dysydentów, co na zbyt duże opory ze strony sowieckiej nie natrafia. Do tego wszelkie naciski w tej materii, zwłaszcza gdyby ich przedmiotem miały być podstawowe wolności, trafiają siłą rzeczy w próżnię, jeśli równocześnie udziela się Sowietom jednostronnych koncesji w rokowaniach rozbrojeniowych, czyli rezygnuje z jednego ze środków nacisku. A ich posiadanie jest przecież niezbędnym warunkiem uruchomienia samego procesu. Co prawda arsenał zbrojeniowy nie jest tutaj atutem wyłącznym. Ostatnie lata stoją pod znakiem udanej presji na Sowiety via stosunki handlowe — pod kątem wypuszczenia poza granice ich terytorium coraz większej ilości Żydów sowieckich. Chodzi tu o przedsięwzięcie udane, skoro w miarę upływu czasu emigracja ta stale przybiera na sile. Jest to oczywiście zjawisko niezwykle pozytywne, gdyż ta kategoria obywateli sowieckich jest poddana dyskryminacjom i szykanom. Dobrze więc, że coraz więcej Żydów może się znaleźć poza zasięgiem władzy sowieckiej i oby z czasem udało się to wszystkim. Ale skądinąd wiadomo, że ta presja nie objęła swoim zasięgiem innych dziedzin i nic nie wskazuje na to, by w przewidywalnej przyszłości miało być inaczej. Tym bardziej że *business* amerykański, a jego wpływu na politykę zagraniczną nie wolno nie doceniać, patrzy na owe *iunctim* nieprzychylnym okiem i wywiera presję w celu uwol-

nienia wymiany handlowej z Sowietami od serwitutów natury pozahandlowej.

W tych warunkach, uwzględniając ogólne ramy stosunków amerykańsko-polskich, wyznaczone przez politykę amerykańską wobec naszej części Europy, pozostaje miejsce na wykorzystanie resztek polskiej „specyfiki” dla gestów i świadczeń amerykańskich o ograniczonym zasięgu, które bynajmniej nie kolidują w niczym z filozofią stosunków amerykańsko-sowieckich.

Jak wiadomo, ten teren wcale nie leży odłogiem. Panoszą się na nim sam tow. Gierek i uzyskuje pewne korzyści handlowe, a zwłaszcza kredyty na zakup zboża na dogodnych warunkach płatniczych. W krytycznych momentach zapewnia to zbankrutowanej polskiej gospodarce pewien margines „luzu” i zmniejsza tym samym ryzyko wybuchu. Innymi słowy — koncesje tego typu odpowiadają doskonale logice doktryny Sonnenfeldta, która wprawdzie została sformułowana — i to brutalnie — w okresie rządów poprzedniej administracji, ale w stosunku do której polityka nowej administracji nie wykazuje bynajmniej jakichś istotnych odchyleń.

2. Oparcie we „Wspólnocie”?

W systemie Socjusza i P.P.N. „Wspólnocie” europejskiej przypada rola ważna. Ma ona być czynnikiem, który przez sam fakt swego istnienia i swej konsolidacji korzystnie ustawia perspektywy naszej przyszłości. Nasze zasoby energetyczne czynią z nas atrakcyjnego partnera na przyszłość; co więcej — dokona ona pożądanej amortyzacji zagrożenia niemieckiego. „Niemcy, jako część Zjednoczonej Europy, muszą zatracać możliwość agresywnej polityki zagranicznej (nawet gdyby ją chciały wznowić)”, pisze Socjusz, a P.P.N. upatruje wręcz w „zasadniczej integracji Niemiec we Wspólnotę Europejską” jeden z dwóch warunków uznania przez Polaków, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie Polski (drugim jest „bezwzględne uznanie naszej granicy zachodniej”).

Boję się, że ta dialektyka oparta jest na sytuacji takiej, jaka istniała przed dziesięciu laty i nie uwzględnia zmian, które to dziesięciolecie przyniosło.

W 1968 roku, mimo przodującej roli zachodnioniemieckiego przemysłu, Wspólnota europejska — licząca wówczas 6 partnerów — była terenem dynamicznej ekspansji gospodarczej i warunkującego ją wysokiego poziomu inwestycji; kraje wchodzące w jej skład miały nie tylko w sumie, ale i wzięte poszczególnie, zdrowe finanse państwowe, zrównoważony bilans płatniczy i

silne waluty. Dwa z tych państw — Włochy i Francja — były widownią szybkiego uprzemysłowienia, uwzględniając w tym najnowocześniejszą technologię, a ich dochód narodowy rósł tak szybko w dziesięciolecie 1958-1968, że Francja miała widoki na dogonienie z czasem Niemiec, a Włochy na wyrównanie ogromnego opóźnienia w stosunku do reszty państw Wspólnoty. Na wiosnę 1968 roku jedna marka zachodnioniemiecka warta była F. 1,24 lub 155 lirów. Obecnie jej równowartość w tych dwóch walutach wynosi F. 2,30, a Lit 4,37. Porównanie tych danych daje pojęcie o rozbieżności polityk gospodarczych stosowanych tu i tam, jak i ich skutków. Ewolucja, która się dokonała na przestrzeni dziesięciolecia 1968-78, doprowadziła do kompletnego zachwiania równowagi Wspólnoty*. Nie pora tu na analizę przyczyn kryzysu, który postawił pod znakiem zapytania przesłanki ówczesnej *prosperity*. Wydaje się przecież, że niekorzystna zmiana warunków zewnętrznych winna była skłonić kraje o bardziej kruchych strukturach gospodarczych do wzmoczonej dyscypliny podatkowej i walutowej, podczas gdy kraje silniejsze mogłyby sobie pozwolić, od biedy, na luksus zachowania dotychczasowych przyzwyczajeń poprzez nadwężenie nagromadzonych rezerw. Stało się odwrotnie — to Niemcy zacisnęły pasa, dokonały dalszej racjonalizacji, nie wahając się uciec do polityki deflacyjnej i nie cofając się przed bezrobociem. Francja i Włochy żyły nie tylko z rezerw, ale i z pożyczek zagranicznych — czyli ponad stan. Widoki uzdrowienia tej sytuacji są nikłe z uwagi na imponderabilia polityki wewnętrznej obu tych krajów: wszelka próba sanacji musi narazić na szwank interesy korporacyjne tych kategorii społecznych, które są poplecznikami rządzącej większości. Rząd, który ośmieliłby się przypuścić energiczny szturm do tych bastionów podpisałby na siebie wyrok śmierci. Stąd przedłużanie się *ad infinitum* paradoksalnej sytuacji, kiedy to nadmierna konsumpcja indywidualna kategorii uprzywilejowanych idzie w parze z niewystarczającym poziomem inwestycji. W tym samym czasie Republika Federalna staje się coraz wyłączniejszym panem nowoczesnej technologii, a dystans dzielący ją od mniej dynamicznych partnerów nie tylko przestał się kurczyć (jak przed 1968 r.), ale stale wzrasta.

Rozszerzenie Wspólnoty przez przystąpienie do niej Wielkiej Brytanii, Danii i Irlandii sytuacji nie zmieniło, bo zadłużona po uszy (przede wszystkim u Niemców) Anglia nie może siłą rzeczy stanowić dla nich spodziewanej przeciwwagi. Co więcej —

* W ciągu ostatnich ośmiu lat stopa inflacji we Francji była dwukrotnie wyższa niż w RFN; w chwili gdy to piszę ceny francuskie rosną w tempie trzykrotnie szybszym niż ceny zachodnioniemieckie.

w latach 60-tych Republika Federalna odgrywała na arenie międzynarodowej rolę nieproporcjonalnie skromną w stosunku do swej potęgi gospodarczej (w przypadku Francji rzecz się miała odwrotnie). Przyczyna tego leżała w opcjach ówczesnej *Ostpolitik*. RFN kwestionowała istniejący *status quo* terytorialny, który w miarę upływu czasu stawał się w oczach wszystkich innych nienaruszalnym składnikiem porządku międzynarodowego. Energia zachodnoniemieckiej dyplomacji skierowana była na protesty przeciwko wszystkim inicjatywom, aktom, deklaracjom sojuszników, czy też państw neutralnych, które bezpośrednio czy pośrednio dawały wyraz zgodzie na istniejące w Europie Środkowej granice. Jałowość tych wysiłków stała się tak oczywista, że posłużyła jako punkt wyjścia dla nowego systemu i nowej polityki wobec Wschodu Europy, zainicjowanej przez Willy Brandta. Wbrew pozorom Republika Federalna zyskała na tej nowej orientacji niepomniernie więcej niż Polska.

Nic dziwnego, że pod koniec lat 70-tych Republika Federalna, której rola polityczna jest na miarę jej siły gospodarczej, stała się pierwszą potęgą Europy Zachodniej. W przewidywalnej przyszłości pozycja ta nie tylko nie powinna ulec zachwianiu, ale przeciwnie — wykazać dalszą konsolidację i to w każdym z dwóch możliwych wariantów. Bo na dwoje babka wróżyła: albo obecna Wspólnota zachowa swój dotychczasowy charakter osi krystalizującej dla gospodarczej organizacji Europy (niezależnie od tego czy państwa Półwyspu Iberyjskiego zostaną do niej przyjęte, czy nie); albo dokona się podział Europy Zachodniej na dwa człony: z jednej strony państwa, które stać na sprostanie sytuacji, a więc na odpowiedni wysiłek w zakresie innowacji technicznej, poziomu inwestycji, organizacji przemysłu, zwiększonej produktywności (*grosso modo*, obok RFN warunki te spełniają Holandia i w mniejszym stopniu Belgia, Luksemburg i Dania, a z państw spoza Wspólnoty — Szwecja, Norwegia, Szwajcaria i Austria); z drugiej te, które musiałyby szukać wyjścia z impasu na innej drodze, więc Wielka Brytania, Irlandia i wszystkie kraje łańskie. W obu wypadkach Republice Federalnej przypadnie rola kluczowa. Utrzymanie przy życiu Wspólnoty zakłada zachodnoniemiecką pomoc dla słabszych partnerów (zgoda na długoterminowe zadłużenie, udostępnienie części własnych rezerw środków płatniczych dla stabilizacji ich walut). Powodzenie systemu monetarnego, którego podwaliny zostały położone najprzód w Bremie, a ostatnio w Akwizgranie zależy oczywiście od zachodnoniemieckiej wspaniałości. Jest chyba rzeczą oczywistą, że Republika Federalna będzie wywierała coraz większy wpływ na przyszłą orientację zespołu, którego przyszłość wręcz zależy od zachodnoniemieckich opcji i impulsów. Jeśli Europa miałaby się rozpaść

mniej więcej po obu stronach linii dzielącej północ, w większości protestancką od katolickiego południa, to oczywiście dalszy proces koncentracji potęgi gospodarczej i siłą rzeczy politycznej będzie przebiegał na północy i to pod przeważającą kontrolą zachodnoniemiecką.

Warunki dla akcesu Polski — w obu wariantach — nie przedstawiałyby się specjalnie różowo. Przemysł polski z uwagi na jego dezorganizację i upiornie niską produktywność, skonfrontowany z zachodnią technologią, musiałby przyjąć podział ról przekreślający większość perspektyw związanych z programem inwestycyjnym ostatnich dwudziestu lat i zadowolić się rolą dostawcy półfabrykatów i energii, otwierając w zamian swój rynek dla produktów pracochłonnych o dużej wartości dodatkowej.

W przewidywalnej przyszłości szukanie — gwoździ uniknięcia zenującego *tête-à-tête* z Niemcami — oparcia w Europie Zachodniej, na którą pada coraz gęstszy cień zachodnoniemiecki, zakrawa na wystawianie czeku bez pokrycia. To tak jakbyśmy chcieli od decyzji czy opcji zachodnoniemieckiego kanclerza odwoływać się do arbitrażu... kanclerza zachodnoniemieckiego.

Napisałem na początku tego rozdziału, że poglądy na temat ewentualnej roli Wspólnoty w ugruntowaniu niepodległości Polski (a może nawet w jej zdobyciu!) ukształtowały się w funkcji sytuacji, która istniała przeszło 10 lat temu i zatem obecnemu obrazowi rzeczywistości absolutnie nie odpowiadają. Warto przecież zastanowić się jak będzie wyglądała ta sprawa za lat dziesięć, czy powiedzmy piętnaście.

Europa Zachodnia przeżywa nie tylko kryzys gospodarczy ale także — i nawet przede wszystkim — kryzys moralny. Dawny system normatywny legł w gruzach i dzisiaj jedyna widoczna energia zostaje obrócona na jego miazdzącą krytykę, czy wręcz negację. Nie widać niczego co by zakiełkowało, a zwłaszcza trwale wyrósł miało na jego miejscu. Komórka rodzinna ulega na naszych oczach rozkładowi, filozofia hedonistyczna, jak i ustalająca się — częściowo w jej funkcji — zatracone poczucie interesu ogólnego, odbija się katastrofalnie nie tylko na dyscyplinie społecznej, ale i na stopie przyrostu naturalnego. Nie widać sił zdolnych do utrzymania tej cywilizacji, nie mówiąc o jej obronie w wypadku — bądź co bądź prawdopodobnym — jej zagrożeniu. Poziom kulturalny gwałtownie się obniża a nic nie wróży poprawy na przyszłość skoro kryzys szkolnictwa — i to na wszystkich poziomach — przybiera coraz tragiczniejszy charakter. Dotychczasowy dobrobyt zasadał się m.in. na produktywności, na kompetencjach zawodowych pokolenia, które powoli przeka-

zuje agendy następcom o niższych kwalifikacjach i o innym nastawieniu.

Czy więc — przy założeniu, że los na przestrzeni ostatnich lat czterdziestu niezbyt dla nas przyjazny — nareszcie się do nas uśmiechnie i odzyskamy prawo samostanowienia — mamy prędko rewindykować miejsce w cywilizacji, która już teraz zdradza objawy dużego zmęczenia, a później może się znaleźć w stanie kompletnego rozkładu? Ale tak czy owak będziemy za słabi by móc w takim układzie spełnić naszą szczytną misję ocalenia Zachodu, oddając do jego dyspozycji i zasoby energetyczne, o których pisze Socjusz, i energię ludzką, której brak jeszcze bardziej tu się daje we znaki. Pozostaje zatem proces odwrotny, jako że widoki jego urzeczywistnienia przedstawiają się niepomniernie korzystniej: przeszczepić na nasz grunt wszystkie czynniki kryzysu moralnego, którego konsekwencje iść będą *crescendo* na przestrzeni najbliższych lat. To się może udać tym łatwiej, że już w chwili obecnej istnieją po temu korzystne przesłanki i to mimo odmienności ustrojowej i wbrew imponderabiliom geopolitycznym.

3. Niemcy Zachodnie na nowym, może zwrotnym etapie

Nie będę się rozwodzić nad przebiegiem polityki Niemiec Zachodnich wobec ich głównych partnerów zachodnich w okresie, który nas dzieli od zakończenia działań wojennych. Nie pora tu i miejsce na podobne przedsięwzięcie. Pokuszę się natomiast o sprowadzenie tego procesu do tego, co stanowi w moich oczach jego kwintesensję. Zachód dał najpierw Niemcom wszystko, co dać mógł, rezygnując tym samym z efektywnych środków nacisku i kontroli, a następnie zawiódł pokładane w nim nadzieje i to w dwojaki sposób. Naprzód wykazał kruchość i wręcz zakłamanie systemu ideologii politycznej, który miał się wznieść na ruinach poprzedniego porządku, a który Niemcy uprzątały ruiny miast przyjeży z zapalem neofitów. Następnie, w miarę jak lata i ich dziesiątki upływały, okazało się, że współpraca z Zachodem układała się na warunkach dla Niemiec Zachodnich coraz mniej korzystnych.

Okazało się najpierw, że adenauerowska koncepcja wymuszenia od Sowietów zjednoczenia Niemiec (tudzież rewizji granic) na drodze stworzenia i wyzyskania siły wojskowej i gospodarczej spaliła na panewce. Już w połowie lat 50-tych zaistniał parytet atomowy. Uświadomienie sobie jego konsekwencji nie długo kazało na siebie czekać i wyraziło się w koncepcji pokojowego współżycia, która wyznaczyła filozofię stosunków sowiecko-ame-

rykańskich na następne lat dwadzieścia. W tych warunkach sprawa zjednoczenia Niemiec została — jak wiadomo — odłożona *ad calendas graecas*, a wszelkie, nawet minimalne postępy na tej drodze uzależnione od inicjatyw zachodnioniemieckich i gotowości sowieckiej wyjścia im naprzeciw. Stąd cały system *Ostpolitik* jak i jej widoczne granice, bo każdy krok naprzód na tej drodze musi być opłacony koncesjami na rzecz Sowietów, tudzież — jeśli chodzi o sprawy drobniejszego autoramentu — świadczeniami finansowymi na rzecz wschodnioniemieckiego partnera.

Od układów Moskiewskich i Warszawskich upłynęło lat osiem. To dostateczny okres czasu, by wszyscy zainteresowani uprzytomnili sobie reguły gry, które ten system wyznaczył. Po stronie pasywów: konsolidacja polityczna NRD, przywileje natury gospodarczej czyniące z tego kraju nieoficjalnego członka Wspólnoty europejskiej dzięki klauzulom handlu międzyemieckiego, specjalne kredyty coroczne na szczególnie korzystnych warunkach (tzw. *Swing*) zapewniające Berlinowi Wschodniemu dostęp do nowoczesnej technologii i możliwość przeprowadzenia natychmiastowych inwestycji niezależnie od aktualnie istniejących możliwości płatniczych, ogromne serwituty finansowe za dostęp do Berlina Zachodniego w postaci ryczałtu za połączenia kolejowe, opłat za przejazd drogowy itp.*. Po stronie aktywów: możliwość podróży i to w obie strony, choć ograniczona u obywateli NRD do osób starszych, bardziej ożywione stosunki kulturalne, rozszerzenie programu współpracy gospodarczej, niewątpliwe polepszenie — *toute proportion gardée* — losu ludności wschodnioniemieckiej, opóźnienie czy osłabienie procesu rygorystycznego rozgraniczenia obu części Niemiec, który w uprzednim okresie szybko szedł naprzód.

Ale to wszystko stanowi efekt skromny wobec zamierzeń poprzedniej epoki, a kosztuje dużo, zwłaszcza że Republika Federalna jest też przymusowym kontrahentem handlu niewolnikami: władze wschodnioniemieckie pakują regularnie do wzięcia pewną ilość zachodnioniemieckich turystów pod zarzutem szpiegostwa, skazując ich na ciężkie kary, a następnie negocjują ich uwolnienie za ciężkie pieniądze. „Taryfa” przy tym wzrasta regularnie z roku na rok.

Tak więc Niemcy Zachodnie są — na tym tak ważnym dla przyszłości kraju odcinku — skazane na własne, co prawda pokające, siły i muszą na drodze przymusowych świadczeń wzmac-

* Właśnie weszły w końcową fazę rokowania między dwoma rządami niemieckimi odnośnie ulepszenia komunikacji na szlakach RFN-Berlin. Prace te przeprowadzi NRD i zainkasuje za nie 1,5 miliarda DM. Przypominamy, że ryczałt wypłacony Warszawie tytułem odszkodowań wojennych (Układ Gierke-Schmidt z 2. 8. 1975) wyniósł łącznie 1,3 miliarda DM!

niać gospodarkę konkurencyjnego państwa niemieckiego, którego nieukrywaniem celem na dłuższą metę jest rozprzestrzenienie własnego systemu na całość niemieckiego terytorium.

Jak wiadomo, zachodnioniemiecka kasa musi stawiać czoła i innym zadaniom. Naprzód — w ramach Paktu Atlantyckiego — RFN przyjęła na siebie zadanie i rolę, których koszty stanowią duże obciążenie dla jej budżetu. Bundeswehra, stworzona w drugiej połowie lat 50-tych *ex nihilo*, stała się w ciągu 20 lat najliczniejszą i najlepiej wyekwipowaną armią Europy Zachodniej. Może wynikać z tego tytułu gospodarcze i finansowe serwituty nie wydawałyby się tak ciężkie, gdyby inni partnerzy wywiązali się z zobowiązań, które przypadły im w udziale. Jak wiadomo RFN jest jedynym europejskim członkiem NATO, który uczynił to, czego od niego oczekiwano. Udział wszystkich innych w zbiorowym wysiłku ustalił się na poziomie dużo niższym od pierwotnie przewidzianego. Armia zachodnioniemiecka w zakresie sił konwencjonalnych jest — obok wojsk amerykańskich w Europie — główną zaporą przeciwko ewentualnym sowieckim planom agresji. W sytuacji pokoju odgrywa więc — po społu z amerykańskim arsenałem atomowym — rolę czynnika odstraszającego, a więc i puklerza dla mniej chętnych do odpowiedniego wysiłku partnerów. Na wypadek wojny armia ta poniosłaby największe straty, nie mając do tego widoków na obronę większości terytorium państwowego, które zresztą wobec nieuniknionego użycia broni atomowej uległoby najprawdopodobniej całkowitemu zniszczeniu. Sytuację obecną mogą Niemcy uważać z dużą dozą słuszności za niesprawiedliwą.

Wiadomo, że na początku tego dziesięciolecia Stany Zjednoczone zawiesiły wymienialność dolara i wykorzystały jego rolę jako waluty rezerwowej, na której się opierał międzynarodowy system monetarny, aby eksportować własną inflację do innych państw zachodnich. Bezpośrednim powodem tego były koszty wojny indochińskiej. Ale zaważyła również chęć zmuszenia sojuszników do poniesienia części kosztów amerykańskiego wysiłku zbrojeniowego. Powódz dolarowa została skierowana w pierwszej kolejności do krajów o silnej walucie i Niemcy Zachodnie pierwsze padły jej ofiarą. Stabilizacja pieniężna osiągnięta kosztem dużego wysiłku uległa zachwianiu, a stworzony w jej funkcji system wartości i przyzwyczajęń stanął pod znakiem zapytania. Narosło z tego tytułu trudności zostały przezwyciężone, ale m.in. kosztem bezrobocia, nie mówiąc o redukcji do połowy poprzedniej stopy wzrostu dochodu narodowego. Efekty pomysłowości amerykańskiej w tej dziedzinie zostały tym bardziej gorzko odczute przez zachodnioniemiecką opinię publiczną, że właśnie ich kraj był tym, który wykonał narzucony mu przez Amerykę program

zbrojeniowy i nie miał sobie w tym względzie nic do wyrzucenia, a ucierpiał na przymusowym gromadzeniu zielonych banknotów dużo bardziej niż sąsiedzi. Stosunki z tymi ostatnimi przysparzały dodatkowych kłopotów. Była już poprzednio mowa o wzrastającym zadłużeniu się w Bonn wszystkich zachodnich partnerów Republiki Federalnej. Wynika ono z niezrównoważonych wymian handlowych: partnerzy nie mogą dostarczać towarów czy surowców o wartości współmiernej z tym, co importują z Niemiec. Utrzymanie tego systemu wymaga finansowania przez Niemcy własnego eksportu i uruchamianie tym samym procesów inflacyjnych na własnym terenie. Na dłuższą metę wiedzie to do przechodzenia w ręce niemieckie części majątku sąsiadów (od fabryk po zamki, tereny budowlane i łowieckie).

Zobowiązania wynikające z istnienia i funkcjonowania Wspólnego Rynku stanowią dodatkowe obciążenie dla kieszeni zachodnioniemieckiego podatnika. Musi on płacić haracz tak z tytułu subwencji rolnych jak i z racji „funduszu regionalnego”, który finansuje inwestycje w mniej rozwiniętych rejonach krajów członkowskich — od włoskiego *Mezzogiorno* poczynając.

Sposób w jaki funkcjonuje Wspólny Rynek rolniczy urąga najbardziej elementarnie pojętym zasadom zdrowego rozsądku i — co więcej — w miarę upływu czasu godzi coraz bardziej w dobre pojęte interesy tych, którzy myśleli że zapewnią sobie w ten sposób trwałe korzyści. Chodzi tu przede wszystkim o Francję, a także i o Włochy. Racjonalizacja rolnictwa zachodnioeuropejskiego pod kątem wykorzystania właściwych każdemu uzdolnień dla uruchomienia masowej i taniej produkcji mogła zapewnić Francji szerokie, a więc niezwykle korzystne rynki zbytu i stać się jednym z głównych czynników postępu gospodarczego. Zamiast tego stworzono wdzięczne pole do tzw. rent sytuacyjnych dla tych, którzy produkują po niskich cenach, ale korzystają z wysokich cen sprzedaży, ustalonych w funkcji cen produkcji gospodarstw małych i sztucznie w ten sposób przy życiu utrzymywanych. Konsument płaci wysokie ceny, podwyższające koszty utrzymania, a więc i koszty produkcji przemysłowej. Obciążenie częścią kosztów tego przedsięwzięcia finansów zachodnioniemieckich nie mogło obyć się bez pogorszenia atmosfery stosunków francusko-niemieckich i bez ostudzenia zapału z jakim Niemcy podchodzili ongiś do procesu integracji europejskiej.

Oczywiście powyższy katalog zachodnioniemieckich powodów do niezadowolenia nie jest kompletny. Wydaje mi się, że figurują w nim jednak problemy najważniejsze i mam nadzieję, że tłumaczą powody rosnącego zniechęcenia, lub wręcz rozgoryczenia, które można obserwować w Niemczech zachodnich na przestrzeni ostat-

niego dziesięciolecia, a które na dłuższą metę muszą wywrzeć wpływ na orientację polityczną RFN.

Niemiec współczesny ze wzrastającą rezerwą odnosi się do konieczności świadczeń z tytułu układów, do których RFN przystąpiła w okresie swej słabości i pragnie wyeliminować na przyszłość ryzyko podporządkowania się interesom innych, i to niezależnie od tego, na jakie uzasadnienia ideologiczne mogą się oni powoływać. Od zakończenia działań wojennych upłynęła już trzecia część stulecia; poczucie winy za tamte czasy nie przemawia już nie tylko do tych, którzy się urodzili po zakończeniu wojny lub dla których wojna kojarzy się z wczesnym dzieciństwem, ale i do tych którzy byli za młodzi, aby im wówczas mogła przypaść jakaś czynna rola. Najstarsi ludzie tej ostatniej kategorii dochodzą już do pięćdziesiątki i oni powoli przejmują ster władzy i odpowiedzialności w swoje ręce. Co więcej — wojna wietnamska z jej korowodem okrucieństw i gwałcenia zasad, których przestrzeganie winno byłoby być jedną z racji bytu armii amerykańskiej, wywołała poważny wstrząs opinii zachodniemieckiej i niewątpliwie przyspieszyła proces rewizji poglądów na Amerykę, jak i zresztą na wartość zasad, które są podłożem światopoglądu obowiązującego w świecie anglosaskim.

Dlaczego stawiać Niemców pod pręgierz za to samo, co inni uważają za normalne, kiedy są sami tego sprawcami i co nadto uchodzi im bezkarnie? Grunt do takich wątpliwości przygotowała już przedtem wojna algierska.

Nic dziwnego, że na tym tle odżywa nacjonalizm, rozumiany w nowym kontekście jako pierwszeństwo interesów niemieckich i że okres, w którym Republika Federalna była najpilniejszym i najposłusznijszym uczniem Ameryki wydaje się należeć do przeszłości. Republika Federalna przejmuje pochodnię gaullistowska w dziesięć lat po maju 1968, który stanowił właściwy kres gaullistowskiej ery.

Te tendencje znajdują oczywiście swoje odbicie w sytuacji na szachownicy wewnętrzno-politycznej. W koalicji u władzy z silnym kanclerzem a kruchą podstawą parlamentarną oś krystalizacyjna sytuuje się na prawym skrzydle S.P.D. (lewe zostało z rządu usunięte i praktycznie odsunięte od wpływu na jego orientację). Punkt ciężkości silnej opozycji chadeckiej przeniósł się wyraźnie na prawe skrzydło, które nadaje ton całości i które w sytuacjach konfliktowych zmusza resztę do podporządkowania się jego tezom.

Ton tej orientacji nadawała trójka: Strauss (*Königsmacher* — od jego zgody zależy dotychczas nominacja na przywódcę całości Chadeccji) — Falbinger (kandydat na Prezydenta) — Dregger

(kandydat na Kanclerza). Jeżeli Strauss pozostaje na placu boju, ponieważ ostatnie wybory do Landstagu nie zachwiały jego pozycji to jednak kariera Falbingera została zakończona (został skompromitowany wyrokami śmierci na marynarzy niemieckich w latach 1944-45), a Dregger przegrał właśnie wybory w Hessji i trudno mu się w tej sytuacji ubiegać, o sukcesję po Kohlu. Można zatem żywić nadzieję, że te wydarzenia nie pozostaną bez wpływu na orientację niemieckiej Chadeccji i że może jej lewe skrzydło jeżeli nie weźmie góry, to przynajmniej dojdzie do głosu.

Rzecz ciekawa, że obecny układ sił ma także i wewnętrzno-polityczną przyczynę: chodzi o zjawisko kontestacji młodzieżowej, której fala przeszła przez Niemcy Zachodnie w drugiej połowie lat 60-tych, a której skrajni pogrobownicy nie schodzą niemal ze sceny aktualności dzięki aktom guerilli wielkomiejskiej. W swoich początkach proces ten nie był pozbawiony obiecujących aspektów skoro postawił w stan oskarżenia niedawną przeszłość i usiłował — nie bez powodzenia — pozbawić komfortu moralnego tych tak licznych przedstawicieli starszego pokolenia, którzy swojego czasu przyłożyli rękę do haniebnych czynów, a teraz znajdowali uzasadnienie dobrego mniemania o sobie w cnotach mieszczańskie filisterii. Proces ten — gdyby się rozwinął i ugruntował — wyszedłby oczywiście na korzyść sąsiadom Niemiec, od nas poczynając. Tymczasem zaś osobliwa logika przywiodła ten ruch na tak skrajne pozycje, że stał się straszakiem i doprowadził do ustalenia konsensu społecznego na przeciwnym biegunie. Oczywiście początkowe pozytywne skutki tego zjawiska zostały rychło pogrzebane, pozostali przy życiu starzy hitlerowcy, jako tradycyjni rzecznicy „porządku” publicznego, mogli wygrażać nihilistom, wybierając w ten sposób poklask ulicy. I tak dziecko zostało wylane z kąpielą.

Świadome swej siły Niemcy Zachodnie stoją na nowym etapie powojennej drogi, zajmując przy tym kluczową pozycję w układzie sił Wschód - Zachód. Nie sposób przewidzieć orientacji, którą obiorą i która oczywiście zaważy na losach całej Europy. Konsekwentne posuwanie się naprzód po szlaku wyznaczonym przez *Ostpolitik* wiodłoby RFN na pozycję neutralności: w zamian za odejście od Wspólnoty zachodniej nowy status dla obu, podzielonych części Niemiec. Nie insynuuję tu bynajmniej, że takie perspektywy przyświecały twórcom tej koncepcji z Willy Brandtem i Herbertem Wehnerem na czele. Ale przedsięwzięcia polityczne, zwłaszcza gdy są zakrojone na dłuższą metę, osiągają często byt samostanny i podlegają regułom właściwej im logiki, niekoniecznie zamierzonej czy nawet przewidzianej przez projektodawców.

Podobnie nacjonaści z prawego skrzydła CDU - CSU bynajmniej nie zabiegają o względy sowieckie, a ich program w zakresie polityki zagranicznej domaga się konsekwentnie wzmocnienia sojuszu zachodniego i energicznego przeciwstawienia się sowieckiej ekspansji. Tym niemniej absolutny brak poparcia Zachodu dla postulatu jedności niemieckiej sprawia, że logika tej orientacji powinna zawieść jej rzeczników na pozycje porozumienia z Kremlem. Kto wie czy właśnie Strauss nie stawia na tej drodze pierwszych kroków.

Natomiast można zaryzykować dwa pewniki: Europa Zachodnia nie jest zdolna ostać się w warunkach nawet względnej niezależności w wypadku secesji RFN; ze swej strony Sowiety, przy założeniu że obecny model gospodarczy nie ulegnie zasadniczym przeobrażeniom, nie są w stanie wyjść ze strukturalnego kryzysu gospodarczego, jeśli im potencjał zachodniemiecki nie zostanie udostępniony w tej czy innej formie. Ta sytuacja może w niedalekiej już przyszłości dać asumpt do zażartej licytacji.

Co prawda — jak to wykazały ostatnie lata — świadomość polityczna Niemiec Zachodnich nie nadąża za tempem wzrostu ich siły i proces wyciągania wniosków przebiega z dużym opóźnieniem. Oddajmy tu sprawiedliwość politycznym szachistom sowieckim, że potrafili antycypować w stosunku do możliwej ewolucji i zawczasu przygotować pociągnięcia zdolne przynieść pożądane rozstrzygnięcie. Ta asymetria może jednak prowadzić do zabawnych nieporozumień, czego dowodzi wizyta tow. Breżniewa w lecie 1973 roku w Bonn. Sowiecki gość roztoczył przed zdumionymi gospodarzami oszałamiającą perspektywę współpracy gospodarczej na gigantyczną skalę (nieograniczony dostęp do surowców i nieograniczone rynki zbytu) oraz odmrożenia problemu niemieckiego. Gospodarze nie byli przygotowani do dyskusji nad takimi propozycjami i bodajże zbyli je możliwie uprzejmymi kpinami.

4. Stosunki polsko-niemieckie

Chciałbym na tym etapie podjętych rozważań zapewnić Czytelników, od Socjusza i autorów memorandum P.P.N. poczynając, że jeśli to co wyczytali do tej pory robi wrażenie krytyki pod adresem Niemców, to nie odpowiadałoby to ani moim przekonaniom ani moim intencjom. Wychodzę z założenia, że polityka zagraniczna każdego państwa jest funkcją jego własnych interesów, które mogą być zgodne lub sprzeczne z interesami innych; na wyznaczenie dla tej polityki zadań na krótką i daleką metę wpły-

wa stosunek sił własnych do cudzych, istniejący obecnie, a także spodziewany w przyszłości.

Nie jest winą Niemców, że Zachód jest taki, jaki jest ze wszystkimi konsekwencjami, jakie to stwarza dla niego samego i dla innych. Nie sposób winić Niemców za ewentualny brak ochoty do obrony Zachodu aż do ostatniej marki czy do zaprzestania własnych interesów gwoili wierności zawartym soюзom. Podobnie nie wystarczy chyba sygnalizowanie niekorzystnych skutków, które wynikają dla nas z obecnego układu sił, aby brać udział w historii antyniemieckiej, reżyserowanej swego czasu przez propagandę komunistyczną, która oddała tyle usług Kremlowi, jak i PZPR. Obowiązkiem każdego z nas — i was tam i nas tu — jest podejść do tej sprawy rzeczowo, unikając zabarwienia emocjonalnego.

Ze zdumieniem wyczytałem pod piórem Socjusza, że „choćby okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie — na długą metę od wieku XVII począwszy głównym niebezpieczeństwem była Rosja”. Oczywiście, jeśli wyłączyć doświadczenia lat 1939-45, to Polacy, tak indywidualnie jak i zbiorowo, więcej ucierpieli od Rosjan niż od Niemców, ale tłumaczy się to przede wszystkim różnicą poziomu cywilizacyjnego tych dwóch narodów. Natomiast polskim interesom państwowym zagrażały w sposób decydujący Prusy, skoro w samym naszym istnieniu upatrywały śmiertelne dla siebie zagrożenie, a nasza zagłada była nieodzownym warunkiem ich historycznej kariery. Już na przestrzeni XVII wieku, dzięki osłabieniu Rzeczypospolitej w wyniku wojen kozackich i szwedzkich, dokonana się emancypacja Elektora. Już na progu XVIII wieku powstanie Królestwa Pruskiego, podzielonego jeszcze polskimi ziemiami, było zapowiedzią *finis Poloniae*. Toż przeważająca część jego terytorium leżała na wschód od Odry i Nysy, a więc na ziemiach skolonizowanych kosztem Polski. Wiek XIX bynajmniej tego antypolskiego ostrza polityki pruskiej nie stępił, a utożsamiał ją nie tylko Bismarck, którego portrety wiszą *nota-bene* w niemal wszystkich biurach dygnitarzy państwowych RFN.

Dziewiętnastowiecznego Polaka do desperacji przywodziła brutalność, niechlujstwo i prymitywizm narożnego stójkowego i po tej osi krystalizowały się jego poglądy na sprawę polską, podczas gdy równocześnie, ale w sposób mniej dla godności osobistej zainteresowanych dotkliwy, polski stan posiadania na ziemiach zaboru pruskiego był przedmiotem śmiertelnego zagrożenia. Warto przy tej okazji przypomnieć, że mimo rozbiórów i polityki rusyfikacyjnej wpływy kulturalne i gospodarcze żywiołu polskiego przeważały na niemal wszystkich obszarach, które wchodziły w skład przedrozbiorowej Rzeczypospolitej i to aż do wybuchu

pierwszej wojny światowej (świadczy o tym choćby wynik wyborów do pierwszej Dumy). Dopiero bolszewizm rozprawił się i z polską kulturą i z polskim żywiołem i z polską własnością na terenach między Dnieprem i Bugiem, likwidując w ten sposób owoce 700-letniej ekspansji kulturalnej i gospodarczej i to mimo, że polska ekspansja polityczna na Wschód została zahamowana już 300 lat przed Rewolucją Październikową.

W tej mierze w jakiej powinniśmy uwzględniać doświadczenia historyczne w wypracowywaniu polskiego programu niepodległościowego, nie wolno nam zapomnieć o precedensie przymierza pruskiego z 1790 roku, które miało rozszerzyć naszą swobodę ruchów, odegrało rolę gwoźdźca do naszej trumny.

W naszej pamięci, a zwłaszcza w naszej świadomości, winny być ponadto zawsze przytomne dwa inne, bliższe nam czasowo, precedensy. Jednemu na imię Rapallo, drugiemu Locarno. Mają one wydźwięk tym bardziej złowróżbny, że zdają się nieźle pasować do obecnej sytuacji, jako że odpowiadają dwóm głównym możliwym opcjom polityki niemieckiej i dobrze obrazują natychmiastowe konsekwencje każdej z nich.

W takim układzie, jaki powstał na gruzach Trzeciej Rzeszy, pogodzenie się Niemców z nowym *status quo* granicznym na Wschodzie nie było niemożliwe z uwagi na ogrom doznanej klęski. Wystarczyło konsekwentnie tego od nich wymagać. Tymczasem zaledwie w 16 miesięcy po zakończeniu działań wojennych słynna mowa Byrnesa w Stuttgarcie dała już asumpt do narodzin programu rewizjonistycznego. Musiało upłynąć 20 lat, żeby zaistniały nareszcie przesłanki dla wyrównania sporów narosłych między Republiką Federalną a Polską. Okazała taka zaistniała w okresie rządów Wielkiej Koalicji, tj. w latach 1966-69, i została zmarnowana przede wszystkim z winy reżymowych władców Polski, których służalstwo wobec Wielkiego Brata i kompleksy zrodzone przez własną, powszechnie znaną nieudolność powstrzymały od wyjścia naprzód ewolucji, którą wówczas wszyscy uważali za nieuniknioną. Zamiast tego, woleli wlec się w jej ogonie, wyciągając aż do ostatniej chwili kasztany z ognia dla Ulbrichta.

Można było wówczas wygrać dwa atuty: naprzód wykorzystać sielankowe wówczas stosunki niemiecko-francuskie i posłużyć się naciskiem Paryża na Bonn pod kątem przyjęcia gaullistowskiej koncepcji (sformułowanej na wiosnę 1959 roku) zgody Niemiec na *status quo* graniczny w wypadku ich zjednoczenia na zasadach pokojowych. Naciski francuskie pod tym kątem widzenia mogłyby być uruchomione gdyby i stronie polskiej takie postawienie sprawy odpowiadało. Dobrze pojęte interesy polskie znalazłyby w takiej klauzuli dużo lepsze zabezpieczenie niż w

późniejszym uznaniu przez Republikę Federalną granicy na Odrze i Nysie przy obecnym kontekście podziału Niemiec i Europy i oczywiście na okres jego trwania. „Zagrożenie” niemieckie w tejże sytuacji było, rzecz jasna, natury werbalnej i wbrew pozorom podpis niemiecki, najpierw pod traktatem moskiewskim, a następnie pod traktatem warszawskim, żadnej zasadniczej zmiany sytuacji tu bynajmniej nie przyniósł.

Drugim atutem był fakt sprawowania rządów przez Wielką Koalicję tj. dwie wielkie partie, których łączny potencjał wyborczy był wówczas bliski 90 %, a w międzyczasie ten próg przekroczył. Niełatwo do znalezienia w sprawie polskiej wspólny mianownik między CDU i SPD mógł wówczas łatwiej się skryształizować dokoła takiej klauzuli. Dalej — osiągnięte na takich zasadach porozumienie zostałoby wówczas zaakceptowane przez zachodnioniemiecką opinię publiczną. W drugiej bowiem połowie lat 60-tych dokonywał się rachunek sumienia, droga do odzyskania indywidualnej i zbiorowej równowagi moralnej wiodła wówczas poprzez wysiłki pojednania z narodem polskim i znalezienie z nim płaszczyzny wspólnych interesów.

Zażyrowanie przez opinię zachodnioniemiecką *status quo* granicznego z Polską wymagało przecież nie tylko przyjęcia odpowiedzialności za popełnione na Polakach zbrodnie (wiadomo, że od tej odpowiedzialności NRD się uchyla), ale także i pogodzenia się — choćby *ex post* — ze sposobem jej urzeczywistnienia. Jeżeli ogrom tych zbrodni pozostaje bez precedensu, to brak też precedensu do utraty 100.000 km² z pozostawionym tam mienniem, do odmowy prawa powrotu 3,5 milionom osób, które uciekły przed wkroczeniem wojsk sowieckich czy wreszcie wysiedlenia ponad 3,5 miliona tych, którzy uciec nie zdołali.

Nic dziwnego, że niemało Niemców, którzy przyjmowali zasadę odpowiedzialności, nie wyrażało zgody na ekspiację win na tej drodze, podczas gdy zachodni sąsiedzi Niemiec zadowolili się odszkodowaniami materialnymi.

Skoro tak wyjątkowa okazja została zmarnowana, problem polsko-niemiecki doczekał się następnie tylko załatwienia formalnego, które niczego definitywnie na przyszłość nie przesądza. Przypomnijmy, że zachodnioniemiecka Chadecja, która traktatu warszawskiego nie atakuje, ale która też jego klauzul terytorialnych nie zaakceptowała, osiągnęła w ostatnich wyborach powszechnych 48,6 % głosów wobec 50,5 % uzyskanych łącznie przez obie partie rządowe.

Wreszcie została zaprzepaszczone i inna okazja, gdyż istniały wówczas korzystniejsze warunki do uzyskania wysokich odszkodowań, a to z uwagi nie tylko na lepszy klimat polityczny, ale i z racji doskonałej koniunktury gospodarczej.

Jak wiadomo stało się inaczej. Kierownictwo reżymowe nie wykorzystało ówczesnego marginesu swobody wobec Kremla (następca już nim dzisiaj nie dysponują) dla przeforsowania korzystnego dla Polski układu i wołało zabezpieczyć swoje własne, małołostkowe interesy ograniczając się do wypełnienia paru pustych miejsc pozostawionych w układach moskiewskich, gdzie zapadły już decyzje o wszystkim, co było istotne.

Nie pora tu na bilans traktatu warszawskiego. Wiadomo, że z punktu widzenia odszkodowań przypadły Polsce mizerne ochłapy, że sprawa odszkodowań indywidualnych została załatwiona w formie ryczałtu wyraźnie dla obu partnerów wygodnego: dla rządu federalnego bo zaoszczędził masę pieniędzy, dla towarzyszy z Warszawy bo mogli zabrać pieniądze przeznaczone dla „podopiecznych”, nie pytając się oczywiście ich o zdanie.

Co gorsza, układy Gierka - Schmidt z 2. 8. 1975 roku otworzyły drogę do dalszego ogąłania Polski z sił żywotnych via emigracja „Niemców z Polski”, której tekst PPN słusznie poświęca tyle uwagi. Chodzi tu o inną formę handlu ludźmi niż ta, która stanowi omówiony już wyżej aspekt stosunków między oboma państwami niemieckimi. Na osi RFN - PRL cena towaru jest dużo niższa, przypuszczalnie z racji przymusowej sytuacji, w jakiej znajduje się partner warszawski, zważywszy rozmiary jego gospodarczego bankructwa. Niedługo nie będzie już w Polsce — poza cmentarzami — ani pozostałych na jej terytorium w 1945 roku autochtonów, ani ich urodzonych w Polsce dzieci. Kto wie, czy proces wyprzedawania ludzi nie rozciągnie się w przyszłości pod łącznym naciskiem RFN i konieczności płatniczych także i na inne kategorie potencjalnych „Niemców”.

Nie sposób się zresztą temu dziwić. Pod koniec lat 70-tych PRL ukazuje się Niemcom Zachodnim jako kraj do tego stopnia źle rządzony, że nierządem stojący, gdzie znane a ujemne skutki ustroju gospodarczego przybierają obrót dużo groźniejszy dla interesów i przyszłości państwa niż gdziekolwiek indziej i gdzie *rebus sic stantibus* wyjścia z obecnej, jakżeż ponurej sytuacji nie widać i nie ma. Niemcy wiedzą, że operatywność ogromnego programu inwestycyjnego gierkowej ery nie przekracza, według najbardziej optymistycznych szacunków 30 % (to znaczy, że 70 % zakupionych dóbr inwestycyjnych ulega zaprzepaszczeniu na skutek bałaganu, niekompetencji, przestojów itd.), podczas gdy spłata kredytów wymaga zwrotu całości plus procenty, co stanowi ogromne obciążenie. Tłumaczy to nie tylko przewlekły i coraz dotkliwszy kryzys żywnościowy, ale i zahipotekowanie i to na lata znacznych zasobów polskich surowców.

Taka Polska to znowu wyraźna zachęta dla sąsiadów do uzyskania doraźnych korzyści.

Wróćmy w tym miejscu raz jeszcze do zacytowanego na początku zdania Socjusza, że „Niemcy, jako część zjednoczonej Europy muszą zatracić możliwość agresywnej polityki zagranicznej”. Zgoda, jeśli rozumie się pod tym próbę wymuszania na nas ustępstw poprzez groźbę użycia siły, co w aktualnym układzie politycznym jest wykluczone. Ale nawet w ramach takiego układu może nastąpić zwrot w orientacji Wielkiego Brata, dla którego „perswazja” pod naszym adresem może się stać monetą przetargową w wielkiej grze o Niemcy, czy zwłaszcza o dostęp na dogodniejszych warunkach do niemieckiej technologii.

O losie Polski może zadecydować stan w jakim się znajdzie w przełomowym momencie. W tym może leży klucz jej przyszłości na najbliższe lata.

5. Do czego możemy dążyć i na co wolno nam liczyć

Tak tezy Socjusza jak i program PPN wybiegają w dość daleką przyszłość. Odpowiadające im rozumowanie przyszłościowe musi mieć siłą rzeczy jako punkt wyjścia sytuację o zbyt licznych i zróżnicowanych składnikach, by jej kształt można było z góry uchwycić w oparciu o obecne tendencje ewolucyjne każdego z determinujących ją czynników. Socjusz, moim zdaniem, słusznie zakłada, że konflikt chińsko-sowiecki wprowadzi zasadnicze zmiany w istniejącym obecnie układzie i że w miarę upływu czasu, stanowiąc coraz silniejsze zagrożenie dla Sowietów, będzie absorbować w coraz wyższym stopniu ich uwagę i ich siły.

Ale nie sposób zakładać — gwoili wygody intelektualnej — zastygnięcia w bezruchu zanim ten proces nie dojrzeje, innych sił działających w różnych kierunkach, które zdolne są przeorać głęboko przyszłą rzeczywistość, wprowadzając do niej zmiany na nie mniejszą skalę.

Założmy przecie, że w okresie lat 10 do 15 nie będzie wojny ogólnej (nikt jej nie chce, ale mechanizmy mające zapobiec jej wybuchowi nie są mimo wszystko zdolne do wyeliminowania wszystkich możliwych — a zwłaszcza przypadkowych — przyczyn). Założmy dalej, że Sowietom nie uda się przez ten czas opanować Europy Zachodniej, co rzecz jasna położyłoby kres naszym nadziejom na emancypację. Założmy jeszcze, że „kompetentni mężowie stanu PRL” nie przywiodą kraju na dno przepaści i to mimo tego, że już się znajduje na jej krawędzi. Założmy wreszcie, że nas Sowiety nie przehandlują bądź dlatego, że same się zawahają przed następstwami takiej transakcji pomne na doświadczenia historii, bądź że Niemcy Zachodnie pod naciskiem Ameryki lub z innych powodów taką ofertę odrzuca.

W podobnej koniunkturze wydaje się jasne, że państwo sowieckie nie wydoła obowiązkowi narzucanym przez nową konfigurację i że nie da rady równocześnie stawiać czoła tendencjom odśrodkowym, jako że nie sposób utrzymać w nieskończoność w korbach narodów ujarzmionych.

Prądy odśrodkowe przybiorą na sile poczynając od momentu, w którym konflikt arabsko-izraelski zostanie wreszcie zażegnany. Dynamika świata muzułmańskiego zwróci się wówczas przeciwko Sowietom w obronie wyznawców religii mahometańskiej w ZSSR; ci ostatni mnożą się tak szybko, że pod koniec stulecia ich liczba przewyższy liczbę Rosjan. Zresztą już obecnie ZSSR liczy więcej nie-Rosjan niż Rosjan.

Prędzej czy później Rosja zostanie więc zmuszona i do zmiany polityki (poprzez znaczną redukcję obecnych ambicji) i do zmiany ustroju — najpierw gospodarczego (akcentującego rozpiętość między potrzebami i stojącymi do dyspozycji środkami), a następnie — bo to nieuniknione — także i politycznego.

Otworzyłoby to przed wszystkimi partnerami, a zwłaszcza sąsiadami Rosjan ogromne możliwości — poczynając od ułożenia stosunków z Rosją na zasadach możliwych do przyjęcia dla wszystkich, aż do zgody rosyjskiej na federację środkowoeuropejską.

Niezależnie od tego co nam przyszłość zgotuje pozostaniemy między Niemcami a Rosją. W interesie naszej własnej stabilizacji, w interesie naszej niepodległości leży, aby stosunki z naszymi sąsiadami ułożyły się w myśl harmonijnej symetrii — konflikt z każdym z nich osłabia oczywiście naszą pozycję wobec pozostałego i na odwrót — brak konfliktów z jednym natychmiast poprawia naszą sytuację wobec drugiego*.

Rzecz w tym, aby w sprzyjających okolicznościach mogły na naszą korzyść zagrać inne czynniki, tym razem dla nas przychylne. Ostatecznie w wyniku ostatniej wojny Rosjanie przestali — po trzech i pół wiekach — uważać nas za główne zagrożenie dla ich państwa. Ostatecznie przeniesienie punktu ciężkości Niemiec na Zachód wydaje się faktem nieodwracalnym a efekty ewolucji poglądów na sprawy polskie, która w latach 60-tych dokonała się w młodym pokoleniu, nie zostały jeszcze unicestwione przez mniej korzystną tendencję lat 70-tych. Ostatecznie rozporządzamy paroma atutami najwyższej jakości — i to na zasadach wyłączności w Europie Środkowo-Wschodniej. Polski Kościół katolicki reprezentuje olbrzymią, wciąż niezależną siłę moralną i tym samym oś krystalizacyjną oporu przeciwko zniewoleniu wszystkich narodów tego rejonu. Nasz ruch opozycyjny

* Jeśli P.P.N. podziela ten pogląd, to może opracuje nowy tekst na temat przyszłych stosunków polsko-rosyjskich?

działa jawnie i winien — z uwagi i na swoje cechy i na nasze położenie geograficzne — objąć rolę koordynatora postaw i poczynań tego rodzaju na całym obszarze sowieckiego władania. Nie mamy wreszcie żadnych potencjalnych konfliktów z żadnym z obecnych „demoludowych” państw.

Pozwala to polskim kontestatorom na rzucenie — po społu z kolegami z innych krajów, a przy absolutnie koniecznym udziale dysydentów sowieckich i opozycjonistów wschodniemieckich — podwalin pod przyszły porządek w naszej części kontynentu, z trzema obowiązkowymi częściami takiego programu:

1) zasady, według których ma być rozwiązany problem niemiecki;

2) sposób przezwyciężenia tradycyjnych konfliktów między państwowymi (węgiersko-rumuński, węgiersko-słowacki, węgiersko-jugosłowiański, albańsko-jugosłowiański, bułgarsko-jugosłowiański itd.);

W tym miejscu czas na wyrażenie radości z powodu nawiązania przez KOR współpracy z przedstawicielami Karty 77 oraz z zapowiedzi rozszerzenia tego programu na ośrodki innych krajów.

I tak pod kątem tych przyszłych „prac kongresowych” chciałbym zwrócić uwagę P.P.N. na dwa punkty:

1) Odnośnie sprawy niemieckiej, istnieje hipoteza przejścia, której P.P.N. najwyraźniej nie bierze pod uwagę. Prawa do zjednoczenia kwestionować Niemcom nie można. Ale wolno przewidzieć fazę pośrednią: wolności dla wszystkich Niemców ale z utrzymaniem na razie dwóch państw z tym, że obecna NRD przesłaby ze scalonym Berlinem jako stolicą na status austriacki.

2) Odnośnie spraw gospodarczych; nasze dobrze pojęte interesy znalazłyby lepsze zabezpieczenie na drodze ścisłych związków polityczno-gospodarczych z obecnymi towarzyszami niedoli i wspólnie z nimi przedsięwziętych wysiłków w kierunku uzdrowienia obecnych struktur i zapewnienia im niezbędnej operatywności. Potem dopiero przysłaby kolej na ustalenie na jakich warunkach może się dokonać ściślejsza współpraca z Europą Zachodnią. A nie zapominajmy przy tym o widokach korzystnej współpracy z Rosją, poczynając od momentu gdy te stosunki przestanie cechować jednostronna miłość.

Ale wolno też od naszego ruchu opozycyjnego oczekiwać wysiłku i na innym odcinku: energiczniejszego, na modłę XIX-wieczną, udziału w procesie wychowania społeczeństwa. Jak wiadomo zadanie to wówczas zostało spełnione, a z nim i ważny warunek niepodległości.

Jesteśmy przecież świadkami obniżenia poziomu kulturalnego braku poczucia obywatelskiego, panoszącej się korupcji, grabieży mienia publicznego, rozluźnienia norm moralnych, społecznych, prawnych, zaniku dyscypliny indywidualnej i zbiorowej, przekreślenia w praktyce zasady odpowiedzialności indywidualnej, która warunkuje prawidłowe działanie demokracji jako że stanowi jedyną skuteczną alternatywę „dzierżymordyzmu”. Nikt też ludzi siłą nie zmusza do wchodzenia w błędne koło powszechnego chamstwa. Co więcej — odnosi się wrażenie, że Polakom staje się obcy zmysł interesu państwowego a nawet instynkt samozachowawczy, a to wobec obojętności młodych, którzy przestają się czuć odpowiedzialni za przyszłość kraju. Pytanie, czy nie zatracimy naszej tożsamości, nie mówiąc o dotychczasowej atrakcji naszej kultury dla innych, jeśli ten proces nie zostanie w porę zahamowany. Może wreszcie wielki autorytet moralny naszych kontestatorów mógłby być wykorzystany dla zwalczania prymitywnej rusofobii, której ofiarą padają w Polsce także nasi najcenniejsi przyjaciele, Rosjanie przywiązani do polskiej kultury i szukający za jej pośrednictwem kontaktu ze światem zewnętrznym.

O przyszłości kraju zadecyduje w ostatniej instancji stan, w jakim się znajdzie w momencie, gdy się przejaśni nareszcie widniejąca przed nim linia horyzontu.

Zbigniew RAPACKI

Paryż, 25 września 1978 r.

List z Pekinu

W samolocie z Tokio do Szanghaju prawie sami Japończycy. Jak okiem sięgnąć w sześciu rzędach siedzeń czarnowłose głowy. Tylko tu i tam jasna albo ruda plama amerykańskich, niemieckich i skandynawskich turystów. Jak się później okaże nie jest to specjalna wycieczka, lecz powszechna reguła. Od chwili zawarcia traktatu o przyjaźni i współpracy z Tokio Chiny przeżywają japoński sezon. W hotelach w Szanghaju, Pekinie a przede wszystkim w Mandżurii — od Mukdenu po Chabin — roi się od Japończyków. Ciągnie ich tam nostalgia, zwłaszcza starszych panów, którzy w młodości byli tu latami w niezbyt pokojowej misji. Ciągnie ich też przygoda, inny typ cywilizacji, niż we własnym zamerykanizowanym, supernowoczesnym kraju. Przy-

ciągają wspólne korzenie kultury i sztuki. W hotelach, restauracjach, sklepach, kolejach i samolotach zachowują się inaczej niż u siebie czy w wojażach po Europie. Choć i tu, na chińskiej ziemi, poruszają się stadami, nie hałasują, nawet po wypiciu kilku głębszych Mao Tai, czyli mocnej wódki chińskiej, mówią cicho. Patrzą, pilnie obserwują, wszystkim się interesują i bez przerwy fotografują. Chińczykom okazują respekt i nawet jeśli tu i tam nawali organizacja, nie skarżą się jak Niemcy czy Amerykanie. Ale i gospodarze ich wyraźnie faworyzują. Nie tylko w Pekinie, lecz i na prowincji. Tak samo w Mandżurii, gdzie przecież podczas długoletniej okupacji niejednemu Chińczykowi dali się we znaki. Są oczkiem w głowie urzędników, tłumaczy z Chińskiego Biura Podróży, kelnerów, sprzedawców w domach towarowych i chińskiej inteligencji. W ciągu kilkutgodniowej wędrowki po Chinach piszącemu nie udało się zauważyć nawet najmniejszego śladu dawnej japonofobii, żadnego zgrzytu i dysonansu w chińsko-japońskich spotkaniach. A przypadek zrzucił, że podróżując samotnie, choć pod permanentną opieką tłumaczy, przybył z Europy, był stałym świadkiem, a nawet częstym uczestnikiem tych spotkań.

Na pewno jest w tym wszystkim spora porcja tradycyjnej kurtuazji i gościnności chińskiej, niewątpliwie działa też czynnik polityczno-psychologiczny, wyrażający się w powszechnym szacunku Chińczyków wobec Japonii, że się nie zlekła chamskich presji i pogroźek Moskwy, których celem było udaremnienie paktu chińsko-japońskiego, zwłaszcza wzajemnej klauzuli przeciwko obcej hegemonii. Wchodzi w grę również element czysto utylitarny, związany z nowym kursem w polityce Chin, konkretnie z programem przyspieszenia procesów uprzemysłowienia i modernizacji wciąż jeszcze zacofanego kraju. Japonia ma w tym olbrzymim dziele odegrać najważniejszą rolę. Wynika to i z geograficznej bliskości jak też z łatwiejszego porozumiewania się.

W każdym razie w Chinach — jak długie i szerokie — sezon japoński w pełni. Nie ma nieomalże dnia, w którym nie byłoby jakichś nowych kroków w kierunku wzajemnego zbliżenia. Przyjeżdżają do Chin nie tylko turyści, których liczba wzrosła raptem dziesięciokrotnie. Roi się od rozmaitych delegacji, głównie ze sfer gospodarczych, naukowych i kulturalnych. Na uniwersytetach i w szkołach średnich nauka japońskiego staje się przedmiotem obowiązkowym tuż po angielskim, a przed francuskim, hiszpańskim i niemieckim. Na niektórych uczelniach, jak na przykład na uniwersytecie w Czangczun, stolicy prowincji Kirin, zaangażowano nawet japońskich profesorów. Prowadzą dwuletnie studia dla studentów chińskich. A Czangczun był kiedyś stolicą marionetkowego państwa Mandżukoo, powstałego z inspiracji ówczesnej Japonii.

Po kolei wyruszają na rekonensans rządowe delegacje chińskie do Tokio i do Osaki. Jedną z nich bada możliwości wystawienia większej liczby studentów chińskich na uczelnie w Japonii.

Inne pertraktują z firmami japońskimi w dziedzinie przemysłu lotniczego, elektroniki, komputerów, petrochemii, budowy kopalń, stalowni, kolejnictwa, hotelarstwa... Wiele się oczekuje w Pekinie od oficjalnej wizyty wicepremiera i zastępcy szefa partii Teng Hsiao-ping, właściwego inicjatora i architekta aktualnej polityki Chin. Udaje się on do Tokio na uroczystą ratyfikację układu chińsko-japońskiego z ogromną swiłą. Po raz pierwszy chyba w historii Chin komunistycznych wszyscy członkowie wchodzący w skład delegacji politycy wyjadą do Tokio w otoczeniu żon. Nawet i w tej dziedzinie panuje nowy styl. Zaś Japończycy ze swej strony nie szczędzą gestów dobrej woli. Oto w starej stolicy Japonii Kyoto, ma być, jak piszą gazety chińskie, wzniesiony pomnik ku czci Czu En-laja, który w 1919 roku studiował na tamtejszym uniwersytecie.

Otwarcie Chin dla Japonii nie oznacza, że Pekin stracił zainteresowanie wobec Zachodu. Europa Zachodnia i Stany Zjednoczone to dalsi partnerzy w programie polityki zagranicznej nowego kierownictwa. Na wiosnę przewodniczący Hua odwiedzi Francję, Wielką Brytanię i prawdopodobnie kraje skandynawskie lub Włochy. Czy dojdzie do wizyty w Bonn — nie wiadomo. Chińczycy orientują się doskonale w grze Moskwy o Niemcy i nieustannie ostrzegają Republikę Federalną i cały zresztą Zachód przed niebezpieczeństwem imperializmu rosyjskiego. Stale powtarzającym się argumentem w publicystyce chińskiej jest porównywanie ekspansji współczesnej Moskwy z imperializmem hitlerowskich Niemiec i przypomnienie, że ugodowość wobec Hitlera w postaci Monachium doprowadziła do agresji Niemiec i do upadku Polski, Francji i opanowania całej nieomal Europy. Podobne dążenia do ugodowości we współczesnym wydaniu widzą Chińczycy w pewnych kołach niemieckich. Od spotkania Straussa z Breżniewem i zmiany stanowiska dawnego przyjaciela Chin wobec Moskwy Pekin odnosi się do przywódcy bawarskiego z nieufnością chociaż zrezygnował z planowanej polemiki na temat historycznych doświadczeń z sojuszami rosyjsko-niemieckimi, które to Strauss po rozmowie w cztery oczy z dyktatorem sowieckim zaczął przedstawiać w jednostronnie pozytywnym oświetleniu. Irytacja panuje też w stosunku do zrysków zagranicznej polityki Ameryki. Oczekiwania, że po czerwcowej wizycie Brzezińskiego w Pekinie dojdzie do ożywienia stosunków amerykańsko-chińskich okazały się iluzją. W Pekinie można często spotkać się z poglądem, że nowa administracja w Waszyngtonie nie ma jasnej koncepcji nie tylko wobec Chin ale brak jej w ogóle jakiegoś zdecydowanego i jasnego programu wobec wszystkich zagadnień międzynarodowych. „Jest to polityka z dnia na dzień, pełna kontrastów i przeciwności i nie można na niej polegać” — oświadczył w rozmowie pewien doświadczony polityk chiński.

Jego zdaniem złowieszczą rolę wykonują rozmaite wpływowe jednostki, zarówno z kół politycznych jak też spoza nich, szczególnie dziennikarze, osobistości z niektórych uniwersytetów i przemysłu, zarażonych rusofilią. Największe chyba uprzedzenia i za-

rzuty chińskie wysuwane są pod adresem senatora Mc Govern'a i jego zwolenników, działających w administracji Cartera. Z dużą rezerwą śledzi się w Chinach sprawę stosunków amerykańsko-wietnamskich. Wietnam jest obecnie, po Rosji, głównym przeciwnikiem Chin i stąd powszechna nieufność do wszelkich kroków Stanów Zjednoczonych, zmierzających do normalizacji a nawet pomocy dla Hanoi. Chodzi tu nie tylko o losy prześladowanej w Wietnamie milionowej rzeszy tamtejszych Chińczyków. Pekin widzi w polityce komunistów wietnamskich koncepcję „regionalnego hegemonizmu”, którego celem jest połknięcie Laosu i Kambodży, by w ten sposób stworzyć Wielkie Indochiny. W całych Chinach panuje rozgoryczenie, a może nawet i spora doza nienawiści wobec oficjalnej polityki południowego sąsiada, któremu Chińczycy w okresie całej wojny z Ameryką pomagali, jak tylko mogli. „Nasi ludzie często nie dojadali, chodzili w łachmanach, aby walczyć Wietnam miał dosyć ryżu i przyodziewku” — mówił piszącemu te słowa człowiek, który przez wiele lat organizował cywilną i wojskową pomoc dla Hanoi. „Dlatego też wycofania naszych fachowców i zaprzestania udzielania pomocy gospodarczej Wietnamowi nie można porównywać z tym, czego dokonali Rosjanie wobec nas” — ciągnął dalej. — „Myśmy nigdy nie wzięli tej pomocy z jakimikolwiek warunkami lub żądaniem natury ideologicznej czy też wojskowej. Zresztą dotyczy to w równej mierze wycofania naszych doradców i wstrzymania pomocy dla Albanii”. Odpowiedzialnością za rozłam z Tiraną obarcza się wyłącznie Enwera Hodzę, który — zdaniem Chińczyków — dostał bzika ideologicznego. Spory z nim trwały już bardzo długo, ale Mao — widocznie za podszeptem własnych ultrasów — tolerował te wybryki. Gwoździem do trumny stosunków chińsko-albańskich stał się upadek „bandy czterech” i zbliżenie Chin z Jugosławią. Ale w przeciwieństwie do konfliktu z Wietnamem, Pekin nie będzie polemizował z oskarżeniami, wysuniętymi przez Hodzę pod adresem Chin. „W ten sposób podnieśliśmy tylko autorytet niepoczytalnego awanturnika” — brzmi ironiczny komentarz naszego rozmówcy do kwestii uporczywego milczenia partii i rządu Chin wobec oskarżeń z Tirany.

Pekin przestał być Mekką dla ultralewackich żywiołów na świecie. Zniknęli z ulic i hoteli wraz ze swymi chińskimi protektorami. Obecne kierownictwo tym się nie martwi. Utrzymuje co prawda nadal stosunki z rozłamowymi partiami komunistycznymi „prawdziwych marksistów-leninistów”, ale jest to mniej więcej piąte koło u wozu. Dla Chin ważniejsze są obecnie stosunki między państwami niż ideologiczne sojusze z gószystami, którzy nigdzie nie mają widoków na dojście do władzy. Z państw pod rządami komunistycznymi Chiny mają trzech partnerów, z którymi rozwijają serdeczne stosunki: Północną Koreę, Jugosławię i Rumunię. Zaczynają się interesować problemem eurokomunizmu, a jeśli nawiążą z nim jakąś współpracę, to chyba zaczną od partii hiszpańskiej. Tędy wiedzie droga przez Bukareszt a zwłaszcza przez Belgrad. Popularność Jugosławii wzrosła w

sposób nieoczekiwany po niedawnej wizycie przewodniczącego Hua w Belgradzie. Na uroczystościach rocznicy zdobycia władzy — albo jak to mówią w Chinach oficjalnie „wyzwolenia” — spotkaliśmy w Szanghaju liczną delegację z rozmaitych republik Jugosławii. A w dalekim Charbinie, w Mandżurii na koncercie mandżurskiego zespołu pieśni i tańców nagle zabrzmiała piosenka o Sarajewie i Banialuce. W Nankinie dzieci chińskie ubrane w ludowe stroje poszczególnych prowincji rumuńskich, również w besarabskie, tańczyły horę i doję wcale nieźle. Komuniści chińscy przyznają, że naprawienia „błędów” wobec Jugosławii należało dokonać już o wiele wcześniej. Pragnął tego Czu En-lai, ale dogmatycy z ultra-lewego skrzydła i względy na Albanię opóźniły ten proces.

Natomiast stosunki z prawowiernym blokiem moskiewskim pozostają nadal w zamrożeniu. Wschodnich i środkowowschodnich Europejczyków trudno spotkać. W hotelu Tien Men nagle zjawiła się trójka młodych Polaków ale długo nie pobyli. Czy im się nie podobało, czy było za drogo na ich kieszenie — bo w Pekinie trzeba płacić twardą walutą — w każdym razie po dwu dniach powędrowali do Afganistanu. Nie dały też wyniku poszukiwania za Mijalem. Nikt w Pekinie nie mógł dać jasnej odpowiedzi, gdzie przebywa towarzysz Mijał i co się z nim stało. Przecież pod koniec ubiegłego roku opowiedział się za Chinami. Fakt, że go nie afiszują wskazywałby na zmianę kursu również w odniesieniu do bardzo faworyzowanej dawniej, nielegalnej Polskiej Partii Komunistycznej. Mogłoby się to wiązać z ogólnymi przemianami w Chinach i pragmatycznym kursem, dostosowywanym do realiów wschodnioeuropejskich. Stąd też zaciekawienie ruchami opozycyjnymi w krajach bloku moskiewskiego lub tendencjami opozycyjnymi wewnątrz rządzących partii komunistycznych.

W stosunku do Moskwy pozostaje nadal kurs jak najostrożniejszej konfrontacji. Ale w porównaniu z poprzednim okresem późnego maoizmu kurs ten uległ poważnej korekturze. Znikł już zupełnie albo obumiera argument o rewizjonizmie sowieckim. Pozostawiono to w schedzie Albanii. Konfrontacja natomiast przeniosła się na sprawy charakteru państwa i polityki Moskwy. Jest to kwestia imperializmu rosyjskiego, zaborczości i ekspansji w Europie, Afryce i w Azji. Od czasu do czasu pojawia się już nawet teza o faszyzmie rosyjskim, panującym na Kremlu. W dużych miastach chińskich, jak w Szanghaju lub w miastach mandżurskich, porozklejano serię afiszów z karykaturami Breżniewa. Na jednym widać jak Breżniewa operują lekarze. Otwarli mu brzuch a wewnątrz znaleźli sznur niestrawionych orderów i krzyżów zasługi. Również przywódca komunistów Kuby, Fidel Castro, jest przedmiotem tego rodzaju publicznego przegięcia.

W stosunku do przywódców satelickich panuje umiar i rezerwa. Nie kpi się z nich i nie polemizuje z nimi. Chińczycy pytani, dlaczego walą w Moskwę i Breżniewa jak w pierzynę, a Gierków,

Honeckerów i Husaków oszczędzają, odpowiadają, że jest to zupełnie logiczne. „Przecież wiemy, że ich ataki antychińskie są wymuszone. Jakiż sens wobec tego polemizować z niewolnikami?”.

Bohdan OSADCZUK

Korespondencja z Rzymu

WSPOMNIENIE O ZMARŁYM JANIE-PAWLE I

Zaiste niezbadane są wyroki boskie. Ten, który 26 sierpnia wybrany na Stolicę Piotrową wzbudził zaufanie, ożywił nadzieję, odszedł nagle, po zaledwie 33 dniach pontyfikatu. W dziejach papieża notujemy co prawda 10 jeszcze krótszych pontyfikatów (ostatni Leona XI — 27 dni — zmarłego w 1605 roku), nie zostały one jednak śladu jaki odcisnęła przelotna obecność Jana Pawła I. Dopiero teraz okazuje się, że przebywał osiem razy w szpitalu, że przechodził gruźlicę, że zdrowie miał raczej kruche. Okoliczności tej niespodziewanej śmierci na zawał serca, „prawdopodobnie ok. 11-tej wieczór” w dniu 28 września (stwierdzonej o 5.40 rano nazajutrz) wywołały wątpliwości, a nawet tu i ówdzie podejrzenia, co do faktycznych przyczyn zgonu. Niezależnie od znanego „kompleksu spiskowego”, na jaki Włosi chorują, ta psychoza stanowi *sui generis* miarę popularności i powszechnej sympatii, jaką Jan-Paweł I zdobył sobie w ciągu tego „krótkiego pontyfikatu. Pozbawiony doświadczenia kurialnego w centralnym aparacie Kościoła, nie wytrzymał prawdopodobnie napięcia (rodzaj menadżerskiego *stress'u*). Jego nadzwyczajna wrażliwość duszpasterska spowodowała — jak twierdzą znawcy — rosnącą „udrękę” ukrytą za fasadą uśmiechu. Kardynał Felici z Kurii rzymskiej przypominał w homelii żałobnej, że kiedy składał mu życzenia, by „Bóg uczynił go szczęśliwym na tej ziemi” (słowa św. liturgii), Jan-Paweł I odpowiedział: „Tak, szczęśliwym na zewnątrz, ale gdybyście wiedzieli co rzeczywiście czuję”. Słowa ujawniające „całopalenie” dokonane w „doskonałej samotności”, jak to zderzenie z rzeczywistością biurokracji watykańskiej określił tenże Kardynał Felici.

Na czym polega istota i wielkość tego przelotnego pontyfikatu? Moim zdaniem na jasności katechetycznej, prostocie ewangelicznej, przystępności języka i zwłaszcza na nadzwyczajnej delikatności uczuć. Piszący te słowa ma osobiste motywy, by móc właściwie ocenić tę delikatność i subtelność Zmarłego (i zarazem jego szczerą admirację dla Polski), przejawione w czasie prezentacji

na zakończenie audiencji zbiorowej dla dziennikarzy. Aczkolwiek Jan-Paweł I nie zdołał pozostawić żadnego dokumentu doktrynalnego, sama jego postawa i nieustanny dialog z wiernymi oznaczają świadome zerwanie z „monarchiczną” tradycją. Tradycja ta polega m.in. na przemawianiu zawsze *ex cathedra*. W swych wystąpieniach, nieraz w dużej mierze improwizowanych, zerwał faktycznie z tym namaszczone, uroczystym obyczajem. Jego nieliczne wystąpienia publiczne to nie były przemówienia lecz raczej rozmowy. Przykłady czerpał nie tylko z Ewangelii lecz z literatury, historii światowej i przede wszystkim z własnych, życiowych doświadczeń. Był równocześnie stanowczy w traktowaniu problematyki politycznej (wypowiadając się w sposób jasny i nie zawoalowany) i dyscypliny kapłańskiej. Wykazał przy tym umiar i wytrwałość „polityczną” w podejściu do niebezpieczeństw zagrażających jedności Kościoła. W bazylice laterańskiej skrytykował eksperymenty liturgiczne modernistów, określając je jako „niestosowną (rażącą) twórczość”, a przegięcie tradycjonalistów w tej dziedzinie przypisał tym właśnie adwersarzom z przeciwnego bieguny. Gdyby nie rychła śmierć byłby na pewno w stanie rozwiązać sprawę niesubordynacji zasuspendowanego bp. Lefebvre, przywódcy tradycjonalistów. Przy innej okazji poddał krytyce tzw. „teologię liberalizacji”, kiedy określił tendencję do zacierania granic pomiędzy chrześcijaństwem i marksizmem (a więc wynaturzanie chrześcijaństwa i pośłannictwa Kościoła) jako błąd, negując — po łacinie — że *Ubi Lenin ibi Jerusalem*. Nie mógł więc podobać się ani sztywnym kurialistom, skonsternowanym w obliczu tego nietypowego Najwyższego Pasterza, ani lewicowym „pięknoduchom” (Włosi ukuli znakomity termin na tę nową odmianę lewicowego konformizmu: *radical-chic*) głoszącym konieczność „kompromisu historycznego”. Jest rzeczą znaną, natomiast, że w czasie tego krótkiego pontyfikatu nastąpiło w łonie Kościoła we Włoszech (jak zwykle dzięki awangardowej roli Jezuitów z „Civiltà Christiana”) otwarcie ku socjalizmowi w związku z ich nowym kursem antytotalitarnym. Jeszcze jeden dowód, że przeminęły czasy kiedy Watykan stawiał wyłącznie na Chadejce; istnieją dziś liczniejsze oznaki, że interesuje się nawet bardziej „eurosocjalizmem”.

Szereg Kardynałów (także Prymas Polski) określiło ten niedokończony, niezrealizowany, a tak obiecujący pontyfikat jako „dotkliwy cios dla Kościoła”.

Przed sukcesją

W chwili kiedy piszę tę korespondencję prawie za tydzień nastąpi otwarcie *conclave*. Kardynałowie, wielcy elektorzy, stają przed tymi samymi problemami jakie rozważali po zgonie Pawła VI, zastanawiając się nad profilem przyszłego pontyfikatu. Panuje prawie jednomyślny pogląd, że następca Jana-Pawła I musi być doń podobny, a więc przede wszystkim Pasterz, nie

polityk i nie dyplomata. Zresztą okres dzielący nas od poprzedniego *conclave* jest zbyt krótki, aby członkowie Świętego Kolegium mogli sobie pozwolić na luksus rewizji kryteriów, jakie towarzyszyły elekcji Jana-Pawła I. Wybór więc padnie zapewne znowu na purpurata włoskiego. Nie można jednak wykluczyć poprawki do kryterium wyboru, w wypadku poszukiwania rozwiązania kompromisowego: kurialista mający za sobą doświadczenie pasterskie. Zdania na temat tego, czy znajomość „mechanizmów kurialnych” jest niezbędna, są wśród kardynałów podzielone, o czym świadczą wywiady ochoczo przez nich udzielane. Według Brazylijczyka, kard. Arnsa, charyzmat pasterski nie wystarczy. Jego rodak i zarazem przewodniczący konferencji episkopalnej Ameryki Łacińskiej, kard. Lorscheider, uważa natomiast, że doświadczenie kurialne przyszłemu papieżowi nie jest potrzebne. Inni zwracają uwagę jednak, że wśród wymogów, obok dobrego stanu zdrowia, należy oczekiwać również przynajmniej częściowego rozeznania w pracy Kurii Rzymskiej. I to właśnie ze względu na konieczność zapobieżenia *stress*owi zagrażającemu papieżowi. Panuje ogólne przekonanie że i to *conclave* będzie krótkie i prawdopodobnie ostatnie na warunkach ustalonych jeszcze w średniowieczu, a więc w dużym stopniu anachronicznych. Niezależnie od tego kim będzie 264-ty następca św. Piotra, nie ulega wątpliwości że dalsza reforma Kurii Rzymskiej i przewidywana decentralizacja uwzględnią problem władzy papieskiej. Coraz bardziej bowiem oczywisty staje się dziś fakt, iż nie można obarczać jednego człowieka tak rozległymi kompetencjami i tak wielką odpowiedzialnością w epoce bardzo złożonego, światowego zaangażowania Kościoła. Pontyfikat Jana-Pawła I położył prawdopodobnie kres nie tylko monarchicznej roli papieża (koniec epoki *del Papa-Re*), lecz również jego „samotności instytucjonalnej” w sprawowaniu nadmiernie skoncentrowanej i niepodzielnej władzy.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 października 1978 r.

KRONIKA UKRAIŃSKA

20 sierpnia br., w okresie przygotowań do *conclave*, kardynał Josif Slipij przekazał na ręce obecnych kardynałów list do przewodniczących krajowych Konferencji Episkopalnych. List ten — doręczony również ambasadorom przy Stolicy Apostolskiej — zawiera przypomnienie powojennej martyrologii Katolickiego Kościoła rytu bizantyjskiego na Ukrainie i wzywa dostojnych adresatów do rozpowszechnienia informacji o prześladowaniach unitów, do poruszenia opinii publicznej i do okazania pomocy sprawie obchodzącej wszystkich chrześcijan. List ten, który otrzymał również Prymas Polski, był odczytany na ostatniej konferencji plenarnej Episkopatu Polski. Kardynał Slipij dostał już liczne odpowiedzi wyrażające solidarność i poparcie, m.in. od zmarłego Jana Pawła I i kardynała Poma, przewodniczącego włoskiego episkopatu.

Kardynał Slipij miał ostatnio niespodziewaną wizytę. Na prośbę kardy-

nała Willebrandsa, przewodniczącego watykańskiego Sekretariatu d/s jedno-
ści chrześcijan, przyjął metropolitę Nikodema, który zjawił się w Wiecznym
Mieście na czele delegacji Cerkwi Rosyjskiej na pogrzeb Pawła VI i intro-
nizację Jana Pawła I (kilka dni później Nikodem zmarł nagle na udar
serca podczas audiencji u Jana Pawła I). Była to druga z kolei wizyty
metropolity Leningradu u ukraińskiego Patriarchy. Nikodema interesowały
publikacje naukowe, głównie historyczne, wydawane w Rzymie przez Ukraiń-
ski Uniwersytet Katolicki. Ekumeniczne „otwarcia” ze strony prawosław-
nego metropolity wywarły wrażenie w Watykanie, ale nie mogły, rzecz prosta,
być wzięte za dobrą monetę przez kardynała Slipyja. „Ekumeniczność”
Nikodema, analogicznie jak patriarchy moskiewskiego Pimena, jest bardziej
niż podejrzana. Jak można *nota-bene* mówić poważnie o zmierzaniu Cerkwi
Rosyjskiej do jedności z Kościołem Rzymskim skoro nie tylko uroczyste
potwierdziła faktycznie dokonana likwidację Unii, ale również autokefalii
prawosławnej Cerkwi Ukraińskiej? W Watykanie, zwłaszcza w łonie Kongre-
gacji dla Kościołów Wschodnich, istnieją w tej dziedzinie dwa nurty. Jeden
skłonny uznać Cerkiew Rosyjską (patriarchat moskiewski) za równorzędnego
niemal partnera, a nawet tytuł „Jego Świątobliwości” patriarchy moskiew-
skiego (!). Drugi uznaje tę Cerkiew za jedną z wielu istniejących Kościo-
łów prawosławnych, a sprawy unitów ukraińskich oraz autokefalicznej Cerkwi
kijowskiej nie poświęca na ołtarzu postulatów jedności.

Nikodem przed zgonem „w objęciach Jana Pawła” złożył szczere „wyz-
nanie wiary” w realizację zjednoczenia Cerkwi Rosyjskiej i Kościoła katolic-
kiego z uznaniem prymatu papieskiego. Jak na agenta KGB („byłego” co
prawda — twierdzą zwolennicy watykańskiej *Ostpolitik*) to nagle „nawró-
cenie” i miłość do Papieża wywołały niemal euforię w pewnych kołach, dla
których *Santa Russia* ma wciąż posmak aktualny, ograniczający się jednak
do oficjalnych struktur kontrolowanych, jak wiadomo, przez KPZS. Po-
między rosyjską Cerkwią a Kościołem rzymsko-katolickim nie ma żadnych
sporów doktrynalnych. Jedynie powody polityczne utrudniają dotąd reali-
zację zjednoczenia. Tak brzmiały zwierzenia Nikodema, który „nie ukrywał
trudności (wobec swych watykańskich rozmówców, a zwłaszcza wobec samego
Papieża), na jakie napotykały rosyjscy wierzący w swobodnym wyrażaniu
swej wiary”. Sowieccy przywódcy — zdaniem Nikodema — dużo się nau-
czyli. Breżniew to nie Stalin, który pytał „ile dywizji posiada rzymski papa”.
Bardzo wysoko cenią politykę „dialogu” ze światem komunistycznym podjętą
przez Jana XXIII i kontynuowaną przez Pawła VI; doceniają „potęgę
duchową” i „pokoju akcję” Kościoła Rzymskiego. Nie życzą sobie jednak
„na razie” jedności instytucjonalnej, bo to spowodowałoby prawomocność
ingerencji Watykanu w „wewnętrzne sprawy ZSSR”. Obaj rozmówcy zmarli.
Nie wiadomo jaka byłaby praktyczna reakcja Jana Pawła I. Znając jednak
jego podejście do innych spraw, można zakładać, że na pewno obrałby
ewangeliczną drogę szczerości pasterskiej, a nie czysto dyplomatyczną, którą
do tej pory przynosiła same rozczarowania. Nie wiadomo też czy następca
Nikodema (jako szef departamentu dla spraw zagranicznych moskiewskiego
patriarchatu) metropolita Juwenalis, wysłannik Cerkwi na pogrzeb Jana
Pawła I, potwierdził poufne zwierzenia swego poprzednika. Wiadomo nato-
miast, że poszedł w jego ślady, zgłaszając chęć złożenia wizyty kardynałowi
Slipyjowi. Dostał odpowiedź odmowną. Dopóki patriarcha Pimen nie anuluje
swego oświadczenia sprzed siedmiu lat, sankcjonującego likwidację Kościoła
greko-katolickiego na Ukrainie (oświadczenia dokonanego w obecności mil-
czącego kardynała Willebrandsa) — nie ma mowy o żadnym zbliżeniu i
dialogu.

Dominik MORAWSKI

Sprawy i troski

Rozgłośnia Polska RWE

(WYWIAD Z ZYGMUNTEM MICHAŁOWSKIM)

30 września br. odwiedził Redakcję Kultury dyrektor Roz-
głośni Polskiej Radia Wolna Europa — Zygmunt Michałowski.
Rozmowa z nim, w której wzięli udział redaktor Kultury Jerzy
Giedroyc i Gustaw Herling-Grudziński, odbyła się przy magne-
tofonie. Podajemy poniżej „zdjęty” z taśmy tekst tej rozmowy

Jerzy Giedroyc: — Rola Radia Wolna Europa w Kraju jest ogromna,
a wyjątkowego już znaczenia nabrała radiostacja w ostatnich dwóch latach
narastania opozycji w Polsce. Równocześnie słyszy się o wewnętrznych trud-
nościach. Utało się, niestety, unikanie dyskusji publicznej na temat Radia.
W dzisiejszej rozmowie chcielibyśmy ten niedobry zwyczaj naruszyć.

Gustaw Herling-Grudziński: — Przeszło dwa lata temu ukazał się w *Kulturze*
mój krótki reportaż z Radia Wolna Europa, w którym pisałem m.in.:
„wzmogła się i zinstytucjonalizowała kontrola amerykańska: co dawniej było
przedmiotem dyskusji z doradcami politycznymi, jest teraz odgórnym nadzo-
rem bez tarczy. Włączenie w tekstach elementów nawoływania, czy mogłoby
to być zinterpretowane jako nawoływanie, dochodzi niekiedy do absurdu”.

Zacznijmy od tej obserwacji z marca 1976. Był Pan wówczas jeszcze
pełniącym obowiązki kierownika sekcji polskiej po odejściu Jana Nowaka
a nie, jak dzisiaj, efektywnym kierownikiem. Czy jest ona nadal aktualna?
Odpowiedz na to pytanie można by od razu rozszerzyć wyjaśniając stopień
niezależności sekcji polskiej w przekazywaniu nie tylko informacji lecz
także ocen i komentarzy zarówno w dziedzinie polityki światowej jak i
w sprawach polskich. Chodzi więc o szereg punktów: jak daleko sięga
cenzura amerykańska i kto ustala wytyczne? Czy istnieją tematy tabu?
Czy cenzura — jeżeli istnieje — ma charakter prewencyjny? Czy wzmo-
żona kontrola amerykańska wywołuje u pracowników polskich zjawisko
auto-cenzury? Czy można swobodnie krytykować politykę amerykańską
i w ogóle politykę Zachodu? Czy na przykład *détente* obowiązuje jako
nietykalny kanon?

Zygmunt Michałowski: — No, proszę Panów, to jest kilkanaście pytań zawartych w tym wstępie. Zaczniemy od pierwszego. Trzeba przed wszystkim powiedzieć, że my jako rozgłośnia nie działamy w izolacji. Wiele się zmieniło w świecie w ciągu dwóch ostatnich lat. W Polsce narósł ruch demokratyczny opozycji, który doprowadził do sprecyzowania pewnych celów, zwłaszcza celów bezpośrednich, osiągalnych. Jednocześnie na Zachodzie na skutek polityki prezydenta Cartera, który położył nacisk na obronę praw ludzkich i wprowadził tę koncepcję do polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, też od tego czasu nastąpiła pewnego rodzaju ewolucja. Polepszenie doli Polaków w miarę możliwości w kierunku większej wolności, większej demokracji, większej niepodległości — na tej platformie występuje wyraźna zbieżność między celami demokratycznej opozycji w Polsce, celami naszej działalności i celami polityki Stanów Zjednoczonych, tak jak ona została określona przez prezydenta Cartera. Ta zbieżność spowodowała, że pewne sprzeczności czy rozdzwielki jakie mogły istnieć dawniej jeśli chodzi o politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, politykę naszej stacji i postulaty polskie albo się zmniejszyły, albo w ogóle zanikły. Więc pod tym względem musimy powiedzieć, że sytuacja jest daleko lepsza niż dawniej.

Jeśli chodzi o tak zwaną cenzurę amerykańską, to musimy stwierdzić kategorycznie, że żadnej „cenzury” nie ma. Umówmy się, proszę panów, cenzura to bardzo konkretny termin — cenzura oznacza instytucję odrębną od danego radia czy gazety, która z góry arbitralnie ustala co można powiedzieć, wyrzuca teksty i tak dalej. Otóż tego u nas nie ma. Decydujemy sami o wyborze tematów, o ich ujęciu i ich przedstawieniu i porozumiewamy się w tej sprawie z dyрекcją amerykańską. Jak to wygląda w praktyce? Schodzimy się co rano, najpierw w kilka osób i omawiamy najważniejsze informacje dnia z Polski i ze świata. Ustalamy plan ramowy programu na dany dzień i idziemy na konferencję redakcyjną Polskiej Rozgłośni, na której jest około 20-25 osób, są redaktorzy, są przedstawiciele naszego Biura Studiów, Nasłuchu — i w tym szerszym gronie omawiamy poszczególne komentarze, idee, które chcielibyśmy w nich wyrazić. Są na ten temat spory, często nawet dosyć ostre. Nasza konferencja trwa nieraz trzy kwadransy albo nawet godzinę. Co rano również ktoś z naszego zespołu, czasem ja, zwykle jeden z moich kolegów, idzie na spotkanie przedstawicieli wszystkich rozgłośni Radia Wolnej Europy, których jest pięć, z przedstawicielami dyrekcji amerykańskiej. Tam przedstawiamy nasz plan komentarzy i odpowiadamy na pytania, jeśli takie są, co do ich treści. I znowu odbywa się tu w razie potrzeby otwarta debata na ten temat, która czasem też przybiera formy kontrowersyjne. Ale zebranie

ma na celu przede wszystkim omówienie bieżącego materiału informacyjnego, i polityki redakcyjnej wobec aktualnych wydarzeń.

Drugą częścią i to znacznie krótszą tej narady jest treść audycji które będziemy w danym dniu nadawać. W każdym razie jest debata, a nie dyktat.

Jeżeli ten system uznać za cenzurę przewencyjną, no to musimy powiedzieć, że trzeba zmienić wszystkie encyklopedie i określić w nich tego pojęcia. Natomiast istnieje późniejsza kontrola amerykańska naszych audycji. Nasze skrypty są poddawane analizom, niektóre są tłumaczone dla poszczególnych osób z amerykańskiej dyrekcji, które muszą przecież orientować się także w tym co my mówimy na antenie, bo streszczenie w paru słowach jakiegoś komentara to jedno, a co innego zapoznanie się z pełną jego treścią. Osobiście ubolewam nad tym, że nie można tłumaczyć każdego słowa, dlatego że obraz naszych audycji i sens tego co mówimy wynikałby dopiero w pełni gdyby przetłumaczyć codziennie wszystko od początku do końca. Tak samo ubolewam nad tym, że cały olbrzymi materiał samizdatowy, to znaczy wydawnictw niezależnych, które w Polsce ukazują się poza zasięgiem cenzury, nie jest tłumaczony od A do Zet.

To byłoby tyle, jeśli chodzi o ogólne wyjaśnienie zagadnienia cenzury.

Następne pytanie bardzo ważne: czy kontrola amerykańska wywołuje u pracowników polskich zjawisko auto-cenzury. Tu też bym przeciwko takiej tezie wystąpił, dlatego że auto-cenzura sugeruje stan rzeczy, w którym dany autor boi się zewnętrznej instancji. Tutaj nie ma się czego bać. Ustalamy pewne wytyczne wspólnie. Wspólnie i otwarcie o nich dyskutujemy. Naturalnie mogą być różnice interpretacji, ktoś może uważać, że trzeba pójść dalej, powiedzieć więcej, powiedzieć coś ostrzej. Kto inny może sądzić, że w danym momencie ze względów chociażby taktycznych lepiej się zatrzymać na progu. Niektórzy uważają, że każdy komentarz powinien zostawiać słuchaczowi coś, żeby on sam wyciągnął swój wniosek, inni sądzą, że żaden komentarz nie jest pełny jeśli nie powie wszystkiego. Tu sięgamy już właściwie do zagadnień temperamentu, stylu i talentu pisarskiego. To samo dotyczy polemik, do których nie każde pióro jest zdolne. Niestety na emeryturę odszedł znakomity polemista Wiktor Trościński. Są też teksty, które albo się nie bardzo nadają, albo są mniej udane, więc czasem coś nie pójdzie do programu. Na tym tle mogą naturalnie powstać indywidualne urazy czy pretensje. Ale ostatecznie nie ma na świecie takiej redakcji, która by czegoś czasem nie odrzucała. W grę wchodzi też oczywiście aspekty polityki redakcyjnej. Na przykład odbyło się spotkanie KOR-u

z czeskim zespołem Karty 77. Podniosły się u nas głosy, czy to nie jest może za wcześnie, żeby lansować międzynarodówkę opozycji? Czy nie lepiej byłoby, żeby w Polsce ta opozycja bardziej okrzepła, żeby się do niej przyzwyczajono, żeby nie ściągać na siebie kontrakcji, nacisku jakichś Husaków, prawda, którzy mają inną sytuację w swoim kraju. A z drugiej strony były głosy: no, jakżeż, przecież to jest właśnie niezmiernie ważne zjawisko, to jest dowód wspólnoty idei, która jak najbardziej zasługuje na wyeksponowanie. Czym się kieruję wtedy ja, jako kierownik tego zespołu radiowego? Zasadą główną, która głosi, że naszym naczelnym zadaniem jest informowanie Polaków o tym o czym ich własne władze nie chcą ich informować. Wobec tego informacja o spotkaniu KOR-u z Kartą 77 — co jest ważnym wydarzeniem — nie może w żadnym wypadku być spychana na jakieś boczne miejsce, obojętnie czy my to uważamy w danym momencie za rzecz dobrą czy złą — to dopiero przyszłość pokaże.

Teraz — następne pytanie Panów: czy można swobodnie krytykować politykę amerykańską i w ogóle politykę Zachodu, na przykład czy *détente* obowiązuje jako nietykalny kanon. Mnie się zdaje, proszę Panów, — przepraszam, że się być może wyrażam trochę obcesowo — ale to są takie slogany: cenzura, *détente* — a w praktyce to wygląda inaczej. Przecież na Zachodzie jest różnorodność głosów, jest mnóstwo krytyk pod adresem czy to poszczególnych liderów politycznych, czy to poszczególnych posunięć politycznych — to wszystko znajduje u nas swój wyraz czy to w przeglądach prasy, czy to w naszych własnych komentarzach, czy to w cytowaniu wypowiedzi najrozmaitszych... Przecież kontrowersja co do osób i co do koncepcji politycznych jest częścią życia publicznego na Zachodzie, więc nie spełnialibyśmy naszej roli, gdybyśmy nie starali się oddać także i tego obrazu. Właśnie w wypadkach, kiedy chodzi o kilka punktów widzenia, staramy się specjalnie wyciągnąć na zewnątrz te polemiki, by nie narazić się na zarzut, że staramy się przedstawić jakiś obraz wyidealizowany. Muszę tu naturalnie dodać, że to wszystko są pewne idee przewodnie, które nam przyświecają, ale czasem może nam coś nie tak wyjdzie jakbyśmy chcieli, czasem może grzeszymy czy to po stronie optymizmu czy to po stronie pesymizmu, ale staramy się w każdym razie spełniać i w tej dziedzinie naszą zasadniczą funkcję, to znaczy funkcję informacyjną.

G.H.G.: — Wróćmy może jeszcze do amerykańskiej kontroli.

Tak się złożyło, że kiedy byłem dwa lata temu w Monachium, zetknąłem się przypadkowo z jednym takim incydentem dosyć dla mnie pouczającym, może pan go wyjaśni. Pamiętam, że chodziło tu o pogadankę, w której autor krytykował zapędzanie studentów do tak zwanego czynu społecznego, argumentując, że studenci w końcu mają prawo do odpoczynku, ale jeżeli chcą

wolny dzień poświęcać nauce, to też mają do tego prawo. I ta pogadanka została zakwestionowana — nie wiem czy *a priori* czy *ex post* nadania — przez amerykańskich doradców, jako rzecz która mogłaby zawierać elementy tak zwanego „nawoływania”. W tym wypadku nawoływania do nieposłuszeństwa. Uważam to za dowód właśnie kontroli idącej za daleko. Ten incydent uprzytomnił mi niesłychaną wrażliwość Amerykanów na to co nazywają właśnie „nawoływaniem”.

Z.M.: — Nie wiem czy to można by nazywać wrażliwością Amerykanów. Ja sam jestem też niezwykle wrażliwy na to. Uważam, że ludzie przebywający za granicą nie powinni udzielać konkretnych rad, ani nie powinni udzielać jakichś napomnień, ani dawać wskazówek, czy nawoływać do czegoś ludzi w Kraju, którzy znajdują się w innej zupełnie sytuacji.

G.H.G.: — Tam nie było rad... była to po prostu krytyka tego proceduru.

Z.M.: — Nie pamiętam tego incydentu i nie wiem jak wyglądał tekst skryptu. Krytyka „czynu społecznego” jest naturalnie słuszną, tym bardziej, że wiemy jak ten „czyn społeczny” wygląda. Mówimy o tym w naszych audycjach, ale jeśli chodzi o te konkretne zastrzeżenia, to, nie znając szczegółów, mógłbym tylko podjąć raz jeszcze tę myśl, że uwrażliwienie nasze, jak i moje osobiste, na to ażeby nie udzielać pouczeń Polakom w Kraju, tylko przeciwnie, dawać im materiał, z którego by sami mogli wyciągnąć wnioski, na to moja wrażliwość i wrażliwość moich kolegów jest duża.

J.G.: — Czy czasami nie zbyt daleko posunięta... Ale wracamy do auto-cenzury. Mnie się zdaje, że nie należy mieszać dwóch rzeczy: kontrowersji i dyskusji z auto-cenzurą.

Z.M.: — Nasze ogólne nastawienie jest też i takie, że musimy mieć poczucie odpowiedzialności za to co mówimy, dlatego że mamy w ręku potężny środek informacyjny, a im więcej ma się wpływu, to tym więcej trzeba wykazywać poczucia odpowiedzialności. Jeżeli Pan to chce nazwać auto-cenzurą — proszę bardzo. To jest nasza — moja — auto-cenzura.

J.G.: — Dobrze. Tylko jest kwestia, czy to poczucie odpowiedzialności nie idzie za daleko.

G.H.G.: — Wróćmy jeszcze do *détente*. Pan powiedział, że to nie jest żadne tabu. Otóż dowiedziałem się, że w radiostacji rosyjskiej, to znaczy w Radio Swoboda — nie wiem czy to dotyczy Wolnej Europy — nie wolno cytować wypowiedzi o *détente* takich autorów jak powiedzmy Bernard Levin, albo Lord Chalfont, bardzo ostrych w formie. Czy coś takiego istnieje w Wolnej Europie?

Z.M.: — Nie ma takiego generalnego zakazu. Największym krytykiem Zachodu i największym krytykiem pewnej koncepcji *détente* jest Sołżenicyn. Nadaliśmy długie harwardzkie przemówienie Sołżenicyna prawie w całości. Nie mogę mówić o innych rozgłoszeniach, mogę mówić o naszej rozgłosni. Jeżeli jest u nas pod tym względem jakieś zahamowanie, to jest to zahamowanie płynące z nas samych, z głębi naszych serc polskich, jeśli można tak powiedzieć. Mianowicie czasem mamy takie uczucie, że ta krytyka Zachodu może w jakiś sposób podważyć, wie Pan, czyjaś wiarę — odbierać otuchę komuś. Jeżeli te krytyki są naszym zdaniem zbyt przesadne, staramy się cytować także inne głosy. Były na przykład głosy krytykujące Sołżenicyna. Nadaliśmy przemówienie Sołżenicyna, nadaliśmy także głosy wypowiadające się krytycznie na temat jego wystąpienia w Harvardzie. Ostatecznie jest na Zachodzie przecież różnica zdań, jest polemika co do tego jaki powinien być stosunek do Rosji, czego Zachód powinien bronić, w jaki sposób i tak dalej. Są poglądy bardzo pesymistyczne, są poglądy, powiedzmy, optymistyczne, jest pewien jakiś złoty środek i naszym zadaniem jest przedstawienie całości obrazu.

J.G.: — Tak, tylko że trzeba ten obraz przedstawiać takim jakim on jest w rzeczywistości. Istnieje zawsze obawa, że społeczeństwo polskie jako całość, nie tylko opozycja, zbyt liczy na pomoc Zachodu i zbyt wiele sobie po tym Zachodzie obiecuje. Przypuszczam, że byłoby lepszą metodą wytlumaczenie im, że na nie liczyć nie mogą.

G.H.G.: — Wie pan, w telewizji francuskiej pokazano wspaniały, niesłychanie interesujący program, w którym wystąpił młody człowiek przedstawiony jako redaktor jednego z pism katolickich. Na zapytanie, jakie wrażenie zrobiła na nim inwazja Czechosłowacji, i reakcja Zachodu na to, odpowiedział: „pozbyłem się iluzji. Ja i moi koledzy...”. I dodał: „musimy w Polsce działać i myśleć bez iluzji”. Znaczy to że chcą wiedzieć jak sytuacja wygląda naprawdę.

J.G.: — Wydaje mi się, że z punktu widzenia oddziaływania na nastroje społeczeństwa, trzeba zawsze podawać prawdę nie „ubierając” jej, czy nie nadając jej tonu zbyt optymistycznego. Miałem tego przykład chociażby z okresu wojny, kierując prasą Drugiego Korpusu. Pisaliśmy wtedy niesłychanie pesymistycznie. Żołnierz wiedział, że zostaliśmy przez Zachód zdradzeni. I mimo zastrzeżeń dowództwa że to może podważyć morale, miało to skutek wręcz przeciwny. Te artykuły konfiskowane przez Anglików — ich skutkiem było np. zdobycie przez nasze oddziały Bolonii.

To jest metoda już z punktu widzenia czysto wychowawczo-propagandowego znacznie skuteczniejsza niż kontynuowanie nieszczęsnej polityki generala Sikorskiego upiększania rzeczywistości.

Z.M.: — Tu się z Panem całkiem zgadzę. Zresztą podkreślałem już w czasie naszej rozmowy kilka razy, że naszym głównym zadaniem jest informowanie, a informowanie nieobiektywne nie jest informowaniem. W związku z tym co Pan mówił o prasie

Korpusu można równie dobrze przytoczyć przykład BBC. W czasie wojny BBC zawsze na pierwszym miejscu wybijało wojskowe niepowodzenia brytyjskie czy zachodnie i w ten sposób zdobyło sobie pewien kredyt zaufania, który trwa właściwie do dzisiaj. I przygotowało — jak Pan słusznie mówi — społeczeństwo do tego, żeby stawić czoła tym klęskom, oczekiwając tych niebezpieczeństw.

Proszę Panów, ja mogę zacytować pewien przykład z naszego podwórka sprzed paru lat, który ilustruje ten problem. Otóż w Polsce władze obawiały się podwyżki cen. Jak się okazało słusznie, dlatego że podwyżka cen doprowadziła w siedemdziesiątym szóstym roku do tak zwanych wydarzeń czerwcowych, czyli masowego protestu robotniczego. Obawiano się tego, rzecz jasna, na przykładzie gomułkowskim z grudnia roku siedemdziesiątego, kiedy także nagła podwyżka cen wywołała bunt na Wybrzeżu. W rezultacie środki masowego przekazu w Polsce przed czerwcem 1976 nie dyskutowały w ogóle problemu cen. Powstała kwestia, czy my, jako radiostacja mamy dyskutować ten problem. Otóż myśmy byli zdania, to znaczy polski zespół, ja osobiście, i nieżyjący już dziś Michał Gamarnikow, nasz ekspert ekonomiczny, że trzeba dyskutować problem cen chociażby dlatego żeby ten problem rozładować. Jeżeli się o nim mówi, to się go rozładowuje, pobudzi dyskusje, sprecyzuje plany. Natomiast były głosy ostrzeżone, że strony właśnie amerykańskiej, że lepiej nie poruszać zbyt często, zbyt jaskrawo, zbyt otwarcie, że tak powiem, kwestii cen, dlatego że to może wywołać w Polsce odruchy paniki, run na sklepy, wykupowanie towarów i tak dalej. Więc znowu tu jest kwestia podejścia, sposobu mówienia na ten temat. Osobiście uważam, że popełniliśmy wtedy na skutek tych nacisków pewien błąd, to znaczy mówiliśmy za mało o tym problemie. W rezultacie władze PRL nie mówiły o cenach bo się bały, myśmy nie mówili o cenach tyle ile było potrzeba i nagle, w nieodpowiedniej formie, nastąpiła podwyżka cen, która spadła jak grom z jasnego nieba, wywołując wiadome reakcje ludności. To jest przykład dlaczego informacja powinna być pełna, nawet jeżeli może mieć pewne ujemne strony, których nie trzeba się bać. Ale chciałbym wrócić do tego, co tutaj poruszył p. Herling-Grudziński, że Polacy chcą znać całą prawdę. Otóż nie mamy obecnie do czynienia w Polsce z masą ludzką, która nie może wyrazić swoich uczuć i myśli, która tylko w pewnych okolicznościach dramatycznych mówi czy działa w sposób jednoznaczny. Ta sytuacja się też zmieniła. Istnieje przecież obecnie w Polsce opinia publiczna, która znajduje swój wyraz w oświadczeniach, w wypowiedziach poszczególnych osób czy grup takich jak KOR, czy jak ROPCiO. Znajduje wyraz w wydawnictwach ukazują-

cych się poza zasięgiem cenzury. I co się okazuje, proszę Panów — ocena sytuacji w Polsce, czy sytuacji za granicą jaka się z tego wyłania, jest niesłuchanie trzeźwa — nie ma potrzeby korygowania tu czegokolwiek. To są ludzie, którzy doskonale się orientują w sytuacji.

J. G.: — Absolutnie nie.

Z. M.: — Ja nie widzę tam żadnej wygórowanej nadziei na pomoc Zachodu.

J. G.: — Owszem, owszem. Specjalnie jeśli idzie o Amerykę, to się przebija prawie w każdym wydawnictwie samizdatowym. Chociażby niech pan weźmie *Opinię*, na przykład komentarze do wizyty prezydenta Cartera w Warszawie. To są złudzenia, to jest posunięte za daleko.

Z. M.: — No, ale Panie Redaktorze, jakbyśmy wyglądali gdyby Ameryki nie było?

J. G.: — Nie o to chodzi. Ja nie stawiam tego na płaszczyźnie antyamerykańskiej, tylko mówię o wiązaniu z USA przesadnych nadziei, których obecna polityka amerykańska całkowicie nie uzasadnia.

Z. M.: — To jest kwestia oceny. Na podstawie tego co w Polsce piszą — poza cenzurą oczywiście — nie sędzę, żeby były takie złudzenia.

G. H. G.: — ... ocena sytuacji krajowej jest tam bardzo dobra, ocena, jeśli idzie o sytuację międzynarodową, jest jednak ciągle jeszcze pełna iluzji.

Z. M.: — Mówiliśmy o polityce amerykańskiej. Osobiście mam jedną pretensję pod adresem Ameryki. Mam pretensję, że Ameryka publicznie nie występuje dostatecznie często i dobitnie czy to w formie oświadczenia jakiegoś członka rządu, jakiegoś kongresmana, jakiegoś senatora, przeciwko nadużyciom władzy w Polsce. To jest moja pretensja pod adresem Ameryki. Ale nie uważam, żeby polityka amerykańska w stosunku do Wschodniej Europy, a do Polski w szczególności była nieodpowiednia. Ameryka okazuje, zwłaszcza w stosunku do Polski, maksimum dobrej woli i pomocy.

G. H. G.: — Ale sam Pan krytykuje *establishment* i ma pretensje do tej właśnie ostrożności amerykańskiej. Ma Pan pretensję, że Amerykanie nie występują otwarcie w sprawie nadużyć władzy w Polsce. Mają jakieś powody po temu.

Z. M.: — To jest kwestia taktyki. Proszę Pana, Niemcy Zachodnie rzadko występują publicznie — zwłaszcza jeśli chodzi o rządy i *establishment* — z krytyką stosunków we Wschodnich Niem-

czech. Dlaczego? Dlatego, że uważają, że w tej sytuacji inne środki służą ich celowi lepiej.

J. G.: — Sytuacja Niemiec jest zupełnie inna. To jest podzielony naród. To wymaga od nich zupełnie innej taktyki niż gdy chodzi o stosunek Stanów Zjednoczonych do Polski.

Przejdźmy do innego pytania: czy Wolna Europa ogranicza się jedynie do strony informacyjnej, czy zajmuje również stanowisko w kwestiach najbardziej istotnych dla narodu polskiego, że wymienię przykładowo normalizację stosunków polsko-niemieckich, problem Lwowa i Wilna, stosunki z sąsiadami i problem polskiego antysemityzmu.

Z. M.: — Proszę Pana, my mamy codzienną audycję „Fakty, Wydarzenia, Opinie”, w której jest pięć komentarzy. Z tego dwa albo trzy poświęcamy sprawom polskim. Oprócz tego mamy po dwa razy w tygodniu komentarze dotyczące spraw chłopskich, spraw robotniczych, spraw religijnych i tak dalej. Nadajemy, no — dosłownie tysiące komentarzy, więc nie można powiedzieć, że się ograniczamy do informacji.

J. G.: — Pan wymienia bardzo ważne przykłady, tylko że nie dotyczą one problemów nie tylko, moim zdaniem, najistotniejszych, ale przede wszystkim bardzo drażliwych. Więc chociażby stosunki polsko-niemieckie... czy wasze radio omawiało chociażby opracowania PPN-u na temat stosunków polsko-niemieckich?

Z. M.: — Ostatnie opracowanie PPN-u na temat stosunków polsko-niemieckich było streszczone i przedstawione jako ważny przyczynek do dyskusji, jaka się toczy między Polakami o sytuacji narodu polskiego i jego przyszłości. Potem tekst został nadany w całości. A poza tym w wypadkach kiedy wymagają tego wydarzenia, sami omawiamy stosunki polsko-niemieckie, na przykład niedawno z okazji wizyty kardynała Wyszyńskiego w RFN. Wcale tego tematu nie unikamy. Tak samo mówimy o stosunkach polsko-rosyjskich, mówimy o sytuacji jaka panuje w Polsce pod rządami komunistycznymi z rozmaitych punktów widzenia. Więc nie można powiedzieć, żebyśmy takich tematów unikali. Z tym jednak zastrzeżeniem, że, proszę Panów, my jesteśmy radiem, to znaczy jesteśmy środkiem przekazu związanym aktualnością dnia. Mówimy o rozmaitych problemach dlatego, że dany problem w tym momencie wpływa. Oprócz tego staramy się naświetlać pewne sprawy z jakiegoś — powiedzmy — głębszego punktu widzenia czy szerszej perspektywy. Są to audycje typu prelekcji. Te audycje są głównie natury historycznej i mamy nadzieję w obecnym roku rozszerzyć je także na inne zagadnienia. Ale nie ma u nas tego przeciwieństwa między komentarzem a informacją. Nadajemy jedno i drugie.

J. G.: — A jeśli idzie o sprawy dotyczące sąsiadów Polski — poza stroną

informacyjną, czy Panowie organizują coś w rodzaju dyskusji okrągłego stołu z udziałem przedstawicieli innych narodów wschodnioeuropejskich? O ile wiem tak, tylko czy tego nie jest za mało?...

Z.M.: — Za mało jest w ogóle u nas w radiu dyskusji, a to wynika z trudności natury personalnej. Nasz zespół nie jest liczny i jesteśmy zaabsorbowani opracowaniem codziennego programu. Mamy trzy godziny oryginalnego programu dziennie, powtarzanego w różnych porach dnia, oprócz trzech godzin wiadomości, które nadajemy po dziesięć minut co godzina. W rezultacie mamy stosunkowo mniej czasu i możliwości na przeprowadzanie rozmów przy okrągłym stole, dyskusji i tak dalej, które wymagają przygotowania, znajomości tematu, pewnej łatwości wypowiedzi — nie wszyscy to mają, niektórzy dobrze piszą a źle mówią i odwrotnie. Wszystko to nas ogranicza. Ale poświęcamy dużo uwagi na przykład Czechosłowacji i ruchowi Karty 77, sprawom ukraińskim itp. Być może nie jest tego dosyć. Musiałbym tę rzecz zbadać statystycznie. Mówimy oczywiście przede wszystkim o sprawach polskich i sprawach międzynarodowych.

J.G.: — Chyba Pan się zgodzi ze mną, że polska przyszłość w dużym stopniu zależy od normalizacji stosunków z naszymi sąsiadami. Te rzeczy w Polsce wyglądają bardzo źle, przy ogromnym wzroście szowinizmu i pewnego prowincjonalizmu społeczeństwa polskiego. Przywiązuję do tego wielką wagę. Rozumiem, że to jest trudno robić siłami tak szczupłego zespołu, którym Pan dysponuje. Ale przypuszczam, że można tu wykorzystać ludzi z zewnątrz, którzy są specjalistami od tych rzeczy. Jest bardzo dużo Ukraińców, którzy mówią dobrze po polsku, tak samo można znaleźć ludzi z innych narodowości.

Z.M.: — Mamy w naszym zespole redaktora, Tadeusza Mieliszkę, który się bardzo dobrze orientuje w tych sprawach, mówi dobrze po rosyjsku, po ukraińsku i tak samo wielką uwagę przywiązuje do spraw państw bałtyckich, które są ogniskami oporu i sprzeciwu przeciwko rusyfikacji, przeciwko imperializmowi Moskwy i ateizacji. Poświęcamy temu różne audycje, tak samo religijne.

J.G.: — Najważniejsza sprawa dla mnie to normalizacja stosunków Polski z sąsiadami. Nie tylko od strony informacyjnej. Ja rozumiem, że informujecie o prześladowaniach na Litwie czy o oporze religijnym. Ale jedną z rzeczy najważniejszych, która ciągle — specjalnie po stronie litewskiej — istnieje, jest problem Wilna. Tak samo problem ukraiński. Nie sposób nie przedyskutować tu zagadnienia Lwowa, czy Małopolski wschodniej. Ja rozumiem, że radio nie może zająć w tej sprawie wyraźnego stanowiska, prawda, to nie są zresztą rzeczy codziennej aktualności. Pano wie nie są w tej sytuacji jak *Kultura*, która tutaj może i zajmuje bardzo zdecydowane stanowisko. Ale sądzę, że przedyskutowanie tych rzeczy, dopuszczając różne głosy na ten temat, byłoby jednak bardzo celowe.

Z.M.: — To są wszystkie procesy historyczne, które...

G.H.G.: — Nie...

J.G.: — ...to jest rzeczywistość. Rzeczywistość. Sprawa Lwowa i Wilna jest jak najbardziej aktualna dla Ukraińca czy dla Litwina i dla dużego procentu Polaków, przynajmniej na emigracji.

Z.M.: — Zgoda. Ale sytuacja jest obecnie zamrożona.

J.G.: — Zamrożona jeśli idzie o decyzje, natomiast trzeba ten okres zamrożenia wykorzystać dla znormalizowania tych stosunków, dla przyzwyczajania tych narodowości do tego, by zaczęły z sobą po ludzku rozmawiać; żeby nie zaczynać później w przyszłości od wzajemnego wyrzynania się.

Z.M.: — Nie jestem pewien — może się nie znam na tych sprawach — ale ostatecznie ja nie mam wrażenia, żeby w stosunkach między narodami uciśnionymi, między Polakami i Ukraińcami, między Polakami i Litwinami były dziś napięcia takie jakie niegdyś istniały...

J.G.: — Niewątpliwie są. Jeżeli Pan chce rozmawiać z Litwinem czy Ukraińcem, to pan nie może przeskoczyć nad kwestiami drażliwymi.

Z.M.: — Zresztą czas załatwi tę sprawę.

J.G.: — Proszę Pana, czas — w jaki sposób?! Czas może tylko zadrażnić te rzeczy.

G.H.G.: — W każdym razie, ponieważ radio stosuje zasadę — jak Pan powiedział — dyskusowania spraw z różnych punktów widzenia, nie ma powodu unikać tych tematów, bo znajdzie Pan rzeczników rozmaitych poglądów w tej dziedzinie. Chodzi o to, żeby w rozmowie z — powiedzmy — Ukraińcem czy Litwinem to nie był temat omijany.

Z.M.: — Powróciwszy z tej mojej krótkiej, niestety, wizyty u Panów w Maisons-Laffitte, mogę zreferować tę sprawę i Panów opinie naszemu zespołowi i możemy zastanowić się, czy rzeczywiście nie poświęcamy dosyć uwagi tym zagadnieniom i w jaki sposób można byłoby to naprawić. Może popełniamy tutaj jeden błąd — nie tylko w tej dziedzinie, ale i w innych — że jesteśmy zbyt związani aktualnościami dnia. I może dzięki temu pewne ważne problemy są nieco spychane na marginesy. Dziękuję, że Panowie zwrócili mi na to uwagę.

J.G.: — Jakie są podstawy podawania wiadomości z Polski? Czy jedyną podstawą jest serwis agencji prasowych, czy też — zwłaszcza gdy w grę wchodzi pośpiech — wystarczają wiadomości nadechodzące z Kraju bezpośrednio od grup opozycyjnych jak KOR, ROPCiO, SKS etc., za które te grupy biorą odpowiedzialność. Za wiadomości, które do nas docierają, *Kultura* też bierze odpowiedzialność, tak że nie są to informacje anonimowe.

Na przykład: przychodzi z Kraju konkretna wiadomość: zostali zatrzymani przez milicję, czy pobici tacy i tacy ludzie. To jest podpisane przez

daną instytucję. Wydaje mi się, że taką informację należałoby nadać natychmiast przez radio. To ma bardzo duże znaczenie.

Z. M.: — Pan mówi o oświadczeniach KOR-u na przykład.

J. G.: — Powiedzmy. Chodzi o to, czy Panowie zaraz takie rzeczy nadają, czy czekają na wiadomość z agencji.

Z. M.: — Prasowe agencje zachodnie bardzo szybko obecnie donoszą o tym co się w Polsce dzieje. Więc kiedy jest na przykład jakieś oświadczenie KOR-u, czy powiedzmy rezolucja Komitetu Samoobrony Chłopskiej, to te wiadomości, które dawniej przeciekały w taki czy inny sposób na Zachód i nie były, że tak powiem, publiczną własnością, obecnie o tym donoszą agencje. Trzeba tu jednak wprowadzić rozróżnienie między naszym serwisem informacyjnym tak zwanego Dziennika Radiowego a innymi audycjami. Jeśli chodzi o Dziennik, który nadajemy co godzina, staramy się, aby tam były tylko informacje całkowicie pewne, sprawdzone, przy których zawsze można się powołać na konkretne źródło. Nie ma tam miejsca na niuanse, zastrzeżenia. Natomiast w komentarzach możemy rozszerzyć materiał informacyjny korzystając z różnych źródeł. Na przykład krótka informacja o rezolucji Komitetu Chłopskiego podana jest w Dzienniku, a pełny tekst z odpowiednim komentarzem i innymi doniesieniami na ten temat w audycji Fakty, Wydarzenia, Opinie. Przyznam, że od czasu do czasu zachodzą pewne opóźnienia. Ale dawniej istniał poważny problem, że mieliśmy za mało informacji z Polski, bo agencje mało donosiły, względnie nie było w Polsce ośrodków demokratycznej opozycji, która formułuje konkretne idee, porusza konkretne sprawy, powołuje się na konkretne wydarzenia — nie było tego dawniej. Dziś to stanowi poważny procent informacji, z których korzystamy.

J. G.: — Spotykamy się ze skargami, że w niedostatecznym stopniu wykorzystywana jest przez radio niezależna prasa krajowa, że artykuły do których w środowisku opozycji przywiązuje się dużą wagę są albo pomijane albo skracane. Ile w tym jest prawdy?

Z. M.: — Przede wszystkim — jak Pan wie lepiej ode mnie — nie wszystko co w Polsce ukazuje się poza zasięgiem cenzury dochodzi od razu na Zachód. Poza tym to jest materiał, który podlega, jak każdy inny, konkretnej ocenie w naszej redakcji co do jego przydatności. Jeśli otrzymamy tekst długiej dysertacji, radiowo niestrawnej i zrobimy z tego wyciąg, streszczenie, nadamy obszernie fragmenty, to może autor jest z tego niezadowolony, ale my mamy misję informacyjną do spełnienia i nie możemy zadawać się tylko czytaniem tekstów od A do Zet. Jeżeli mamy

do wyboru kilkanaście rozmaitych tekstów, często zresztą słabo czytelnych — nasze możliwości są ograniczone. Nadajemy w każdym razie bardzo dużo tych tekstów, przede wszystkim dlatego że stanowią one istotny składnik debaty publicznej o sprawach polskich, jaka toczy się dziś w niezależnej prasie w Kraju. Mamy kilka audycji w ciągu tygodnia, które są wypełnione tym materiałem. Przykładowo mogę Panu powiedzieć: wszystkie przemówienia na zjeździe literatów w Katowicach, które zostały ogłoszone w tej prasie, zostały u nas nadane *in extenso*. Tak samo obszernie opracowania ze *Spotkań, Zapisu, Pulsu*, teksty Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Ale trudność polega także na tym, że te samizdaty przychodzą do nas nieraz bardzo spóźnione. Na przykład *Opinia* albo *Biuletyn Informacyjny* o kilka miesięcy spóźniony, zawiera pewne pozycje publicystyczne, które możemy jeszcze wykorzystywać, ale materiał informacyjny jest już przedawniony. Wspomniałem o nieczytelności — są przecież egzemplarze, jak Państwo dobrze wiedzą, nie do odcyfrowania. Więc korzystamy w miarę możliwości obficie z tych materiałów, które przychodzą z Polski, ale sytuacja narzuca nam pewne ograniczenia. Zaręczam Panu, że nie ma w każdym razie ani żadnej linii politycznej, czy polityki redakcyjnej, która by chciała to ograniczyć, ani nie ma z naszej strony żadnych zahamowań. Przeciwnie, traktujemy to jako niezmiernie cenny materiał dlatego że są to publikacje, w których społeczeństwo, jego autentyczni reprezentanci, dochodzą do głosu, wytworząc opinię publiczną, która w Polsce od trzydziestu lat nie mogła się uzewnętrznić.

J. G.: — Czy są jakieś dyskryminacje w stosunku do poszczególnych grup opozycyjnych, czy Wolna Europa traktuje wszystkie organizacje jednakowo? Jednakowo obiektywnie?

Z. M.: — Staramy się naturalnie traktować wszystkich jednakowo obiektywnie. Na emigracji stawiano nam zarzut na przykład, że faworyzujemy KOR, a natomiast pomniejszamy ROPCiO. Tu znowu muszę się odwołać do tego, że jesteśmy środkiem przekazu. Dochodzą do nas wiadomości o akcjach KOR-u: że KOR wystąpił w obronie studentów; że wydał Białą Księgę; że zebrał tyle a tyle pieniędzy na pomoc dla robotników; że wydaje regularne biuletyny, oświadczenia i tak dalej. To wszystko do nas przychodzi jako informacja, którą na bieżąco nadajemy. Jeśli nie mamy podobnego napływu informacji o działalności innych ugrupowań, może bardzo nawet wartościowych, to może się wydawać komuś, że jedną grupę faworyzujemy.

J. G.: — No tak, to znaczy, że to problem czysto techniczny.

Z. M.: — Z jednej strony problem techniczny, a z drugiej, jakby

to powiedzieć, zasięg działalności danej organizacji wpływa także na jej rozgłos.

J.G.: — Nie mamy możliwości słuchania audycji RWE. Chcielibyśmy więc od Pana dowiedzieć się, czy i jakim zmianom uległ schemat programowy. Sytuacja w Polsce tak się zmieniła w ostatnich latach — zadajemy sobie i Panu pytanie: czy ma sens na przykład nadawanie dalej takich programów jak pogadanki turystyczne lub muzyka? Czy nie byłoby sensowniejsze i potrzebniejsze poświęcenie tego czasu obszernym wyciągom z prasy emigracyjnej oraz czytaniu zakazanych i dawno wyczerpanych książek emigracyjnych? Niektóre z nich były czytane bądź streszczane w Radio Wolna Europa dwadzieścia lat temu, ale przecież wyrosły już nowe pokolenia słuchaczy.

Z.M.: — To jest ważny problem, który nas też nurtuje. Ma on kilka aspektów. Więc najpierw: czy jest sens nadawania — Pan powiedział — muzyki i pogadanek turystycznych? W istocie dla osób mieszkających w Warszawie, mających jakiś dostęp do świata zewnętrznego, możliwości wyjazdu za granicę i tak dalej — może się to wydawać niepotrzebne. Ale z drugiej strony, musimy brać pod uwagę także zainteresowania przeciętnego słuchacza powiedzmy gdzieś na prowincji, gdzie zagłuszania nie ma albo jest mniejsze. Nie mieliśmy głosów z Polski od tego rodzaju słuchaczy występujących przeciwko tym audycjom. Nie wydaje mi się w tej chwili, żeby były stuprocentowe argumenty za całkowitą ich eliminacją. Chociaż zgadzam się z Panem, że to jest problem, — wprowadziliśmy już zresztą pewne zmiany — ograniczyliśmy znacznie muzykę właśnie na tej zasadzie. Ale czy rzeczywiście już doszliśmy do takiej sytuacji, w której powinniśmy usunąć wszystkie programy lżejszego typu i nadawać właściwie tylko artykuły wstępne i wiadomości...

J.G.: — Ja podałem jako propozycję obszerne wyciągi z prasy emigracyjnej.

Z.M.: — To też są artykuły wstępne.

G.H.-G.: — Nie tylko, często są jakieś eseje, bardzo interesujące; oczywiście, nie trzeba całego tekstu czytać, ale można to jakoś bardziej przystępnie podać...

J.G.: — ...albo czytanie książek emigracyjnych, które są wyczerpane i w Polsce zakazane. Są naprawdę młodzi ludzie w kraju, którzy o nich w ogóle nie słyszeli...

Z.M.: — Mamy dziennie piętnaście minut takiej właśnie lektury...

G.H.-G.: — Weźmy konkretny przykład: w *Kulturze* był ostatnio artykuł, zresztą nadesłany z Kraju, pod tytułem „Akeja K”, który wydaje mi się niesłychanie interesujący...

Z.M.: — O ile pamiętam cytowaliśmy go w obszernych wyciągach...

G.H.-G.: — Jak byłem w Monachium to młodzi pracownicy właśnie mi mówili o tym, że byłoby bardzo wskazane z ich obserwacji i doświadczeń odczytywanie ciekawszej prasy emigracyjnej, do której w Kraju jest trudny dostęp. Także i książek emigracyjnych, mówię ciągle o młodszych słuchaczach, starsi to słyszeli dwadzieścia lat temu, na przykład opowiadania Hłaski, czy powieść Guzgo i tak dalej.

Z.M.: — Przyznaję Panom rację, że to są problemy, nad którymi trzeba by się zastanowić. Czytamy obecnie wydany przez *Kulturę* trzeci tom „Archipelagu Gułag” Sołżenicyna. Przedtem czytaliśmy wiele najrozmaitszych bardzo ciekawych książek. Oczywiście można by wprowadzić drugą tego rodzaju audycję. Ale jak mówię są w tym pewne granice. Radio nie może opierać się na czytaniu książek i nadawaniu wstępnych artykułów.

G.H.-G.: — No, ale Radio Wolna Europa jest radiem bardzo specjalnym, tak że nigdy nie może być namiastką normalnego radia.

J.G.: — Właśnie o to chodzi... Wszystko zależy od tego głównego problemu. To jest radio obliczone wyłącznie na kraj oczywiście. Pana argument byłby słuszny, gdyby emigracja słuchała tego radia. Domagałaby się wtedy jakiegoś normalnego programu jak w BBC czy radiu francuskim. Na ogół słuchacz w Polsce słucha radiostacji Wolna Europa w bardzo określonych celach, z bardzo określonym nastawieniem. Nie szuka tam muzyki czy pogadanki o — nie wiem — metrze paryskim...

Z.M.: — Zapewne, ale wywołajmy raz jeszcze obraz hipotetycznego słuchacza w prowincjonalnym miasteczku, który nie chce słuchać radia Warszawa, który nie zna obcych języków i który słucha tylko naszego programu. On by chciał może usłyszeć coś takiego oprócz...

J.G.: — Nie, proszę Pana, jeśli chodzi o turystykę, to pomijając już, że setki tysięcy ludzi wyjeżdżają dzisiaj z Polski za granicę — nie tylko intelektualiści z Warszawy — kręcą się po całej Europie, i nawet Ameryce, prasa krajowa prowincjonalna i stołeczna jest wypełniona reportażami turystycznymi, nawet bez specjalnej tendencji politycznej. Tak że tego materiału jest w kraju dosyć. Tak samo, jeśli chodzi o muzykę. Wszyscy bardzo ostro krytykują radio warszawskie, ale przyznają, że dział muzyczny jest dobry i nowoczesny. Więc po co wam nadawać muzykę — przy tym, że radio wasze jest zagłuszane?

G.H.-G.: — Nadawanie muzyki przy najmniejszych nawet zakłóceniach — to się mija z celem.

Z.M.: — Panowie postawili właściwie problem tak: czy nasze radio z punktu widzenia programu i treści jest w pełni dostosowane do ewolucji w Polsce?

J.G.: — Tak jest.

Z.M.: — Powtarzam, że sam nie jestem tego pewien — myślimy nad tym problemem i przeprowadzamy zmiany w programie.

J. G.: — Mówi się o trudnościach finansowych radia, że budżet radia jest niewystarczający. Dodaje się wtedy zazwyczaj, że budżet jest nadmiernie obciążony emeryturami, przerostem kierownictwa amerykańskiego. Jak ta sprawa wygląda w Pana oczach?

Z. M.: — Ja mam do czynienia z bardzo wąskim wycinkiem budżetu. To znaczy fundusze, którymi my możemy dysponować we własnym zakresie są w stosunku do całości bardzo drobne. Chodzi przede wszystkim o wydatki na współpracowników z zewnątrz i o koszty podróży — na przykład jeśli wysyłamy gdzieś naszego reportera. To są fundusze w naszej dyspozycji.

J. G.: — Ale czy są wystarczające?

Z. M.: — Proszę Pana, kto, gdzie jest taka instytucja, która by uznała, że jej fundusze są wystarczające! Mogę jednak powiedzieć, że w obecnym roku budżetowym sytuacja wygląda lepiej niż dawniej. Ogólnie rzecz biorąc na finanse Radia Wolnej Europy ujemnie wpływają dwa czynniki: inflacja i spadek dolara na rynkach monetarnych europejskich. Gros pieniędzy idzie na nadajniki, elektryczność, instalacje, na uposażenia pracowników. Nad tymi wydatkami ja nie mam oczywiście żadnej kontroli. Więc mogę ubolewać tylko nad tym, że powiedzmy mamy tylko jednego pracownika w Paryżu i tylko dwóch w Nowym Jorku. Nasz zespół redaktorski jest jak mówiłem szczupły, za szczupły. To samo dotyczy Biura Studiów. Budżet połączonych Rozgłośni Wolnej Europy i Radia Swoboda jest uchwalany przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Co roku pewien pułap jest nam narzucony, w tych ramach musimy się zmieścić. Mamy tak samo drugi pułap — zatrudnienia. Każdy poszczególny dział w radiu ma pewną określoną liczbę pracowników, uzależnioną od alokacji budżetowej na uposażenia. Gdybym miał kontrolę nieograniczoną nad funduszami, to natychmiast stworzyłbym coś w rodzaju na przykład szkoły radiowców dla kształcenia przyszłych pracowników. I to jest dla nas najważniejszy problem — kadry — odnowa kadr...

G. H.-G.: — To jest właściwie przejście do następnego pytania, które Panu chcieliśmy postawić.

J. G.: — Pytanie to brzmi: trudnością numer jeden w radiu jest obecnie — jak rozumiemy — kurczenie się personelu. Starsi pracownicy przechodzą na emeryturę, albo wymierają, a równocześnie obowiązuje podobno zakaz przyjmowania nowych. Gdyby ten zakaz został uchylony czy złagodzony, jakie według Pana byłyby szanse rekrutacji nowych kompetentnych sił na emigracji? Czy bierze się w rachubę znalezienie nowych sił w Kraju? Ostatnie pytanie może brzmieć na pozór dziwnie, ale w kraju przywiązuje się tak dużą wagę do dalszego istnienia i sprawnego funkcjonowania radiostacji, że można sobie wyobrazić ludzi, którzy gotowi by byli uzupełnić luki w zespole polskim.

Z. M.: — Zaczniemy od tego, co powiedziałem przed chwilą, że mamy pewien pułap zatrudnienia, wyznaczony dotacją budżetową. Nie ma natomiast zakazu rekrutacji. Zakaz rekrutacji obowiązywał przez krótki okres czasu, w którym nie wiedzieliśmy jak będzie wyglądać nasz następny budżet. Jeżeli opróżnia się jakaś pozycja pracownicza — można ją wypełnić, co też robimy. Ale to nie załatwia problemu. Nasza instytucja, która trwa już z górą ćwierć wieku, dochodzi powoli do momentu, w którym trzeba będzie zastąpić młodszy elementem część zespołu redaktorskiego, i to część bardzo istotną dla naszej działalności, liczebnie dość znaczną. Nie można się na to patrzeć z punktu widzenia ściśle administracyjnego: ubył jeden redaktor, trzeba przyjąć drugiego redaktora. Jesteśmy placówką korzystającą z dużej autonomii, która służy polskiej sprawie, w koniunkturze międzynarodowej wyjątkowo pod tym względem korzystnej i w momencie dla naszego narodu bardzo ważnym. Jest w interesie wszystkich Polaków, ażeby ta placówka była w rękach ludzi odpowiedzialnych, dobrze poinformowanych, uzdolnionych do tej pracy, którzy są gotowi się jej poświęcić i którzy dalej tę pracę będą prowadzić. Mam wrażenie, że to jest odpowiedzialność nie tylko emigracji, nie tylko ludzi, którzy przyjeżdżają na Zachód z różnych względów i naszą działalnością się interesują, ale to jest problem ogólnonarodowy. Nie waham się powiedzieć, że to jest pewnego rodzaju problem historyczny. Ta placówka została stworzona przez emigrację, prawda, a emigracje mają swój ograniczony żywot... Otóż jest zadaniem nas wszystkich, żeby ten nieunikniony proces nie odbił się na jakości tej pracy, żeby nie doprowadzić do utraty jej znaczenia. Proszę Pana, mówiliśmy przedtem o stopniu niezależności, autonomii naszej Rozgłośni i tak dalej. Przecież to też jest w jakimś stopniu pochodną jakości zespołu, jego poziomu, zarówno ideowego jak i intelektualnego. Dlatego też podkreślam, że centralnym problemem naszym jest dziś problem kadr, to jest problem przyszłości naszej Rozgłośni.

J. G.: — Czyli konkretnie te dwa właśnie pytania: jak Pan ocenia możliwość znalezienia nowych sił kompetentnych na emigracji? I jak Pan ocenia możliwość rekrutacji w kraju?

Z. M.: — Przede wszystkim: my nie możemy prowadzić żadnej rekrutacji w kraju, z oczywistych względów. A poza tym — to jest kwestia indywidualnej decyzji, zaangażowania ideowego i oczywiście odpowiednich kwalifikacji. Ale jak oceniam możliwość? Właśnie cieszyłem się na okazję tej naszej rozmowy dlatego, między innymi, że będziemy mogli poruszyć w niej ten problem zasadniczy kontynuacji naszej placówki z tego punktu widzenia i że to może dać do myślenia liczny czytelnikom *Kul-*

tury, którzy należą, jak wiemy, do pewnego rodzaju elity. Może przy lekturze zapisu naszej rozmowy przyjdzie komuś chęć bliższego zainteresowania się naszą pracą. Myślę, że to może także przyczynić się do tego, ażebyśmy mieli pod tym względem większe możliwości niż dotychczas.

J.G.: — Rozumiem, ale nie można chyba do tego podchodzić tak dosyć biernie. Może byłoby ważne zwrócenie uwagi ludziom na ten problem i może się niektórzy zastanowić, czy nie warto zacząć współpracować z radiem, ale radio musi także samo ich szukać. Więc czy pan widzi odpowiednich kandydatów na emigracji czy nie?

Z.M.: — Zaangażowaliśmy ostatnio parę osób, które wydają się bardzo obiecującym elementem. Ale to nie załatwia sprawy. Nie wiem, jak to przedstawić w sposób przekonujący. To co się dzieje obecnie — to jest łatanie dziur. Obawiam się, czy ten system wystarczy, czy jakiś poważniejszy zastrzyk nie okaże się niezbędny. Mamy obecnie w naszym zespole redakcyjnym wybitnych znawców rozmaitych kwestii. Jeżeli ci eksperci z takiego czy innego względu nie będą mogli dalej pracować — a kilku z nich zbliża się do wieku emerytalnego — to przecież nie wystarczy wtedy przyjąć nawet jakiegoś zdolnego człowieka, już dzisiaj powinien być ktoś, kto by się wgryzał w te problemy, że tak powiem przygotowywał się, kształcił. To powinno być, moim zdaniem, robione na jakąś szerszą skalę. Nie uważam, żebyśmy robili dosyć w tej dziedzinie.

J.G.: — Czy rozważane jest jako inny sposób przeciwdziałania redukcji personelu częstsze i obfitsze użycie tak zwanych *free-lancerów*? Mamy tu na myśli i mieszkających na Zachodzie Polaków, i nawet cudzoziemców, szczególnie znanych reporterów. Rzecz jasna, wymagałoby to zarówno podniesienia stawek radiowych, jak wygospodarowania funduszy na wielkie reportaże.

Z.M.: — Na przeszkodzie jakiejś szerszej akcji w tym kierunku stoi kwestia finansowa. Mamy siatkę korespondentów, rozszerzenie tej siatki wymagałoby rzecz jasna dodatkowych pieniędzy. Obecnie planujemy zresztą zmianę struktury tych zewnętrznych kontrybucji, to znaczy chcielibyśmy rozszerzyć dział głębszych analiz, o których wspominałem już przedtem, o naukowym podejściu, w których dyskutowano by problemy nie dlatego, że wypłynęły w danej chwili na czoło aktualności, tylko dlatego, że to są sprawy ważne i istotne. To nie znaczy, żebyśmy tego typu audycji nie mieli, ale — jak mówię — chcielibyśmy ten dział rozszerzyć. Jesteśmy w kontakcie z kilkoma osobami, które obiecały nam pomóc, żeby zainteresować szersze koła, głównie polskich naukowców, tego rodzaju akcją.

G.H.G.: — Właśnie — słyszeliśmy o bardzo ciekawym projekcie stworzenia

uniwersytetu radiowego, który uzupełniałby malejącą wciąż wiedzę młodego i średniego pokolenia z historii najnowszej, literatury, nauk społecznych i tak dalej. W jakim stadium znajduje się ten projekt?

Z.M.: — Nie wiem czy to koniecznie trzeba by nazywać „uniwersytetem radiowym”, ale w każdym razie to miałem na myśli. Projekt znajduje się w stadium przygotowawczym, to znaczy rozmawialiśmy z paroma polskimi naukowcami, którzy ustosunkowali się bardzo pozytywnie do tej myśli, że trzeba by w programach radiowych, które są w Polsce słuchane, wprowadzić ten element. Te plany mają związek z oczywistym w Polsce zapotrzebowaniem — które się ujawniło specjalnie jaskrawo w ostatnich latach — na jakieś alternatywne źródła wiedzy, nie tylko o bieżących wydarzeniach, ale także i o zagadnieniach natury bardziej już naukowej, społecznej, humanistycznej. Podkreślam raz jeszcze — ten element w naszych audycjach istnieje, ale w niedostatecznym stopniu. Mamy na przykład prelekcje historyczne, Pawła Zaremby i Tadeusza Żenczykowskiego, które są ogólnie uważane za bardzo wartościowe, mamy także z okazji rocznic audycje historyczne, mamy głębsze analizy od naszych korespondentów czy to z Ameryki czy z krajów europejskich, ale chcielibyśmy temu nadać szerszy wymiar i bardziej zorganizowane ramy. To zależy przede wszystkim od autorów, od osób, które by chciały z nami współpracować w tej dziedzinie. Ciężar zagadnienia leży w polskim środowisku naukowym za granicą, w stopniu jego zainteresowania tą sprawą. To jest zresztą myśl, która kielkowała już, mam wrażenie, dosyć dawno i stanowi zrozumiałą reakcję emigracji na to, co się w Polsce dzieje.

J.G.: — Czy radio informuje kraj o działalności emigracji, zarówno emigracji — nazwijmy ją polityczną — jak o Poloniach zamorskich?

Z.M.: — Tak. Mamy stałą audycję z Ameryki pod nazwą „Polonia mówi do Kraju”, w której informujemy obszernie o działalności Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej. Jeśli są jakieś specjalne wydarzenia polonijne, na przykład zjazd w Toronto, bardzo obszernie o tym informujemy. Był na zjeździe w Toronto — by użyć jego pseudonimu — Tadeusz Olsztyński wysłany przez nas jako reporter, tak samo zresztą nasz stały korespondent nowojorski. Jeśli chodzi o działalność emigracyjną *sensu stricto*, to mamy w naszym biurze londyńskim korespondentów, którzy przywiązują dużą wagę do działalności emigracyjnej i relacjonują — żeby użyć tego nowotworu dziennikarskiego — o różnych wydarzeniach z życia emigracyjnego. Nie ma tygodnia, w którym by nie było audycji tego typu.

J.G.: — Ale czy to jest tylko informacja, czy również to są komentarze o życiu politycznym emigracji?

Z. M.: — O tyle, o ile można je komentować na podstawie prasy emigracyjnej.

J. G.: — Nie wiem czy Pan czytuje *Nowy Dziennik nowojorski*. Mnie tam bardzo interesują korespondencje Racińskiego z Londynu, które są dowcipne, bardzo obiektywne, czasami słośliwe, ale które — mimo że dostają *Nowy Dziennik* z wielkim opóźnieniem, — dają informacyjnie bardzo dużo.

Z. M.: — Chętnie do nich sięgniemy. Nadajemy stale przeglądy prasy emigracyjnej, cytujemy cenniejsze artykuły. *Kultura* ma u nas swoją specjalną audycję, w której dokonujemy przeglądu treści poszczególnych zeszytów, cytując fragmenty, albo całe artykuły. Ale przyznam się szczerze, że w praktyce prasa emigracyjna nie zawiera tak bardzo dużo materiału do wykorzystania przez nas. To jest normalne, prasa emigracyjna żyje także i życiem wewnętrznym, emigracyjnym. Poza tym cykl produkcyjny wydawnictw emigracyjnych jest często dosyć długi, zanim to do nas dojdzie — już coś nowego się stało. Inne prawa rządzą radiem a inne periodykami.

J. G.: — Może jeszcze takie dwie sprawy techniczne. Radio „Swoboda” wydaje „materiały samizdatu”, które są niesłychanie interesujące i bardzo pożyteczne nie tylko dla mnie, ale dla masy dziennikarzy i polityków etc., nie tylko rosyjskich. Czy nie można by czegoś podobnego robić w sekcji polskiej? Jest to niezmiernie potrzebne, przede wszystkim dla emigracji zamorskiej, prasy polonijnej, a poza tym dla amerykańskich ośrodków badawczych czy uniwersyteckich. Ostatnio mam cały szereg próśb i pytań, czasami bardzo naiwnych, gdzie to można zaprenumerować, czy ja się nie mogę podjąć przesyłania im tych wszystkich tekstów. Różne pisma, jak *Zapis*, *Opinia*, *Spotkania* są wydawane w formie książkowej na emigracji, to są bardziej czy mniej regularne periodyki, gdzie sprawa aktualności nie odgrywa większej roli. Niemniej te wydania „książkowe” ukazują się z ogromnym opóźnieniem. Natomiast te wszystkie komunikaty, drobne pisma, jakieś gazetki, biuletyny — zbiór tych wydawnictw byłby niezmiernie potrzebny. Myślę, że Wolna Europa znalazłaby nawet licznych prenumeratorów, tak jak ich znalazło Radio „Swoboda”. To szalenie ważna sprawa.

Z. M.: — Wiem, że ta sprawa jest przedmiotem pertraktacji i planów organizacyjnych, dlatego że, jak Pan słusznie podkreśla, nie tylko to jest ważne dla nas, dla emigracji, ale tak samo interesują się tym coraz szersze koła, również koła naukowe, politolodzy w Stanach Zjednoczonych, gdzie ta gałąź wiedzy jest bardzo rozwinięta. Te środowiska interesują się tym nowym zjawiskiem: kraju, który nagle wytworzył niezależną literaturę i publicystykę mimo istnienia cenzury, mimo rządów komunistycznych. Mam nadzieję, że ta sprawa w jakiś sposób zostanie uporządkowana. W naszym zespole własnymi siłami nie możemy tego załatwić. Z trudem potrafimy podjąć temu, żeby powielić egzemplarze dla naszego własnego zapotrzebowania, skatalogować poszczególne numery, sprawdzić, które informacje już u nas poszły, a które nie — wszystko to już wymaga dużego nakładu pracy.

J. G.: — Musiałby powstać w tym celu osobny dział. Obcokrajowcy a przede wszystkim emigracja i Polonia coraz bardziej się tymi sprawami interesują i nie mają do nich wielkiego dostępu.

Z. M.: — Jeśli chodzi o Polonię, to zagadnienie jest jeszcze szersze, dotyczy nie tylko samizdatu, ale w ogóle informacji z Polski. Polonia amerykańska nie posiada stałego dopływu rzetelnych informacji o sytuacji w Polsce.

J. G.: — Właśnie takie materiały samizdatowe to byłaby dla nich informacja...

Z. M.: — To byłoby już coś, ale zagadnienie polega na tym, że powinien być jakiś serwis informacyjny dla Polonii, który by bieżące zagadnienia i wydarzenia w Polsce przedstawiał i komentował. Dawniej — nie wiem czy Pan pamięta, kilkanaście lat temu — istniało takie wydawnictwo, biuletyn w polskim języku rozprowadzany w Stanach Zjednoczonych. Tego nie ma od dłuższego czasu i właściwie Polonia — mówię o Polonii amerykańskiej — pozbawiona jest regularnego dopływu informacji z Polski i skazana na informacje przypadkowe, przywożone przez ludzi, którzy przyjeżdżają z Polski lub z niej wracają, mają obraz z natury rzeczy fragmentaryczny, często skrzywiony — albo polega na tym, co rozprowadzają konsulaty PRL.

J. G.: — Próbuje coś teraz robić Studium Północno-Amerykańskie, — *Kultura* o tym pisała — ale to jest dopiero w stanie początkowym.

Druga sprawa, czysto techniczna: to jest sprawa zagłuszeń. Jakie są możliwości walki z zagłuszaniem, ja się na technice nie znam, ale czy przy pomocy specjalistów nie można by opracować czegoś w rodzaju poradnika dla słuchaczy, na jakich aparatach można najlepiej audycje odbierać, eliminując zagłuszanie, czy w ogóle w jakiś sposób można wyeliminować te zakłócenia? Mogłaby to być na przykład analiza aparatów produkcji krajowej, czy analiza aparatów produkcji zachodniej, oczywiście niekosztownych. Żeby pomóc ludziom w jakiś sposób w walce z tym zagłuszaniem.

Z. M.: — Takie audycje typu technicznego zapewne byłyby przydatne. Czasem otrzymujemy listy od osób, które mają techniczne nastawienie i dają pewne sugestie pod tym względem. Ale jeżeli mam być szczerzy, to powiem, że najlepszą odpowiedzią na zagłuszanie jest zwiększenie siły własnych nadajników.

J. G.: — Świetnie — niech panowie to robią — tylko to jest kwestia lat.

Z. M.: — Kwestia czasu i pieniędzy. Ale bez tego się nie obejdzie. Jeżeli chodzi o zagłuszanie w Polsce, to sytuacja jest o tyle skomplikowana, że zagłuszanie jest bardzo różnorodne. Jest zagłuszanie miejscowe i zagłuszanie, które obejmuje szersze regiony kraju; są zakłócenia powodowane tak zwanymi „zagłuszkami”,

które emitują hałas. Poza tym jest zagłuszanie, które wynika z nadawania bardzo silnego sygnału, to znaczy własnego programu bardzo blisko naszej fali co eliminuje, względnie zagłusza nasze audycje. Tak samo i formy walki z zagłuszaniem z punktu widzenia technicznego są i muszą być różnorodne.

J.G.: — Myślę, że takie przeanalizowanie i częściowe chociaż porządzenie jak z tym walczyć byłoby bardzo pożyteczne nie tylko dla Wolnej Europy ale i „Swobody”. Wiem od szeregu ludzi z nowej emigracji rosyjskiej, że dobrze słysząc Wolną Europę w Moskwie czy Leningradzie. Między innymi też Panowie przyczynili się do ogromnego spopularyzowania *Sołżenicyna* w Rosji, nadając „Gulag” po polsku w odcinkach. Te audycje były nagrywane, tłumaczone, powstał cały czarny rynek, wielu ludzi zaczęło się uczyć języka polskiego.

Z.M.: — Mówiono mi także, że audycje nasze są dobrze słyszalne w niektórych częściach Czechosłowacji.

J.G.: — Tym bardziej rzecz warto by może przeanalizować w skali ogólnej.

Z.M.: — Zgadza się z Panem i tę kwestię także przekazać działowi technicznemu Rozgłośni, który między innymi zajmuje się kwestią zagłuszania, czystości odbioru, słyszalności i tak dalej.

J.G.: — Chyba na tym skończymy, prawda?

Z.M.: — Pożegnaj się z Panami po radiowemu: dziękuję za uwagę i do usłyszenia.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.



TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Kraj

Poza akumulacją i spożyciem

(ZBROJENIOWE HAMULCE
ROZWOJU GOSPODARCZEGO PRL)

1. Pytanie, przed którym zasadniczo uciekamy

Impulsem do napisania tego artykułu była niedawna rozmowa z młodym Szwedem, spotykanym kilka razy do roku przy różnych okazjach. Ów młody człowiek, poznawszy już uprzednio dużą część Europy, w tym roku zwiedził również Związek Sowiecki i Polskę. Znajomość świata sprzyja konfrontacji, więc przywiózł obfite wrażenia, którym musiał dać upust. Nie wszystko, co w rozmowie tej zostało powiedziane, ma walor odkrywczy, jednakże mój znajomy położył nacisk na problem zbyt często umykający naszej uwadze, mianowicie na ekonomiczne konsekwencje militaryzacji zwiedzanych krajów.

Mimo całej wcześniej nabytej wiedzy o bloku sowieckim, mój znajomy był zaskoczony ilością napotykanym mundurów, ilością oficerów, rozległością i częstotliwością kompleksów koszarowych i budynków z wojskową wartą, zakazami fotografowania, transportami militarnymi itd. Ile, na miłość Boską, to wszystko kosztuje mieszkańców tych wyraźnie niebogatych krajów?

Rozmówca był Szwedem, obywatelem kraju, w którym jawność spraw państwowych jest fundamentem ustrojowym, gdzie prasa publikuje wiadomości o kosztach nie tylko sił zbrojnych w całości, ale również o cenach poszczególnych jednostek uzbrojenia. Pieniądze dysponowane przez państwo pochodzą z jego kieszeni jako podatnika i są w jego dyspozycji jako wyborcy.

Nie kryję, że chociaż ekonomiczne i społeczne konsekwencje militaryzacji PRL są moją prywatną i amatorską obsesją od 1951 roku, mimo to nie byłem w stanie dać rozmówcy odpowiedzi jasnej i jednoznacznej. Więcej w niej było znaków zapytania niż konkretów. Również teraz, pisząc, muszę zawczasu uprzedzić ewentualnego czytelnika, że to co konkretne w tym artykule, mianowicie oficjalne dane, jest nieprawdziwe, to zaś co prawdziwe — niekonkretne, bo operujące wysokim stopniem przybliżenia. Ale właśnie dlatego należy podjąć i poddać publicznej dyskusji kompleks problemów związanych z gospodarczymi konsekwencjami udziału PRL w Układzie Warszawskim.

2. Jeśli wierzyć oficjalnej statystyce

Zacznijmy od danych oficjalnych, publikowanych co roku w *Roczniku Statystycznym*. Jest to gruba księga licząca (w 1977 roku) ponad 500 stron tablic, wykresów i wyjaśnień, ale danych o wojsku jest w niej nadzwyczaj mało. W indeksie rzeczowym nie ma nawet żadnego hasła wojskowego, ani np. *siły zbrojne*, ani *Ludowe Wojsko Polskie*, ani nawet *obrona narodowa*. Nawet liczebność sił zbrojnych PRL jest tajna. Przed kim jest ona ukrywana? Przed wywiadem amerykańskim? Nie potrzebuje on sięgać do *Rocznika*, ma te dane z innych źródeł.

Rocznik zawiera szczegółową tabelę przeciętnych płac, z której można dowiedzieć się, ile zarabia średnio pracownik przemysłu lekkiego a ile leśnik. Nie dowiemy się jednak jaka jest przeciętna płaca zawodowych wojskowych. Przed kim ukrywa się te dane? Nie omylisz się, Czytelniku, jeśli wysnujesz wniosek, że dane o wojsku są ukrywane przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie przed Tobą.

Jedynym źródłem informacji o sprawach militarnych jest budżet państwa, zawierający kwotę przeznaczoną na *obronę narodową*. To są te dane oficjalne, którym zamierzamy się przyjrzeć na samym wstępie. Ponieważ PRL nie jest państwem suwerennym, i ponieważ zbrojenia jej są częścią szerszego programu, zwróćmy również uwagę na statystykę sowiecką. Spróbujmy również absolutne liczby budżetu porównać z innymi pozycjami ekonomii obu państw. Dane te ujęliśmy w tabeli Nr 1 i 2.

TABELA 1. WYDATKI ZSSR NA OBRONĘ WEDŁUG OFICJALNYCH DANYCH

R o k	Wydatki na obronę (w mld. rubli)	Ditto, w % do budżetu	Ditto, w % do dochodu narodowego	Ditto, w % do produktu globalnego
1940	5,7	32,6		
1965	12,8	12,6	6,6	3,0
1970	17,9	11,5	6,2	2,8
1971	17,9	10,9	5,9	2,6
1972	17,9	10,3	5,7	2,5
1973	17,9	9,7	5,3	2,3
1974	17,7	8,9	5,0	2,1
1975	17,4	8,1	4,8	2,0
1976	17,4	7,7	4,6	1,9
1977	17,2	7,2	b.d.	b.d.

Opracowane na podstawie: *Narodnoje chozjajstwo SSSR — 1975; Statistical Yearbook 1976, United Nation.*

TABELA 2. WYDATKI PRL NA OBRONĘ WEDŁUG OFICJALNYCH DANYCH

R o k	Wydatki na obronę (w mld. złotych)	Ditto, w % do budżetu	Ditto, w % do dochodu narodowego	Ditto, w % do produktu globalnego
1965	23,2	8,0	4,4	—
1970	34,1	10,4	4,6	1,7
1971	36,8	10,9	4,3	1,7
1972	37,0	10,8	3,9	1,5
1973	40,5	10,6	3,8	1,5
1974	43,1	8,8	3,8	1,4
1975	47,6	6,7	3,5	1,3
1976	50,4	6,7	2,9	1,2
1977	54,0	6,2	b.d.	b.d.

Opracowane na podstawie: *Rocznik Statystyczny, Gł. Urząd Statystyczny — 1977; Statistical Yearbook 1976, United Nations.*

Według tych danych w Związku Sowieckim na wojsko i zbrojenia poświęca się w ostatnim dziesięcioleciu nie więcej niż ósmą część budżetu i tylko piętnastą część dochodu narodowego. W PRL wydatki wojskowe są jeszcze mniejsze, bo w tym samym czasie nie przekroczyły jedenastej części budżetu, a z bochenka dochodu narodowego tylko co dwudziestą kromkę odcinano na to, co oficjalnie nazywa się „obroną narodową”.

Z tabeli tych wynika również, że udział „wydatków na obronę” w ZSSR ma wyraźną tendencję do stagnacji w liczbach

absolutnych i do zmniejszania się w odniesieniu do budżetu i do produktu narodowego. W Polsce tendencje są zbliżone, choć niezupełnie takie same — między 1972 a 1974 r. wydatki te zwiększyły się np. o 16,5 % — ale i tu ich udział w budżecie i dochodzie narodowym zwłaszcza jeśli brać dłuższe odcinki czasu — ma tendencję zanikającą. Jeszcze mniejsze są koszty zbrojeń, jeśli odnieść je do produktu globalnego — zarówno w ZSSR jak i w PRL — stanowią one wręcz znikomy odsetek.

Jeśli zbrojenia w ZSSR i w PRL nadal będą się zmniejszały w takim samym tempie, co w ostatnich latach, to za lat 15-20 w ogóle przestaną stanowić jakąś statystycznie dostrzegalną część produktu globalnego lub dochodu narodowego. Potęga militarna, marszałkowie i pułkownicy, bomby atomowe i wodorowe, rakiety — wszystko to będzie chyba nadal istniało, ale nie będzie kosztowało!

Nie jest to jedyny paradoks statystyczny. Jeśli wierzyć danym oficjalnym, jeśli również przyjąć, że 1 rubel sowiecki był wart 17 złotych, to nie trudno obliczyć, że w np. w 1975 roku w przeliczeniu na jednego mieszkańca Związek Sowiecki wydawał rocznie 1.164 złotych, natomiast PRL odpowiednio — 1.399 zł. Kto chce — niech wierzy!

Powodów do wątpliwości jest więcej. W tym samym 1975 r. PRL wydała na „obronę narodową” 47,6 mld. zł. w cenach bieżących. Jej siły zbrojne — według niekwestionowanych danych amerykańskich — liczyły w tym samym czasie 435 tys. osób. Jeden wojskowy kosztował więc nie więcej niż 109 tys. zł. rocznie. We współczesnym wojsku duża część stanu osobowego to kadra zawodowa. W niektórych broniach i służbach stan stały stanowi niemal 100 % (personel latający, sztaby, szkoły wojskowe, administracja terenowa, WSW itd.). Nie omylimy się zakładając, że co czwarty wojskowy w PRL pełni służbę zawodową. Pobory zawodowego wojskowego oraz świadczenia w naturze przekraczały te 109 tysięcy. A więc co najmniej czwarta część budżetu wojskowego szła na płace i świadczenia! Reszta prelimitowanych środków ledwo mogła starczyć na pozostałe wydatki „vegetacyjne”. W tak szczupłym budżecie nie starczy groza na szkolenie wojska, na ćwiczenia i już nie do pomyślenia byłaby jakiegokolwiek modernizacja uzbrojenia.

Istnieje od lat ogólny problem wiarygodności oficjalnej statystyki państw bloku sowieckiego.

Zakrawa to na ponurą ironię, ale od czasu do czasu dane oficjalne są dementowane przez osoby odpowiedzialne za ich fałszowanie. Przypomnijmy jeden ważny wypadek. W 1970 roku, w grudniu, w dramatycznych okolicznościach kryzysu i gospodar-

czego i politycznego w PRL traci władzę Władysław Gomułka, obejmuje ją Edward Gierek. Problemem dnia jest przywrócenie spokoju za cenę pewnych ustępstw ekonomicznych. Gierek wie, że są rezerwy ekonomiczne i wie, że z tych rezerw musi niezwłocznie skorzystać. W dniu 16 kwietnia 1971 roku nowy I-szy sekretarz wygłasza na posiedzeniu KC PZPR przemówienie programowe. Mimo pokrętności partyjnej nowomowy jest ono wyraźne: Po Drugiej Wojnie Światowej „Związek Sowiecki niósł na sobie główny ciężar budowy współczesnego potencjału obronnego, niezbędnego w obliczu agresywnej polityki sił imperialistycznych [...]”. Potencjał taki został stworzony i choć z pewnością wymaga dalszych poważnych nakładów, to jednak obecny poziom sowieckich sił wytwórczych pozwala na równoległe realizowanie zadań obronnych wraz z koncentracją na szybkiej poprawie warunków życiowych¹.

Jak widzimy Gierek stwierdza, że istnieje wyraźny konflikt między zbrojeniami a dobrobytem, i że dotychczas forsowano zbrojenia kosztem stopy życiowej społeczeństw, zarówno sowieckiego jak i polskiego. W jego przeświadczeniu czy też kalkulacji nie trzeba było nawet redukcji zbrojeń — nawet zamrożenie ich na ówczesnym poziomie wyzwoliłoby środki potrzebne dla poprawy bytu. Gierek nie próbował nawet bronić bajeczki o 4,6 % dochodu narodowego zużytych w ubiegłym, 1970 roku, na zbrojenia. Trudno by mu było przekonać kogokolwiek, że w takim ułamku dochodu narodowego tkwią podstawowe rezerwy ekonomicznego zdrowia i politycznego spokoju. Bowiem 34,1 miliarda złotych rzekomo wydanych „na obronę” stanowiło tylko 1.044 złotych na statystycznego Polaka, a 2.247 zł. (rocznie!) na jednego zatrudnionego. Ich redukcja do połowy dałaby statystycznemu mieszkańcowi kraju między Bugiem a Odrą najwyżej 500 złotych rocznie, mniej niż ekwiwalent pracowniczych biletów komunikacji miejskiej. A przecież trudno sobie wyobrazić, że Gierek by się zdobył, a Moskwa pozwoliła, na tak drastyczne ograniczenie tego, co w nowomowie nazywa się gotowością obronną.

Nie danymi oficjalnymi kierował się kilka lat później publicysta nieopozycyjnej przecież *Polityki* piszący, że „... wysiłek zbrojeniowy poważnie obciąża gospodarkę, wpływając na nasz standard życiowy, i że zmniejszenie tego wysiłku odczulibyśmy jako znaczną ulgę”².

Lata lecą, ludzie się zmieniają. Może nie tyle ludzie, co

1. IX plenum KC PZPR. Podstawowe materiały. Warszawa, 1971, str. 13.

2. *Polityka* Nr 2, 14/1. 1978, Mozołowski A., „Wojsko rośnie nauką”.

ich poglądy. Może nie tyle poglądy, co wypowiedzi. W trzy lata po dojściu do władzy Gierek nie wznawiał wcześniej wypowiedzianych ocen, lecz lakonicznie stwierdzał, że „do wysiłku obronnego wspólnoty socjalistycznej nasze państwo i nasze ludowe siły zbrojne wnoszą wkład godny narodu polskiego”³.



3. Nigdy nie pracując na odcinku pozwalającym na wgląd w tę dziedzinę, próbowałem w rozmaity sposób dotrzeć do cząstkowych chociażby danych. Do dyspozycji miałem jedną tylko metodę, mianowicie przypadkowe rozmowy z ludźmi, którzy z racji stanowiska lub przygotowania naukowego wiedzieli więcej ode mnie.

Pytałem oficerów i cywilów, profesorów i urzędników, młodych, robiących karierę moczarowców jak i usuniętych z pracy „syjonistów”. Moi rozmówcy wiedzieli i dużo i nic.

Wiedzieli dużo, bo każdy z nich dawał mi dowody, że oficjalna statystyka jest celowo myląca, i nawet najbardziej zagorzali rzecznicy systemu nie próbowali bronić cnoty PRL, w najlepszym wypadku twierdząc, że „Stany Zjednoczone też nie ujawniają rzeczywistych kosztów zbrojeń”.

Ich wiedza była znikoma, bo nikt z nich nie znał prawdziwego stanu rzeczy, najwyżej operując bardzo przybliżonym szacunkiem, opartym o algebraiczną ekstrapolację⁴.

Proces weryfikacji sowieckich i kadecelewskich materiałów statystycznych zawsze jest trudny i, co ważniejsze, zawsze w dużej mierze szacunkowy.

Dochodzenie do prawdy o kosztach zbrojeń jest jednak szczególnie trudne, albowiem w tej dziedzinie każdy szczegół jest objęty tajemnicą, o wiele ściślejszą niż konstrukcyjna i technologiczna strona tych zbrojeń.

Sowiecki samolot lub czołg nie stanowi takiej tajemnicy jak

3. XIII plenum KC PZPR... Warszawa, 1974, str. 29. Sens tej wypowiedzi jest niezbyt jednoznaczny. Niewątpliwie stanowi on aprobatę dla ponoszonych podówczas ciężarów zbrojeniowych. Czy nie tkwi w nim jednak i ostrzeżenie, że zwiększenie ich byłoby politycznie i gospodarczo niewskazane? Taki komentarz nie wydaje się pozbawiony podstaw w świetle przecieków z rozmów sowiecko-polskich, o czym w ostatniej części niniejszego artykułu.

4. Podobny wniosek wysnuł Michał Chęciński w pracy „The cost of armament production and the profitability of armament exports in Comecon countries” (Jerusalem, 1974). Wiele wniosków niniejszego artykułu zbiega się z konkluzjami tego wybitnego znawcy przedmiotu.

koszt jego wyprodukowania. Dowódca pułku w PRL wie dokładnie ile żołnierzy ma otrzymać i jakie uzbrojenie, zna również dane techniczne uzbrojenia, nie ma jednak prawa wiedzieć jakie wydatki ponosi państwo w związku z „przydziałem” czołgów, dział, amunicji. Jednostką budżetową jest dopiero wojsko jako całość. Ale i na szczeblu ministerstwa obrony nie zna się całej prawdy, dowodzi wyżej cytowany Chęciński, i ma niewątpliwie rację.



4. W ostatnich latach szerokie zainteresowanie wzbudziło obliczenie specjalistów zatrudnionych przez amerykańską służbę wywiadowczą CIA z r. 1970, stwierdzające że Związek Sowiecki zużywa na zbrojenia od 11 % do 13 % produktu globalnego. Obliczenie to znalazło aprobatę z wielu stron, między innymi ze strony poważnego, londyńskiego *International Institute for Strategic Studies* (IISS) w opublikowanym wiosną ub. roku raporcie⁵. Za zasadnością tego obliczenia przemawia m.in. korelacja produktu globalnego z wydatkami na zbrojenie. Jeśli bowiem uznać, że między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi istnieje, zwłaszcza w perspektywie dziesięcioleci, jakaś względna równowaga sił militarnych, to istnieje też jakaś równowaga kosztów. Ponieważ Stany Zjednoczone zużywają na utrzymanie i rozbudowę potencjału militarnego (dane z 1974 roku) 6,4 % produktu globalnego, ponieważ amerykański produkt globalny jest dwa razy większy niż sowiecki, przeto by dorównać Stanom muszą władze sowieckie zużyć tyle samo materiału, stanowiącego jednak dwa razy większą część wytworzonego w kraju bochenka. Z tego wynika, że Związek Sowiecki zużywa na zbrojenia 5,5 razy albo nawet 6,5 razy więcej, niż ujawnia oficjalna statystyka. Albo inaczej: oficjalne dane stanowią tylko 18 % albo nawet 15 % faktycznych wydatków.

Prasa sowiecka, tak zawsze wyczulona, nie podjęła polemiki z tymi obliczeniami. Nie popełnimy błędu, jeśli milczenie strony sowieckiej przypiszemy pragnieniu, by na świecie jak najmniej dyskutowano tę drażliwą sprawę. Ponieważ:

Obliczony przez CIA budżet wojskowy stanowi równowartość od 90 miliardów rubli do 106 miliardów rubli (w 1974 roku) a więc równowartość:

- 25 % - 30 % dochodu narodowego
- 92 % - 108 % funduszu akumulacji (inwestycji)
- 41 % - 48 % funduszu indywidualnego spożycia
- 50 % - 58 % budżetu państwowego.

5. *Strategic Survey from IISS, 1976. London, 1977.*

Przetłumaczmy te pozycje na bardziej zrozumiały język liczb gospodarki indywidualnej. Oznaczają one, że w 1974 roku każdy mieszkaniec ZSSR — niezależnie od wieku, płci, narodowości i miejsca zamieszkania — płacił od 360 rubli do 420 rubli rocznie na rzecz światowładczych planów państwa. Według oficjalnych przeliczeń stanowi to ok. 6.000 - 7.200 zł. Ciężar ten podniesie się znacznie, jeśli podmiotem obliczeń uczynimy zatrudnioną jednostkę. Każdy pracujący płacił w owym roku od 750 do 890 rubli (12.750 - 15.000 zł.). Kwota ta stanowiła równowartość 43 % - 50 % średniej płac robotników i pracowników umysłowych, zatrudnionych w gospodarce narodowej (bez kolchozników), a w każdym wypadku więcej niż minimum płac, określone podówczas na 60 rubli miesięcznie czyli 720 rubli rocznie.

Napisałem, że obliczenia CIA z 1970 roku zdobyły sobie szerokie wzięcie. By uniknąć nieporozumień: jest to aproba dla powściągliwości i ostrożności wniosków. W tej powściągliwości, twierdzą krytycy, tkwi jednak poważne niebezpieczeństwo błędu. Obliczenie z 1970 roku opierało się w dużej, jeśli nie głównej mierze, na przesłankach, że:

- a) istnieje równowaga potencjału militarnego USA i ZSSR,
- b) sowiecki produkt globalny jest dwa razy mniejszy niż amerykański,
- c) ZSSR ponosi takie same koszty zbrojeń jak USA,
- d) zbrojenia sowieckie pochłaniają dwukrotnie większą część produktu globalnego niż USA.

Pomijając na ile dyskusyjne jest założenie wstępne, krytycy akcentują niesłuszność przeświadczenia, że koszty zbrojeń sowieckich są równe amerykańskim. sowiecka produkcja zbrojeniowa jest bardzo droga, o wiele droższa od amerykańskiej i w ogóle od zachodniej⁶.

Przy ogólnej nieefektywności systemu dotrzymywanie kroku Zachodowi odbywa się kosztem wielkiej koncentracji sił i środków na odcinkach istotnych z punktu widzenia polityki państwa. „Na jeden wynalazek — opozycyjny uczony przytacza sowieckie dane oficjalne — pracuje w ZSSR 100 zajętych nim inżynierów, podczas gdy w RFN tylko 4, we Francji — 6, w Anglii — 8,

6. O wysokich kosztach sowieckiej produkcji zbrojeniowej i ich destrukcyjnym wpływie na gospodarkę pisał niedawno Santiago Carrillo („... Blok wschodni musi się zmienić. *Aneks*, 1977, 16-17, str. 58). Carrillo jest kompetentny w tych sprawach — tysiące komunistów hiszpańskich pracowało lub nadal pracuje w sowieckim przemyśle.

w USA — 18”⁷, niezależnie zresztą od wartości nowych konstrukcji.

Sowieckie konstrukcje są opóźnione już w momencie powstawania, co powoduje szybkie „moralne zestarzenie się” uzbrojenia i częste zmiany tzw. generacji. Niska wydajność anuluje ewentualną wygodę niskich płac, a opóźnienie technologiczne powoduje niepomierne zużycie surowców i energii⁸.

Późniejsze obliczenia — jako zasada — przyjmują, że koszt sowieckich zbrojeń jest wyższy od amerykańskich⁹. Najnowsze obliczenia amerykańskie prowadzą do konkluzji, że Związek Sowiecki wydaje na zbrojenia 50 % więcej niż Stany Zjednoczone. Według tych obliczeń ZSSR zużywa na zbrojenia 15 % - 20 % produktu globalnego i 37,5 % - 45 % dochodu narodowego, a koszty te stanowiły równowartość 64 % - 75 % przeciętnych zarobków wyżej wspomnianych kategorii pracowników. Jest to równowartość 75 % - 85 % budżetu państwa!

Amerykańskie obliczenia robione są przy pomocy rozbudowanej aparatury elektronicznej z zastosowaniem różnych metod porównawczych i kontrolnych, są jednak obliczeniami z zewnątrz. Czy istnieją obliczenia od wewnątrz?

W 1974 roku fachową prasę amerykańską obiegła wiadomość, że „liczni sowieccy rozczarowani ekonomiści ujawnili, iż ZSSR inwestuje w zbrojenia 30 do 40 % produktu globalnego”¹⁰, jednak ta liczba wydała się również w USA niewiarygodnie wysoka. Nie wiadomo również od kogo i w jaki sposób wiadomość ta dotarła do prasy amerykańskiej i na jakich metodologicznych przesłankach została oparta.

Ostrożniejsze obliczenia leżą u podstaw danych, ujawnionych przez Andrieja Sacharowa. Wielki uczony twierdzi, że: „w żadnym innym państwie wydatki wojenne nie stanowią tak wielkiej części dochodu narodowego jak w ZSSR, gdzie wynoszą ponad 40 %”. Jest to zdanie z pracy napisanej w 1972 roku, a opublikowanej cztery lata później¹¹. Uderza zgodność obliczeń ujaw-

7. Burżundemow N., *Očerki rastuščej ideologii*. Monachium, 1974, str. 37.

8. W 1968 roku czechosłowaccy ekonomiści ujawnili, że w ich kraju na jednostkę produktu zużywa się dwa razy tyle surowców i energii co w uprzemysłowionych krajach Zachodu, mimo to Czechosłowacja górowała technologicznie nad ZSSR.

Powyższe obliczenie nie wyodrębnia produkcji zbrojeniowej, również i tam droższej niż przeciętna.

9. Przegląd obliczeń poczynionych w rozmaitych amerykańskich ośrodkach, oraz obliczenia chińskie, relacjonuje najnowsza publikacja londyńskiego IISS „*The Military Balance 1977-1978*”, Londyn, 1978, str. 10-11.

10. Cyt. według: *Air Force Magazine*, 1974, 12, str. 6.

11. Sacharow A., *O stranie i mirie*. New York, 1976, str. 137.

nionych przez Sacharowa z najnowszymi obliczeniami amerykańskimi. W militaryzacji ekonomiki wielki uczony dopatruje się podstawowego źródła biedy zwykłego obywatela, zaniedbań szkolnictwa, ochrony zdrowia i opieki społecznej, oraz rażących dysproporcji społecznych. Może tylko warto zwrócić uwagę, że poglądy Sacharowa zgadzają się z wypowiedzią Gierka u progu jego namiestnictwa.

Przypomnijmy liczby: Ponad 40 % dochodu narodowego, równowartość 70 % zarobków i trzech czwartych budżetu państwa — takie jest prawdopodobne brzemie sowieckich zbrojeń. W związku z powyższym godzi się sformułować *wniosek o dość rozległym znaczeniu i metodologicznym i praktycznym*. Chodzi o to, że w tzw. „ekonomii politycznej socjalizmu” istnieje schemat dzielący *dochód narodowy* na *fundusz spożycia* i *fundusz akumulacji*, a wytwarzanie na *produkcję środków produkcji* i *produkcję środków konsumpcji*. Jest to systematyzacja i niepełna i celowo myląca. Istnieje bowiem potężny dział produkcji „dóbr” (ten termin ekonomii politycznej daje się tu użyć tylko w cudzysłowie), które nie są ani środkami produkcji ani nie służą zaspokojeniu potrzeb konsumpcyjnych. *Trzecim działem „socjalistycznej gospodarki” są zbrojenia*. Wszelka całościowa analiza gospodarcza, nie uwzględniająca tego czynnika, skazana jest na bujanie w obłokach oficjalnego kłamstwa.

I drugi wniosek, wypływający z pierwszego. *Rozmiary sowieckich zbrojeń są ograniczone przede wszystkim przez potencjał gospodarczy kraju. Im większy potencjał, tym większe zbrojenia*. Widziana z zewnątrz gospodarka sowiecka (i sowieckiego typu) robi wrażenie bezmyślnej, chaotycznej, jałowej. Wskaźniki, jakże imponujące, wzrostu produkcji ani nie znajdują wyrazu w stopie życiowej, ani odzwierciedlenia na półkach sklepów żywnościowych i przemysłowych. Cały przyrost tonie w jakiejś niewidzialnej rzece. Wielu sądzi, że praca jest pożerana przez głupotę kierowników i biurokratyzm państwa. Nie zamierzam bronić walorów przywódców bloku sowieckiego, ale ci co mają wgląd w istotny stan rzeczy wiedzą, że wszelka nadwyżka gospodarcza pochłaniana jest przez wartki potok zbrojeń. Zbrojenia są celem nadrzędnym gospodarki sowieckiej. I nawet obywatel jest wynagradzany proporcjonalnie do wkładu w militaryzację państwa, ale to stanowi już temat dla odrębnych, bardziej socjologicznych niż ekonomicznych rozważań.

5. Zestawienia sowieckich danych oficjalnych z obliczeniami zachodnich ekspertów są do tego stopnia szokujące, że niezależ-

nie nawet od tego co myślimy na temat państwa sowieckiego, musimy zadać sobie pytanie, czy oszustwo na tak wielką skalę jest możliwe?

Niestety, taka możliwość istnieje i władze korzystają z niej ile tylko mogą. Opinie kompetentnych polskich ekspertów świadczą, że technika oszustwa w ZSSR i w PRL jest z grubsza ta sama, jako że struktura ekonomiczna oraz metody ewidencji gospodarczej PRL zostały przejęte z wzorów udostępnionych przez Moskwę.

To co wiemy o machinacjach w PRL w dużym stopniu wyjaśnia legendy statystyki sowieckiej.

Oszustwo w zasadzie sprowadza się więc do dwóch zabiegów. *Pierwszy z nich — to ukrywanie wydatków wojska w cywilnych pozycjach budżetowych*. O tym zabiegu wiemy niby wszyscy, ale dokładnie — jako społeczeństwo — wiemy mało. Domyślamy się, że za kulisami odbywają się dziwne machinacje budżetowo-statystyczne, czasami mamy wgląd w niektóre operacje, ale mało kto wie o ich całokształcie, a ci co wiedzą — potrafią trzymać język za zębami.

Autor niniejszego szkicu był przez kilkanaście lat wykładowcą w wojskowej uczelni, liczącej — zależnie od stawianych jej zadań — od 600 do 1,200 oficerów, wykładowców i słuchaczy. Każdy z nas, co miesiąc, otrzymując pobory składał podpis na tajnej (a jakże!) liście płac, opatrzonej znakami ministerstwa Obrony Narodowej. Czy ktokolwiek z nas wiedział, że w istocie rzeczy figuruje w statystyce w rubryce „wydatki na oświatę”?

A wygląda to, jak mi wyjaśnił pewien dyrektor departamentu, tak: Co roku ministerstwo Oświaty „wypożycza” ministerstwu Obrony odpowiednie kwoty, z których pod koniec roku ten resort „rozlicza się” przed wypożyczającym.

W rezultacie budżet oświaty jest pasztetem z jednego zajęcia i jednego konia: przysłowiowa już bieda nauczycieli kontrastuje z warunkami materialnymi i mieszkaniowymi oficerów, a wyposażenie akademii wojskowych jest zgoła inne niż uniwersytetów.

Podobne manipulacje czynione są z innymi pozycjami budżetu i statystyki. W dziale *budownictwo* mieści się koszt domów mieszkalnych dla kadry wojskowej, a być może również i budynków koszarowych. Nie są to błahе sumy — sytuacja mieszkaniowa oficerów, na pewno nie idealna, jest o wiele lepsza niż średnia krajowa. Kosztowna, niekiedy wręcz rozrzutna, wojskowa służba zdrowia poważnie fałszuje faktyczne wydatki na lecznictwo — zwracał kiedyś na to uwagę Sacharow. Wysokie emerytury wojskowe (po spoju z emeryturami aparatu partyjnego, funkcjo-

nariuszy MO i Bezpieczeństwa) mieszczą się w jednej pozycji z tragicznie nieraz niskimi emeryturami dla byłych robotników i pracowników umysłowych.

Nauka w PRL jest mniej zmilitaryzowana niż sowiecka¹², ale i tu pieniądze dozowane są w zależności od tego, na ile dana dziedzina „wiąże się” z programem zbrojeniowym.

Największe możliwości „podwójnej buchalterii” mieszczą się jednak — twierdzą specjaliści — w budżetach resortów ekonomicznych, w kwotach prelimitowanych na inwestycje w przemyśle, transporcie, łączności, gospodarce komunalnej itd. Wszyscy wiemy, że niektóre dziedziny są uprzywilejowane w inwestycjach, inne upośledzone. Przemysł ciężki w tej skali „... w jakiej został rozbudowany w PRL — zwraca uwagę niezależny publicysta — znacznie, a w niektórych dziedzinach kilkakrotnie, przekracza uzasadnione potrzeby społeczne [...]. Potencjalnie cały przemysł ciężki jest przemysłem zbrojeniowym i w tym znajduje swą ostateczną rację”¹³.

Miarodajne świadectwa dowodzą, że w latach pięćdziesiątych 55 % funduszy przeznaczonych w PRL na rozbudowę komunikacji szło bezpośrednio na zaspokojenie potrzeb wojska i tylko wojska; rekord militaryzacji biła chemia — 2/3 jej funduszy inwestycyjnych było w dyspozycji departamentu wojskowego Ministerstwa Przemysłu Chemicznego¹⁴.

Te liczby ściśle pochodzą sprzed wielu lat. Jedni twierdzą, że obecnie zbrojenia nadal pochłaniają wielką część sum przeznaczonych w budżecie na inwestycje, ale technika „współpracy” wojska z przemysłem uległa zmianom; inni skłonni są sądzić, że jednak obecnie, w porównaniu z latami „zimnej wojny”, udział zbrojeń w inwestycjach uległ znacznej redukcji. Być może, ale według wszelkich przypuszczeń najkosztowniejsza inwestycja ostatnich lat, Huta „Katowice”, została w PRL zbudowana w okresie, gdy świat przeżywa dotkliwy kryzys nadprodukcji stali, gdy hutnictwo z powodu nierentowności i braku zbytu kurczy

12. „A co by było, gdybyśmy jutro stracili połowę instytutów badawczych, najważniejszych, najtajniejszych — czy przestałaby istnieć nauka? Nie, imperializm!” (Aleksander Sołżenicyń w *Is pod głyb*, Paryż, 1974, str. 242).

13. Marek Iskra, *Obecna sytuacja gospodarcza. Strukturalne przyczyny kryzysu*. „Opinia” (Warszawa) Nr 4, 1/8. 1977.

14. A może tu należy szukać przyczyny dla której sowiecki przemysł chemiczny, jeśli wierzyć moskiewskiej prasie drugi na świecie, dający jedną trzecią światowej produkcji, nie potrafi dostarczyć ani nawozów sztucznych własnemu, wegetującemu rolnictwu, ani włókien sztucznych na odzianie ludności?

wszędzie rozmiary produkcji. Widocznie produkcja stali w PRL ma zapewniony rynek zbytu¹⁵.

Kwoty przeznaczone na gospodarkę stanowią w budżecie PRL mniej więcej połowę planowanych wydatków, podczas gdy „obrona narodowa”, przypominam, w ostatnich latach pochłaniała tylko 6-7 %. Nie omylimy się, jeśli założymy, iż w inwestycjach mieszczą się koszty zbrojeń, dużo wyższe niż oficjalny budżet Ministerstwa Obrony Narodowej.

Ukrywanie zbrojeń w kosztach inwestycji jest jeszcze wyraźniejsze w ZSSR, gdzie ministerstwo Budowy Maszyn Średnich jest kryptonimem zbrojeń atomowych, a Budowy Maszyn Ogólnych — zbrojeń raketowych. Każdy rubel włożony w inwestycje tych resortów jest w istocie wkładem w zbrojenia. O tym wiedzą dosłownie wszyscy, i mieszkańcy ZSSR i władze państw zachodnich¹⁶.



6. Uważny czytelnik, pamiętając że zbrojenia pochłaniają — według najnowszych obliczeń — równowartość 75-85 % budżetu sowieckiego, zapyta czy jest to w ogóle możliwe. Jest to pytanie jak najbardziej uzasadnione, gdyby bowiem wszystkie koszty zbrojeń były pokrywane ze źródeł budżetowych, to na wszystkie inne potrzeby pozostawałyby okruchy, mniej więcej 15-25 %, co nawet w ZSSR jest niemożliwością.

15. Warto przytoczyć tu fragment wywiadu przeprowadzonego przez Jerzego Giedroyc'a ze Stefanem Kisielewskim:

Giedroyc: — A czy nie sądzi Pan, że niektóre wielkie inwestycje jak np. Huta „Katowice” robione są pod kątem „sojusznich” zbrojeń?

Kisielewski: — Bardzo Pana przepraszam, ale na to pytanie nie odpowiem, bo mi skóra miła [...], po drugie, bo naprawdę nie wiem. O kalkulacjach Huty „Katowice” nikt w Polsce nie pewnego nie wie, a pisać nie wolno, cenzura wszystko zrabie. Więć... (Kultura Nr 3, 1978, str. 15).

16. Na marginesie powyższego warto zwrócić jeszcze uwagę na problem, który co prawda nie wiąże się ściśle z kosztami zbrojeń wyrażonymi w pieniądzu, ale przecież należy także do sfery społecznych kosztów zmilitaryzowanej ekonomiki. Otóż każdy czytelnik prasy PRL niewątpliwie zwrócił wielokrotnie uwagę na powtarzające się utyskiwania na powolne tempo realizacji inwestycji. To co winno być zbudowane w przeciągu roku, trwa dwa-trzy lata, obiekty przemysłowe planowane na 3-4 lata wchodzą w życie po 6-8 latach itd. Jest to jedna z istotniejszych plag w PRL. Ale ilekroć zwracamy uwagę na przyślawiowe żółwie tempo budownictwa, pamiętajmy, że poza złym planowaniem, ślamazarnością dyrektorów, niedbalstwem kooperantów, pijaństwem itd. kryje się jeszcze jedno, mianowicie tzw. priorytety. Zakłady ważne z punktu widzenia zbrojeniowego nie cierpią na opóźnienie w dokumentacji, brak mocy przerobowej lub siły roboczej, którą w ostateczności rekrutuje się przy pomocy powołania na rzekome „ćwiczenia wojskowe”. Priorytet zbrojeń jest jednym z czynników poważnie dezorganizujących budownictwo przemysłowe i mieszkaniowe.

Z tego względu w budżecie ukrywana jest tylko część wydatków zbrojeniowych. Obok fałszerstw w budżecie stosuje się również szeroko *drugą metodę*, mianowicie ukrywanie tych kosztów w rozliczeniach przedbudżetowych, w kosztach własnych przedsiębiorstw i wyższych jednostek gospodarczych.

Następuje to poprzez swoistą politykę cen. Wojsko płaci za otrzymywane produkty dużo poniżej kosztów własnych, czasami cenę wręcz symboliczną. Dostarczające przedsiębiorstwo (lub organizacja nadrzędna) wyrównuje nieuchronny deficyt poprzez wygórowane ceny towarów rynkowych, lub przeznaczonych dla cywilnych resortów¹⁷.

Ten zespół zabiegów oficjalnie w PRL nazywa się *rozliczeniami wewnątrzresortowymi*. Niewspółmierne do kosztów produkcji i do wartości cen rynkowych artykułów przemysłowych, poczynając od odzieży, poprzez telewizory i aparaty radiowe a kończąc na samochodach i motocyklach kryją straty ponoszone przez przemysł z tytułu dostaw dla wojska¹⁸.

Ceny nie oparte o ekonomiczną kalkulację, lecz określone mocą politycznej decyzji, są w ogóle zmorą gospodarki i ZSSR i PRL i innych państw demokracji ludowej. Główną przeszkodą dla cen ekonomicznie uzasadnionych są żądania kompleksu zbrojeniowego. Chodzi nie tylko o ceny zbytu, lecz również kalkulację kosztów produkcji. Ponieważ *rozliczeniami wewnątrzresortowymi* objęte są nie tylko produkty końcowe, lecz również surowce i półfabrykaty, trudno w PRL ustalić co ile rzeczywiście kosztuje i wszelka kalkulacja nosi tylko przybliżony charakter¹⁹.

Wszelka sensowna reforma gospodarcza w państwach Układu

17. Zauważmy, że już przerzucenie kosztów inwestycji na budżet państwa daje możliwość sztucznie niskiej kalkulacji cen niektórych towarów. Ta możliwość nie zaspakaja jednak potrzeb gospodarki zbrojeniowej, „zmuszonej” sięgać do innych form sztucznej obniżki swych nakładów.

18. Nawiasem mówiąc, rozwój niektórych dziedzin przemysłu, np. radio-technicznego, i zalew rynku niektórymi towarami spowodowany jest koniecznością uruchomienia takiej produkcji, która by wyrównywała straty ponoszone przez przemysł. Byłem kiedyś obecny przy rozmowie dwóch sterników przemysłu ciężkiego w PRL, zastanawiających się co z tego punktu widzenia będzie bardziej korzystne: forsowanie motoryzacji, czy produkcja jakościowego sprzętu domowego (pralki automatyczne, lodówki, zamrażarki itd.).

19. Pod koniec lat pięćdziesiątych wysłuchałem przeznaczonego dla wyższych oficerów politycznych referatu przedstawiciela PRL w Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej Olszewskiego. Niektórzy słuchacze dali wyraz zaniepokojeniu z powodu szybkiego rozwoju handlu ze Związkiem Sowieckim. Prelegent uspokoił ich wyjaśnieniem, że co prawda układy handlowe z ZSSR operują rublami, ale ich rentowność jest sprawdzana przez stronę polską poprzez przymierzenie ich do cen dolarowych (*terms of trade*). Trudno o bardziej wyraźne i autorytatywne potwierdzenie tego, co w kraju nazywa się „księżycowością cen”.

Warszawskiego musi podjąć zaległą, od lat zaśniedziałą sprawę struktury cen. Wszelka zaś próba podjęcia tego problemu powoduje w pewnym momencie konfrontację z zadaniami sowieckimi w dziedzinie zbrojeń. Jak dotąd, wszelkie projekty reform w tej konfrontacji ponosiły porażkę, nie mogąc przełamać bariery celów nadrzędnych bloku sowieckiego²⁰.



7. Pora przejść do próby ustalenia brzemienia zbrojeniowego w PRL. Jest ona trudniejsza, z tego prostego względu, że PRL nie przyciąga specjalnej uwagi świata. PRL nie jest partnerem w międzynarodowej rywalizacji, jest tylko częścią bloku sowieckiego. Polska ponosi duże ciężary z tytułu tej przynależności, ale jej dywizje są wyposażone tylko w broń konwencjonalną. Na ćwiczeniach sztabowych Ludowego Wojska Polskiego szafuje się „przydziałem” taktycznych bomb atomowych, dywizja zmotoryzowana „dysponuje” dwoma, trzeba, czasem czterema bombami i w teorii rzuca je na domniemanego nieprzyjaciela, ale wiadomo, że są to tylko terminy umowne — broń atomowa jest w wyłącznej dyspozycji wojsk sowieckich. Wyżsi oficerowie PRL niejednokrotnie skarżyli się, że o najnowszym konwencjonalnym uzbrojeniu sowieckim często dowiadują się od syryjskich stażystów — PRL nie jest nawet wyposażona w tę broń konwencjonalną, którą otrzymuje Damaszek.

Jeśli potencjał militarny PRL nie wzbudza zbytniego zainteresowania, to tym bardziej uwaga świata nie skupia się na jego ekonomicznych parametrach — ostatecznie to my, a nie Amerykanie lub Anglicy, powinniśmy się martwić polską biedą i polskimi dysproporcjami.

Dysponujemy dwoma obliczeniami kosztów militarnych PRL, dokonanymi przez amerykańskich specjalistów na zlecenie tamtejszych urzędów państwowych²¹.

Liczby w obu zestawieniach różnią się minimalnie, dane WME są mniej więcej o 10 % wyższe niż EEE. Zdaniem amerykań-

20. Poza wszelką statystyką znajduje się Główny Urząd Rezerw Państwowych PRL. Jego „rezerwy” są wyłącznie wojskowego charakteru. Oficjalny *Rocznik Statystyczny 1977* nie zawiera jednak w indeksie jakiegokolwiek wzmianki o działalności tego Centralnego Urzędu.

21. — 1. *World Military Expenditures and Arms Transfers 1966-1975*. Washington, 1976. Publikacja Kongresu USA. (Dalej: WME).

— 2. *Defence Expenditures in Eastern Europe 1965 — 76*. Opr.: Thad. P. Alton, Gregor Lazarek, Eliz. B. Bass, Wassyl Znayenko (w:) *East European Economies post-Helsinki*. Washington, 1977. Publikacja Kongresu USA. (Dalej: EEE).

skich specjalistów przedmiotu, PRL zużywała w ostatnich latach następujący odsetek produktu globalnego:

1970 — 6,4 - 6,5 %	(według danych oficjalnych: 1,7 %)
1971 — 6,1 - 6,7 %	(" " " 1,7 %)
1972 — 6,0 - 6,5 %	(" " " 1,5 %)
1973 — 5,8 - 6,2 %	(" " " 1,5 %)
1974 — 5,8 - 6,2 %	(" " " 1,4 %)
1975 — 5,6 - 6,0 %	(" " " 1,3 %)
1976 — 5,4 - ?	(" " " 1,2 %)

Jak widzimy, zdaniem amerykańskich specjalistów faktyczne koszty utrzymywania sił zbrojnych PRL są co najmniej cztery razy wyższe, niż podaje oficjalna statystyka. Jeśli tak, to w 1975 roku wynosiły one w przybliżeniu 15 - 16,3 % dochodu narodowego, a 29 - 31 % wydatków budżetu państwa. Liczby te oznaczają również, że każdy mieszkaniec PRL ponosił ciężar od 6.000 do 6.400 zł. rocznie. Jeśli liczyć tylko osoby zatrudnione (wraz z indywidualnymi gospodarstwami rolnymi) to ciężar wzrośnie do 12.000 - 13.000 zł. rocznie. Przeciętne płace nominalne w PRL w tym samym roku wynosiły 3.562 zł. miesięcznie, można więc powiedzieć, że zbrojenia pochłaniały mniej więcej równowartość trzeciej części przeciętnych zarobków. To ostatnie zdanie wymaga jednak istotnego zastrzeżenia. Ostatnie lata przyniosły w PRL spotęgowane, zbliżone do sowieckich, dysproporcje stopy życiowej, noszącej charakter zbliżony do nowego podziału społecznego. Dlatego ta ostatnia średnia jest myląca.

Przeważna część ludności ponosi tylko ciężary zbrojeń, nie odczuwając korzyści z istniejącego układu gospodarczego, i to jest w zasadzie ta biedniejsza część, o stopie życiowej niższej niż przeciętna. Istnieje też jednak jakaś, statystycznie trudna do uchwycenia lecz socjalnie wyraźna część społeczeństwa, która poza ciężarami odczuwa również i zyski. Należą tu nie tylko zawodowi wojskowi, policja mundurowa i cywilna, lecz również jakaś przynajmniej część zatrudnionych w przemyśle wojennym, płacowo uprzywilejowanym w stosunku do innych działów produkcji.

8. Metody, leżące u podstaw obliczeń WME i EEE, nie są zbyt jasne. Ale małe rozbieżności rezultatów każą przypuszczać, że różnice w metodach były niewielkie i że w obu wypadkach punktem wyjścia były założenia przyjęte przez specjalistów CIA w 1970 roku. Zda się również, że weryfikacja polegała na konfrontacji oficjalnego budżetu wojska z prawdopodobnymi kosz-

tami uzbrojenia i wyposażenia Ludowego Wojska Polskiego. Nie wiadomo, czy i na ile autorzy obliczeń uwzględnili dodatkowe czynniki, takie jak:

- a) ukryte koszty budżetu vegetacyjnego wojska,
- b) straty ukryte w handlu zagranicznym (wysokie ceny dostarczanych przez ZSSR rakiet, niskie ceny uzbrojenia eksportowanego przez PRL do ZSSR),
- c) koszty udziału w sowieckiej ekspansji w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej,
- d) koszt utrzymywania rezerw państwowych,
- e) koszt budownictwa strategicznego,
- f) i wreszcie — narzut wynikający z niskiej efektywności konstrukcyjnej, technologicznej i organizacyjnej, zmuszający do korektury wyników obliczenia 1970 roku.

Dane WME i EEE wymagają więc takiej samej albo zbliżonej korektury, co obliczenia CIA z 1970 roku. Można więc szacunkowo przyjąć, że rzeczywiste koszty utrzymywania potencjału militarnego ponoszone przez PRL są o co najmniej 50 % wyższe niż przyjęto w cytowanych obliczeniach. W takim razie wynosiły one w 1975 roku równowartość:

- 22 - 25 % dochodu narodowego,
- 44 - 48 % budżetu państwowego,
- 9.000 - 9.600 zł. rocznie na jednego mieszkańca i
- 18.000 - 20.000 zł. rocznie na jednego zatrudnionego.

Jak już pisałem, lat temu dziesięć rozmawiałem z wieloma znawcami przedmiotu. Ich zdaniem kompleks militarny pochłania w PRL równowartość od jednej piątej do jednej trzeciej dochodu narodowego. Średnia algebraiczna szacunku stanowi 25 %, co dość dobrze koreluje z wyżej wymienionymi liczbami.

Okropny balast bezużytecznej produkcji, marnowanej pracy, hamulec rozwoju gospodarczego, zapała dla wszelkiej sensownej, daleko wzrocznej reformy gospodarczej. To jest jedna strona medalu. Istnieje i druga, na którą też nie należy zamykać oczu. Obciążenie PRL jest mniejsze niż sowieckie, tam bowiem zbrojenia pochłaniają aż 40 % dochodu narodowego. Bowiem taka jest druga strona medalu. Obie są nie tylko teoretyczną konstrukcją, lecz istnieją w życiu. O ile jednak w Polsce czuje się stały głuchy protest przeciwko haraczowi płaconemu na rzecz sowieckiego imperializmu²², o tyle w Moskwie panuje niezadowolone z powodu dysproporcji w ciężarach. „Myśmy ich oswo-

22. Nie zawsze jest to głuchy protest. Zauważmy, że wszystkie aktywne wystąpienia robotnicze były dziełem bądź zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym (Poznań 1956, stocznioy w 1970 roku), bądź w skooperowanych z nim przedsiębiorstwach (Ursus i Radom 1976 roku).

bodzili!" lub „My ich utrzymujemy!" — takie wypowiedzi słyszy się nie tylko od przedstawicieli władzy, ale również ze strony tzw. prostych ludzi.

Proporcję między polską a sowiecką częścią dochodu narodowego zużywaną na cele militarne można nazwać współczynnikami zależności PRL. Strona sowiecka niezmiennie dąży do zwiększenia polskich ciężarów. A strona polska? Hm, jest ona tylko do pewnego stopnia stroną i do pewnego — polską. Ale nie jest ona bynajmniej tylko i wyłącznie marionetką w ręku Kremla. W zależności od sytuacji ogólnej i od woli osób stojących na czele obu państw, sytuacja może kształtować się w różny sposób. Ciężary ponoszone przez PRL, zawsze duże i niszczące, mogą wykazywać zarówno tendencję wzrostu, jak stagnacji a w szczególnie korzystnych układach — nawet obniżki. Należy podkreślić jedną rzecz, to mianowicie że za każdym razem w grę wchodzi tak wielkie sumy, iż ich wpływ na ogólną koniunkturę gospodarczą PRL a zwłaszcza na stopę życiową jest wyraźny. Nawet więcej: wyżsi wojskowi w PRL potrafią bezbłędnie przewidywać pogorszenie (rzadziej: poprawę) sytuacji gospodarczej w kraju na rok lub przynajmniej kilka miesięcy wcześniej nim gospodynie domowe je dostrzegą w postaci zmniejszonej siły nabywczej rodzinnego budżetu.



9. Z autopsji wiem, że wszystkie kryzysy gospodarcze PRL były w dużej — jeśli nie głównej — mierze spowodowane wzrostem zbrojeń, wszelka poprawa zaczynała się od ich redukcji. Przypomnijmy niedawną, przynajmniej dla części czytelników, przeszłość. Po pierwszych latach powojennej odbudowy, starującej z niemal zerowego poziomu i dlatego chociażby dającej szybki efekt w postaci wzrostu produkcji i stopy życiowej, w Polskę 1950 roku uderzył pierwszy kryzys gospodarczy. Dla ratowania zachwianej ekonomiki państwa przeprowadzono wymianę pieniędzy, która zagrabiła szczupłe oszczędności i pozbawiła chłopów i rzemieślników ich środków obiegowych. To nie wystarczyło. Stopa życiowa spadała z miesiąca na miesiąc. W 1951 roku ukryty dotychczas brak żywności przybrał ostre rozmiary. Wprowadzono kartki i podniesiono ceny na artykuły pierwszej potrzeby. Stopa życiowa jeszcze bardziej się obniżyła.

Spółczesność karmiono sprzecznymi, wzajemnie wykluczającymi się wyjaśnieniami. Dowodzono, że spożycie wcale nie spada, przeciwnie, kłopoty zaopatrzenia spowodowane są naszymi nadmiernymi apetytami na mięso i masło. Tę argumentację uzupełniała druga, że braki spowodowane są przez niecnych kufaków.

Już wówczas sięgnięto po uzasadnienia, którym sądzone było przeżyć Bieruta, Gomułę i zachować partyjną świeżość po dni Gierka. Że zła pogoda jesienią lub wiosną spowodowała nieurodzaj, że zbyt powolne tempo budownictwa i zbyt szeroki front. Że zacofane, nieproduktywne rolnictwo...

Po cichu, nawet w kręgach partyjnych, myślano, że puste półki w sklepach mają związek z kolektywizacją, ale prawdę powiedziawszy, tempo kolektywizacji w PRL było słabe, i ten argument, choć prawdziwy, nie wyjaśniał rozmiarów kryzysu. Mówiono również pokątnie o głupocie i niekompetencji władz, o absurdach planowania, o idiotycznej polityce personalnej itp. zjawiskach, którymi po dziś dzień tłumaczymy sobie złe wyniki ekonomiczne gospodarki „socjalistycznej”. O sprawach militarnych nikt z moich znajomych nie wspominał.

Z jednym wyjątkiem. Pamiętam jak któregoś popołudnia jadłem w kasynie oficerskim obiad przy jednym stoliku z płk. D., posiadającym, z racji zajmowanego stanowiska, wgląd do najgłębszych tajemnic wojska. Zdumiała go rozmiary mojej naiwności ekonomicznej. „Kapitanie, gdyby Stany Zjednoczone w przeciągu dwóch lat potroiły stany liczebne armii i posadziły piechotę na czołgi, wprowadzając jednocześnie w tej skali samoloty odrzutowe, to ich ekonomika też by nie wytrzymała i pękła! A cóż nasza!”.

Ta krótka rozmowa była dla mnie szokiem. Cóż, wiedziałem że dotychczasowe dywizje piechoty przekształcono — w mgnieniu niemal oka — w pancerne i zmotoryzowane, że zwiększono ich liczebność do osiemnastu (plus dwie dywizje artylerii przełamania), że wprowadzono nowe etaty czterobatalionowych pułków, że niedawna „kamizelka wojenna” PRL stała się marynarką, że kształcono pilotów do nowiutkich samolotów odrzutowych, że wcielono do wojska całe roczniki absolwentów politechnik, ale nie zdawałem sobie sprawy, że to wszystko kosztuje.

Nie myślałem też o konsekwencjach postawienia pod broń trzech niemal procent ludności, mężczyzn w najlepszym wieku produkcyjnym, na dodatek w kraju tak niedawno i tak gruntownie wykrwawionym. Nagle zdałem sobie również sprawę, że powojenna odbudowa, z której wszyscy tak się cieszyli, była możliwa tylko dzięki temu, że wojsko zadawało się budżetem wegetacyjnym.

Teraz — ćwierć wieku później — czytam oficjalnie wypowiedzi polityków na temat przeszłości i erudycyjne wprawki historyków i widzę, że to co było tabu, pozostaje nim nadal. W historii PRL — okazuje się — nie było ani mobilizacji, ani forsownego zbrojenia, ani kryzysu. Historykom pozwala się pisać

o bliżej nieokreślonych błędach w polityce uprzemysłowienia i krytykować kolektywizację, nie wolno jednak nawet zrobić aluzji do wpływu militarystyki na gospodarkę kraju²³.

Poprawa gospodarcza nastąpiła poczynając od 1954 roku. Pomny otrzymanej nauki, jej zapowiedź dostrzegłem już rok wcześniej. Wojsko było już uzbrojone, a po śmierci Stalina, w czasie krótkiej władzy Malenkowa w ZSSR, zmniejszył się nacisk na PRL, zmuszający do forsowania przemysłu zbrojeniowego. Wówczas pojawiło się — nie na łamach prasy, ale w słownictwie gabinetowym kierowników planowania i zarządców przemysłu — niecodzienne ale jakże dla Polski ważne słowo *rekonwersja*. Wraz z nią można było zlikwidować kartki na żywność, a napięcie w budżetach rodzinnych uległo osłabieniu. Rozformowano niektóre dywizje, zmniejszono stany liczebne pozostałych, nadwyżki uzbrojenia wykorzystano dla uzupełnienia ubytków w pozostałych jednostkach. Proces ten przyspieszył się przed XX-tym zjazdem KPZS i po śmierci Bieruta, podczas krótkiego sekretarzowania Ochaba.

Nie wszystko szło gładko, w toku rekonwersji przemysłu trzeba było np. płacić rachunek za uprzednią militaryzację. Robotnicy i inżynierowie zatrudnieni przy produkcji zbrojeniowej otrzymywali wyższe, niekiedy podwójne, płace. Teraz spadali do poziomu przeciętnego. W chwili obecnej mało kto już pamięta, że bezpośrednią podniętą strajku w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu latem 1956 roku był spadek zarobków spowodowany rekonwersją. (Oczywiście, wydarzenia poznańskie miały głębsze tło, ale idzie mi tu o impuls. Przypominam je, bo stanowią ważny przyczynek do wpływu zbrojeń na powstawanie napięć społecznych. Ale czy za Gierka podobne napięcia nie powstają?).

Poprawa gospodarcza po „Październiku” była w dużej mierze wynikiem kroków podjętych uprzednio, co do tego są zgodni niemal wszyscy piszący o najnowszych dziejach Polski. Natomiast wymagałoby zbadania, w jakim stopniu potrzeby finansowania zbrojeń stanęły na przeszkodzie wprowadzeniu rachunku ekonomicznego i samorządu robotniczego — niewątpliwie postulowane przez ekonomistów i szeroki ruch społeczny nowe zasady gospodarowania godziły w „kierowniczą rolę partii”, jak enigmatycznie nazywano wówczas system totalitarny. Ale nie jest chyba rzeczą

23. Dla przykładu wymienię publikację *Gospodarka Polski Ludowej 1944-1955* pod red. J. Kalińskiego i Z. Landaua, Warszawa, 1974, str. 359+5. Jest to pozycja ważna jako kompendium prac monograficznych dwunastu badaczy, zajmujących się gospodarką PRL. Większość autorów musiała się kontentować interpretacją ogólnie dostępnych źródeł, ale niektórzy jako funkcjonariusze KC PZPR mieli dostęp do materiałów tajnych, nie mówiąc już o własnym, bogatym doświadczeniu.

przypadku, że publiczny atak przeciwko samorządowi robotniczemu nastąpił ze strony kierownictwa właśnie... przemysłu zbrojeniowego. Jest to jednak temat do odrębnych, nieco specyficznych badań.

W 1959 roku — najpierw w postaci pogłosek, później w sposób bardziej konkretny — dowiedziano się o usunięciu z kierownictwa KC i wojska tzw. „grupy Jurków” (Jerzy Morawski, Jerzy Albrecht, Jerzy Frey-Bielecki, Jerzy Duszyński, Janusz Zarzycki). Było to wynikiem zaaprobowanych przez Gomułkę żądań Kremla. Oczywiście usunięci byli rewizjonistami i zwolennikami stopniowej demokratyzacji. Do wiadomości publicznej nie podano nic, poza wiadomością o przesunięciach personalnych, ale sowiecki rezydent w wojsku, gen. Urbanowicz, poinformował wyższych oficerów politycznych, że usunięci zamierzali skierować Polskę na rumuńskie tory i przeciwdziałali wzrostowi obronności kraju. Pamiętam, że nie mnie jednemu na odprawie w GZP nominacja Jaruzelskiego na stanowisko szefa tej instytucji skojarzyła się z mrozem politycznym i... regresem gospodarczym.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Spadek stopy życiowej w następnym, 1960 roku był szybki i wyraźny, tak duży że nawet redagowany przez p. Eugenię Krzeczowską-Szyrową, specjalistkę od manipulowania statystycznym dobrobytem, *Rocznik Statystyczny* zmuszony był uznać go za fakt²⁴.

Pamiętam, że nawet wśród wielu wyższych oficerów nowe przebrojenie wywoływało opory. Wśród oponujących znajdował się m.in. szef Sztabu Generalnego, gen. Bordońowski, zdający sobie sprawę z przeciążenia gospodarki nowym, potężnym wydatkiem, zwłaszcza że gros pochłaniały dostarczane przez ZSSR rakiety, przestarzałe, o klasę gorsze niż dostarczane jednocześnie Egipcjowi i prerażliwie drogo wycenione.

Cóż, pamiętam toczony podówczas w Wojskowej Akademii Politycznej rozmowę, że niestety Gomułka nie dorównał Kadarowi — węgierski rozwój gospodarczy w ostatnich dwóch dziesięcioleciach jest w *dużej mierze* uwarunkowany małą liczebnością armii i nikłym udziałem w wyścigu zbrojeń²⁵.

Od 1960 roku zaczęła się gospodarcza stagnacja PRL. Produkowano coraz więcej, ale tylko nieznaczna część społeczeństwa

24. *Rocznik Statystyczny* 1977, str. XXXII, Lp. 5 (Wskaźnik przeciętnej płacy realnej).

25. Nawiasem mówiąc, czechosłowaccy ekonomiści i wojskowi nie kryli przede mną, że kryzys gospodarczy, który tak drastycznie dotknął ich kraj mniej więcej koło 1963 roku, był konsekwencją priorytetu zbrojeń w gospodarce oraz koniecznością dopłat do pokazowego dobrobytu NRD, co zresztą też się mieści w syndromie ekonomii wojennej.

odnosiła z tego korzyści. Kryzys 1970 roku też nie wybuchnął nagle — z wojskowego punktu obserwacyjnego, już nie mojego lecz nadal moich kolegów, widać było równie pochyłą, po której toczyła się gospodarka. (Redaktor *Kultury* być może pamięta moje alarmy na szereg miesięcy przed wydarzeniami grudniowymi).

A więc PRL znajduje się w obliczu stałych sowieckich nacisków zbrojeniowych. Mają one dwa cele. Pierwszy — to zmniejszenie sowieckiego obciążenia poprzez zwiększenie trybutu państw zależnych. Jest to z sowieckiego punktu widzenia nawet naturalne i mieści się w owej filozofii, wyrażonej słynnym zdaniem „*my ich oswobodili!*”. Jest i drugi cel, o którym za moich czasów w Warszawie mówiono nawet dość dużo. Ze względów zarówno ideologicznych jak i praktycznych Kremlowi zależy, by w zarodku zahamować możliwości rozwoju ekonomicznego Polski — w odczuciu przeciętnego mieszkańca Związku Sowieckiego PRL jest nadal krajem dalekim od sowieckiej ortodoksji i wszelki polski sukces gospodarczy podsyca nieprawomyślną. Mimo wszelkich starań Gomułki i Gierka, w odczuciu sowieckim PRL jest krajem Października 1956 roku, państwem w którym społeczeństwo co prawda nie ma siły wyzwolić się, ale potrafi od czasu do czasu dobitnie powiedzieć „Nie!”. Dlatego wymuszone zwiększenie wydatków wojskowych jest doskonałym a mało widocznym sposobem hamowania rozwoju gospodarczego i tym samym — kompromitowania poczynań reformatorskich.

Czasem Związek Sowiecki zmuszony jest do ustępstw. Tak było w latach po śmierci Stalina, tak było po wydarzeniach grudniowych 1970 roku w Polsce. Wyżej pisałem, że Kadar potrafił tak czy inaczej osłabić skutki sowieckich nacisków. Wydaje się, że w tej sferze trzeba również szukać przyczyn względnej pomysłowości gospodarczej w Czechosłowacji za rządów Husaka. Tak jak kiedyś Czechosłowacja ponosiła koszty utrzymywania witriny bloku w NRD, tak samo chyba teraz Polska płaci w jakimś stopniu za spokój w Czechosłowacji. Istnieją bowiem i priorytety spokoju. Rok temu, wiosną 1977 roku, odbywały się kolejne rozmowy gospodarcze sowiecko-polskie. Urzędowa prasa rozpytywała się w zachwytach nad kolejno osiągniętym szczyblem socjalistycznej integracji gospodarczej. Co to jednak oznaczało w praktyce — tego nie sposób było dowiedzieć się z opublikowanych materiałów. A treść tych rozmów była jasna i wyraźna. Z dobrze poinformowanych źródeł — przeciek nie był chyba przypadkowy — wiadomo, że „strona sowiecka zgodziła się na odroczenie spłaty polskich należności, odmówiła jednak zgody na zmniejszenie wysiłku obronnego PRL”. Koniec cytatu.

Oslabiając lub potęgując nacisk zbrojeniowy, Związek So-

wiecki wywiera silny wpływ na koniunkturę gospodarczą państw zależnych i na stopę życiową. Zmniejszając naciski na jednych odcinkach, zwiększając na innych, polityka sowiecka może tworzyć trendy koniunkturalne niezależne od wyników gospodarczych.

Być może, że niezaciskanie a na pewno jakieś niewielkie rozluźnienie śruby zbrojeniowej w PRL w 2-jej połowie lat sześćdziesiątych zmniejszyłoby napięcia, których owocem były zarówno wydarzenia wiosną 1968 jak i w grudniu 1970 roku. Taki krok był w granicach możliwości, najlepszy dowód że pozwolono na skorzystanie z niej Gierkowi, gdy na ulicach połała się krew i wydarzenia mogły przybrać trudny do przewidzenia obrót.



10. *Zamiast zakończenia: Kilka słów o modelu wzajemnych zależności.*

Chciałbym uniknąć powierzchownych wycieczek w sferę politologii. Pewnych uogólnień nie sposób jednak uniknąć, jeśli się nie chce by rozważania zawisły w próżni. Chodzi mi przede wszystkim o stwierdzenie, że ilekroć tłumaczymy model polityczny państwa typu sowieckiego tylko czynnikami politycznymi, ilekroć budujemy model gospodarczy tylko z ekonomicznych składników, tylekroć trafiamy kulą w płot. Zwłaszcza klucz do zrozumienia gospodarki leży w sferze polityki.

Nadrzędnym celem takiego państwa jest potęga militarna. Jest to cel polityczny. Jego urzeczywistnienie jest uwarunkowane dwoma czynnikami. Są to:

1. Rozmiary produktu globalnego. Stąd — zauważmy — nacisk na ilościową stronę przyrostu produkcji, na spełnienie ilościowych wskaźników planów gospodarczych.
2. System rządzenia, pozwalający na taki podział produktu globalnego, by maksymalna jego część została zużyta na zbrojenia. Najdogodniejszym systemem jest system totalitarny.

Koło się zamyka. Totalitarne potrzeby są przyczyną określonej struktury gospodarczej, ta zaś może być wcielona w życie tylko przy stosowaniu totalitarnych metod rządzenia. Niemal tautologia, błędne koło, albo — jeśli przyjąć metody cybernetyczne — zamknięty model, bez wejść i wyjść. Tak jednak jest tylko w teorii. W życiu model ten jest komplikowany głównie przez dwa zasadnicze czynniki, a mianowicie:

1. Sprzeczności w łonie władzy. Niezależnie od ich źródła i przyczyny zawsze są one czynnikiem osłabiającym możliwości totalitarnego systemu. Sprzeczności i konflikty w łonie sowieckiej elity władzy po śmierci Stalina dały nie tylko liberalizację polityczną ale również — jak słusznie zauważył Sacharow —

odwilż ekonomiczną. Z tego punktu widzenia nie należy również lekceważyć odmiennych partykularnych interesów między Moskwą a rządami poszczególnych państw demokracji ludowej;

2. Istnienie opinii publicznej, nawet w załączkowej (lub szcztatkowej) postaci. Opinia publiczna jest przejawem istnienia więzi społecznych i konfliktu społeczeństwa z totalitarną władzą. Konflikt ten znajduje wyraz nie tylko w sprawach wyraźnie politycznych lecz i ekonomicznych.

Józef LEWANDOWSKI

Niecenzurowana prasa krajowa

Jednym z najnowszych i zarazem najbardziej nastawionym na rozwój poważnej myśli politycznej pismem jest *Krytyka* — Kwartalnik Polityczny, którego pierwszy numer datowany jest: lato 1978. *Krytyka* pomyślana jest jako teoretyczne uzupełnienie dotychczasowych, informacyjno-publicystycznych miesięczników związanych z Ruchem Demokratycznym. Oficjalne Komunikaty KSS „KOR” zawierają sprawozdania z działalności KOR-u, dokumentują akty bezprawia, którego dopuszczają się władze w stosunku do społeczeństwa i represji, które spadają na aktywnych opozycjonistów. „Biuletyny Informacyjne” przynoszą wiadomości z różnych dziedzin życia społecznego w krótszych i dłuższych artykułach informacyjnych i publicystycznych, oraz zawierają przedruki oświadczeń KOR-u, TKN-u, SKS-ów itp. Zadaniem *Głosu* jest tworzenie forum do dyskusji politycznej i publicystyki społecznej. *Krytyka* natomiast ma zamieszczać dłuższe teksty programowe, analityczne i teoretyczne, które dotąd krążyły często „luzem”, puszczane w obieg przez autorów (takie jak np. „Zasady ideowe” Kuronia lub „Możliwości działania opozycji w Polsce” Turbacza).

80 stron pierwszego, 200-stronicowego numeru wypełniają odpowiedzi na ankietę pod tytułem „W dziesięć lat po wydarzeniach marcowych”. 23 osoby, na 30 do których się zwrócono, odpowiada na pytanie: „Jak ocenia Pan(i) skutki i rolę wydarzeń marcowych w najnowszej historii Polski?”.

Krótkie, 3-5-stronicowe wypowiedzi nie wdają się w szczegółową analizę historyczną Marca 1968 i nie pretendują do ostatecznego rozstrzygnięcia sporu o miejsce tych wydarzeń w powojennej historii Polski. Autorzy podnoszą kilka różnych zagadnień.

Czym Marzec był? Prowokacją, ciemnymi machinacjami i walką o władzę w ramach grupy rządzącej? czy autentycznym ruchem społecznym? Zacytujmy:

Stanisław Barańczak: „...nigdy nie zgodzę się z teoriami, jakoby Marzec był wynikiem nabrania się intelektualistów i młodzieży na policyjną prowokację, w której zamierzeniach od początku leżało rozgromienie kultury i zadanie porażki siłom demokratycznym w kraju...”.

Wiktor Woroszyński: „Marzec był dla Polski wielkim nieszczęściem; był — wolno sądzić — nieszczęściem zaplanowanym i sprowokowanym”.

Adam Michnik: „Ruch opozycyjny 68 roku ważny był dla mnie nade wszystko jako pierwsza eksplozja aktywności społecznej nie inspirowanej — żadną miarą — przez partyjno-państwowe koterie”.

Jaką rolę odegrał Marzec w kształtowaniu się postaw i jako szkoła zaangażowania społecznego inteligencji polskiej?

Stanisław Barańczak: „...byłem do Marca dość typowym przykładem tego częściowego duchowego zniewolenia, jakie dominowało w naszej generacji żyjącej jeszcze złudzeniem, że lata sześćdziesiąte to dalszy ciąg Października. Marzec był dla mnie szokiem i zasadniczym przełomem w tym sensie, że objawiła mi się nagle antyludzkość, tkwiąca immanentnie w samej ideologii”.

Jan Józef Lipski: „...kto dopiero w 1968 dostrzegać zaczął pewne filijackie totalizmu komunistycznego z faszyzmem ten miał wielkie zahamowania we wnioskowaniu”.

Marek Turbacz: „Aby zbuntować się przeciw systemowi, trzeba wiedzieć o jego istnieniu. Dopiero w Marcu się o nim dowiedziałem”.

Jan Walc: „Czym jest dla mnie Marzec? Wszystkim. Całe moje dorosłe życie jest z Marca...”.

Maria Hercowicz: „Wydarzenia marcowe miały szeroki zasięg, burzliwy przebieg. Miały również atmosferę. Niektórzy twierdzą, że była to atmosfera rewizjonistyczna. Ja sądzę, że dla większości była to raczej atmosfera przygody i solidarności”.

Czy powstanie dzisiejszej opozycji demokratycznej jest logicznym następstwem Marca 68?

Leszek Kołakowski: „...wyrzucenie resztek pozorów panowania ideologicznego otworzyło nowy rozdział w historii anty-totalitarnej walki, chociaż rozdział ten zaczął się od pogromu”.

Zygmunt Bauman: „W marcu 1968 komunistyczni władcy Polski pozbyli się inteligencji jako krnąbrnego, zbyt samodzielnego sprzymierzeńca. Dziesięć lat później zaczynają się chyba domysły”.

lać, że uzyskali w zamian, dojrzałego, pozbawionego złudzeń oponenta".

Jan Józef Lipski: „Dopiero rok 1968 umożliwił wyklarowanie się orientacji opozycyjnej, co dzisiaj owocuje. Na plan pierwszy coraz wyraźniej odtańcza się przeciwstawienie totalizm-demokracja. Dziwi, że stało się to tak późno, że inne przeciwstawienie, od dawna mylące we Wschodniej Europie, lewica-prawica, mąciło rozeznanie w sytuacji".

Czy Marzec był klęską czy zwycięstwem?

Gustaw Herling-Grudziński: „Marzec jest przykładem klęski i pogromu, które owocują w następnej fazie".

Wiktor Woroszyński: „Myślę, że Polska pomarcowa jest gorsza i smutniejsza od przedmarcowej. Gorsze są uniwersytety i czapopisma... wzrosła brutalność i bezkarność policji... bije w oczy niesprawiedliwość społeczna, korupcja i nepotyzm... przyspieszeniu uległ proces sowietyzacji kraju... Co okaże się historycznie trwałe — skutki marcowego nieszczęścia czy skutki oporu — pokaże przyszłość".

Roman Wojciechowski: „...Marzec zakończył się pozorną — doraźną — klęską. Dlatego doraźną, bo to właśnie po tym rozłuczonym policyjnymi pałkami Marcu zaczął się proces integracji i samoobrony społecznej, którego ukoronowaniem było powstanie KOR-u".

Jan Józef Lipski: „Rok 1968 przyniósł katastrofalne skutki przede wszystkim w szkolnictwie wyższym. Skutki tego będziemy odczuwać i za sto lat... Nie ma co się łudzić, że Uniwersytet Łatający może być remedium na klęskę edukacji narodowej... Ale UL-u nie byłoby, gdyby Marzec nie przygotował nowej mentalności u części przynajmniej intelektualistów. Na pełną ocenę strat i zysków jeszcze nas dziś nie stać".

Dokonując skróconego podsumowania we wprowadzeniu do zbioru odpowiedzi, **Seweryn Blumsztajn** pisze, że „opozycja demokratyczna jest niewątpliwie spadkobiercą tradycji Marca 68". Nie wiem, ile działaczy dzisiejszej opozycji nazwałoby się spadkobiercami Marca, szczególnie, że w ankiecie słabo reprezentowani są czołowi przedstawiciele środowisk, które w Marcu bezpośrednio udziału nie brały, a które w dużym stopniu przygotowały grunt dla opozycji, choćby przez wychowanie wielu aktywnych dziś opozycjonistów. Myślę o środowisku „Znaku", KIK-ów, duszpasterstw akademickich, (Stomma, Turowicz, Kisielewski, Mazowiecki, Cywiński, Arkuszewski, Ostrowski, Wujec), o środowiskach harcerskich „Gromady", mokatowskiej „Jedynki" (Macierewicz, Naimski, Chojecki, Celiński), nie ma nikogo związanego z ROPCiO. Jest natomiast stanowcza polemika Adama Michnika z poglądami Moczulskiego na temat Marca. Pewne jest jednak, że wydarzenia marcowe były jednym z punktów zwrotnych w historii PRL, a ich konsekwencje dopiero się ujawniają. Mimo to, i mimo

znacznych często różnic w ocenach, z wypowiedzi tych wyłania się pewne *consensus*, które może można streścić w hasło „marcowców": „Nie ma chleba bez wolności". Hasło to przypomina pismo *Gospodarz* (nr 4 z marca 1978, jest to pismo „w obronie praw chłopskiej gospodarki rodzinnej", związane z ROPCiO) pisząc w okolicznościowym artykule: „Prawdę tę uświadamia sobie, zwłaszcza dzisiaj, cały naród. Coraz powszechniej bowiem utrwala się w świadomości zależność pomiędzy dobrobytem i pomyślnością kraju, a jego suwerennością zewnętrzną i respektowaniem praw ludzkich i obywatelskich w stosunkach wewnętrznych. Żywotność idei marca dowodzi ciągłości naszego rozwoju. Hasła rzucone przed 10 laty przez studentów, stały się dziś własnością wszystkich".

Zdania tego nie podważa również rocznicowy artykuł wstępny z 6/7 numeru pisma młodych *Bratniak* (wydawanego przez „Wydawnictwo Polskie", w którym ukazują się pisma związane z ROPCiO, a redagowanego przez grupę działaczy skupionych głównie na Wybrzeżu), choć przypomina sformułowania z marcowych ulotek i dokumentów, które mogłyby być żywcem wyjęte z partyjnych propagandówek, a które świadczyły o ówczesnej niemożności wyjścia uczestników Marca poza marksistowskie schematy. *Bratniak* pisze np., że w tekstach marcowych nie spotyka się postulatów suwerenności państwowej i narodowej, podkreślenia związku jaki istnieje między niepodległością a demokracją, nie ma postulatów dotyczących swobody religijnej. Mówi się natomiast o „zaangażowaniu młodzieży w budowę socjalizmu", o „konieczności sojuszu ze Związkiem Radzieckim" itp.

6-ty numer kwartalnika literackiego *Zapis* zamieszcza artykuł Stefana Kisielewskiego pt. „Po 10 latach. (O marcu 1968)", w którym autor wspomina dzieje swojego przypadkowego i dość niezwykłego „udziału" w tamtych wydarzeniach, spowodowanego użyciem przez niego określenia „dyktatura ciemniaków", które Gomułka wziął do siebie, co wywołało różne reperkusje.

Dziesiątą rocznicę Marca odnotowuje również miesięcznik *Opinia* nr 3 (11), 1978, organ ROPCiO: raz w notatce o represjach policyjnych przeciwko SKS-om (Służba Bezpieczeństwa i MO wyraźnie nasiliły swoją działalność w środowiskach akademickich w miesiącach lutym i marcu tego roku niewątpliwie w związku z rocznicą), oraz w stałej rubryce *Opinii* pt. „Z kalendarza Polaka", w której pod datą 18 marca 1860 roku mówi się o manifestacyjnym nabożeństwie za duszę „Adama, Juliusza i Zygmunta", zorganizowanym przez młodzież warszawską. W nawiasie pismo dodaje, że 108 lat później manifestacja młodzieży pod pomnikiem Mickiewicza powtórzyła się.

4-ty i 5-ty numery niezależnego miesięcznika społeczno-politycznego *Głos*, zbliżonego do KSS KOR poświęcają, dużo miejsca problemom praworządności. Aniela Steinsbergowa omawia próby ograniczenia uprawnień obrony i atak na immunitet adwokacki

w związku z oskarżeniem adw. Władysława Siły-Nowickiego, niestrudzonego obrońcy w procesach politycznych, o nadużycie wolności słowa w przemówieniu obrończym. Ryszard Knauff szczegółowo relacjonuje rozmowę jaką odbył w MO w związku z podaniem o paszport, w czasie której próbowano go zwerbować jako agenta. Jan Łukaszewicz pisze o ratyfikacji i wcielaniu w życie Paktów Praw Człowieka. Prawnik (pseudonim) stawia pytania, na które odpowiedź jest głęboką tajemnicą: Ilu jest więźniów w Polsce? Sto tysięcy? Ponad sto tysięcy? W jakich warunkach odbywają karę? itd. Ks. Henryk Szareyko opowiada o ciągłym bezprawiu w stosunku do Kościoła, ilustrując to konkretnymi faktami z terenu diecezji przemyskiej, które jaskrawo przeczą oficjalnie deklarowanej „normalizacji” stosunków z Kościołem. Bardzo cenne są próby podjęcia tematów gospodarczych. Robią to Kawalec („Rozwiązanie”) i Tarniewski („Spór o gospodarkę”). Dużo miejsca w 5-tym numerze zajmują przedruki referatów wygłoszonych na sesji „Chrześcijananie wobec praw człowieka” zorganizowanej przez Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Sesja ta odbiła się bardzo szerokim echem. W numerach tych omawia się ponadto problemy fałszowania historii w massmediach, sowietyzacji szkół i działalności cenzury.

Z pewnością najważniejsze artykuły 5-go numeru *Głosu* traktują o tradycjach polskiego działania politycznego i o znaczeniu niektórych podstawowych pojęć. Mówią o tym artykuły Stefana Kawalca („Tradycje działania politycznego”), Antoniego Macierewicza („Walka o prawa obywatelskie” i „Tradycje polityczne w PRL”), Bogdana Cywińskiego („Mity lewicy i prawicy a przyszłość społeczeństwa”), Marka Tarniewskiego („Polaryzacja i różnorodność”). Będzie jeszcze okazja by powrócić szerzej do tych zasadniczych wypowiedzi. Tymczasem odnotujmy bardzo pozytywne echo jakie artykuły *Głosu* wywołały w *Opinii* (nr podwójny, 7-8, 1978), organie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. (Ze składu redakcji *Opinii* ustąpił niedawno dotychczasowy główny redaktor i publicysta Leszek Moczulski). Wojciech Ziemiński w artykule pt. „O *Głosie* i zwierzchnictwie narodu, czyli rozważania nad programem minimum” podkreśla, że Cywiński, Macierewicz, Tarniewski i Kawalec wypowiadają się w sposób nie budzący wątpliwości, na temat ważnych dla nas problemów-haseł: opozycja, lewica-prawica, niepodległość, demokracja itp. i nawołuje do dalszych wspólnych rozważań i poszukiwań na te tematy. Andrzej Czuma, tytułując swoją wypowiedź „Niejasne słowa, niejasne działania”, stwierdza, że publicyści *Głosu* dokonali rzeczy nie do przecenienia, próbując wprowadzić tam wśród pojęć: socjalizm, kapitalizm, lewica, prawica, reakcja, nowoczesność, faszyzm, siły postępowe, zaangażowanie itp. „Teraz już będzie naprawdę trudno korzystać na łamach wolnej prasy w Polsce z niejasnych słów w celu poszufladkowania bliźnich”, pisze Czuma i wyraża przypuszczenie, że społeczeństwo nie oczekuje kolejnych dłuższych lub krótszych programów, które składają się przecież ze słów, oczekuje natomiast, że opozycja, tzn. ludzie

wolni od mniej lub bardziej zakamuflowanej dyrygentury PZPR-u, będzie uczciwie dążyła do tego co głosi, i że opozycyjne działania, prasa, kursy naukowe, ruchy studenckie i pracownicze, systematyczna obrona obywateli zaatakowanych przez policyjny totalizm wolne będą od gier politycznych, przemilczeń, pogrążania „konkurencyjnych grup” itp.

Z wypowiedzi publicystów *Opinii* przebija poczucie wspólnej odpowiedzialności wszystkich środowisk opozycyjnych za walkę o elementarne prawa ludzkie, mimo niewątpliwych różnic w sprawach mniej zasadniczych.

Warto też zauważyć znamienne całkowitą zgodność co do sposobów i taktyki działania politycznego i społecznego w dzisiejszych warunkach. W artykule redakcyjnym *Opinia* zabiera głos na temat walki przeciwko ustawie dopuszczającej przerywanie ciąży prowadzonej głównie przez Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu. Pismo, domagając się zmiany ustawy, żąda od państwa faktycznego respektowania prawa do życia (rozwiązanie problemów bytowych, mieszkaniowych i innych), ale jednocześnie od całego społeczeństwa oczekuje rozbudzenia świadomości, że istnieje konieczność pozaustawowych działań zmierzających do odsowietyzowania wytworzonych w PRL stosunków międzyludzkich: „...nie oczekujemy z założonymi rękami na twórczość ustawodawczą władz PRL, nie w jednej bowiem dziedzinie działają one wbrew poczuciu prawnemu obywateli... ustawy, ich nadmiar czy brak, nie rozwiążą ostatecznie problemu...”. *Opinia* zwraca się do wszelkich środowisk i wspólnot: parafialnych, osiedlowych, zawodowych, by podejmowały konkretne działania (np. by tworzyły indywidualne czy zbiorowe „domy opiekuńcze”), które umożliwiły by znajdującym się w trudnych warunkach matkom podjęcie macierzyństwa wbrew różnym przeciwnościom.

Niezależnie od tego czego merytorycznie dotyczy problem — czy będzie to walka przeciwko ustawie o przerywaniu ciąży, czy walka z cenzurą, czy walka z zakłamaniem programów szkolnych — zwraca uwagę powszechne dążenie do przejmowania inicjatywy we własne ręce, do budowania niezależnych, samorządnych grup społecznych, które biorą na siebie odpowiedzialność za rozwiązywanie poszczególnych problemów i poszerzają margines wyzwoleń od totalitaryzmu, wolnego i demokratycznego życia.

Ten kierunek działań, wyzbyty złudzeń polegających na próbach „oświecania” władzy, czy proszenia jej o cokolwiek formułowany był wielokrotnie przez czołowych działaczy KSS „KOR”, Adama Michnika i Jacka Kuronia.

10-ty numer *Gospodarza*, datowany 25 września 1978, przynosi obszerną dokumentację chłopskiego ruchu w obronie praw wsi, publikując oświadczenia tymczasowych komitetów samoobrony chłopskiej lubelszczyzny i ziemi grójeckiej. Pismo donosi też o spotkaniu Gierka z dziennikarzami 6 września, na którym napomknął on o możliwości zmian niektórych postanowień ustawy emerytalnej dla rolników. Byłby to kolejny dowód ustępstw wy-

muszonych zdecydowaniem i odwagą społeczeństwa. *Gospodarz* drukuje również fragmenty odczytu Michała Jagły o nierówności w społeczeństwie i w rolnictwie, wygłoszonego w Klubie Inteligencji Katolickiej i zatytułowanego „Wies — nasz własny Trzeci Świat”.

Dwa pierwsze numery *Spotkań*, kwartalnika wydawanego przez młodych katolików z Lublina i Krakowa, przedrukowane zostały w Londynie w formie książkowej. Wysoki poziom pisma z pewnością uzasadnia ten sposób rozpowszechnienia *Spotkań* wśród emigracji i jednocześnie utrwalenia drukiem myśli, które w kraju mogą być jedynie w prymitywny sposób powielane. Oby wszystkie ważniejsze pisma krajowe znalazły swoich wydawców na Zachodzie. W numerze 3-cim *Spotkań* zwracają uwagę obszerne rozważania ks. Stanisława Małkowskiego o książce Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog”. Autor notuje zbieżność poglądów Michnika z chrześcijańską oceną w wielu sprawach, w innych stwierdza konieczność dalszego dialogu. Ten trzydziestostronicowy esej ks. Małkowskiego zatytułowany „Kościół a totalitaryzm” nie ogranicza się do uwag o książce Michnika, rozwijając z pozycji chrześcijańskich myśli o społecznej i politycznej roli Kościoła i katolików w Polsce. Większa część czwartego numeru wypełniają dwa zbiory artykułów, z których pierwszy zatytułowany jest „Kościół w Polsce. Świadectwa — wektory — nadzieje” a drugi „Kościół powszechny. Siła — słabość?”. W pierwszym bloku Jan Sadok pisze o strategii ewangelizacji w Polsce a ks. Józef Tischner o horyzontach apostołstwa świeckich. Józef Ruszar, działacz SKS-u w Krakowie zdaje sprawozdanie z półrocznej działalności intelektualnego środowiska studenckiego, spotykającego się u Sióstr Norbertanek do czasu kiedy władzom udało się zlikwidować tę grupę metodami brutalnego szantażu i zastraszenia. W bloku o Kościele na świecie zamieszczono przedruki z czasopism zachodnich m.in. o sytuacji Kościoła na Litwie i w okupowanej przez ZSSR Europie Wschodniej w latach 1939-40. Ponadto w 4-tym numerze *Spotkań* Jerzy Narbutt pisze o sylwetce literackiej Jerzego Zawieyskiego, czołowego działacza ruchu „Znak”, w dziesiątą rocznicę jego śmierci.

Na zakończenie tego przeglądu odnotujmy jeszcze tylko problematykę społeczną i polityczną w ostatnich numerach kwartalnika literackiego *Zapis*.

W 6-tym numerze *Zapisu* ciekawy artykuł Marka Turbacza „Polska — rok 1984”, prognoza polityczna dla Polski na parę lat naprzód. W 7-ym *Zapisie* dużo miejsca poświęcono stanowi kultury polskiej i polityce kulturalnej (czy raczej anty-kulturalnej) na marginesie Zjazdu Związku Literatów w Katowicach. W trzech kolejnych numerach *Zapisu* (5, 6 i 7) długi esej Władysława Bienkowskiego „Filozofia dziejów a teoria społeczna”.

J. Ś.
Sztokholm

Sąsiedzi

Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich

„Biliśmy się, mordowaliśmy się panie bracie i domordowaliśmy się do wspólnej niewoli”.

Taras Szewczenko, ukraiński wieszcz narodowy — do swego przyjaciela Polaka Juliana Beliny - Kędrzyckiego w 1846 roku.

Od czego miałbym rozpocząć niniejsze rozważania? Chyba nie od podkreślenia takich oczywistych aksjomatów jak to, że szczególnie w dzisiejszym stale kurczącym się świecie dialogi pomiędzy sąsiednimi narodami są życiową koniecznością, szczególnie kiedy narody te zmagają się o wolność i niepodległość, dążą do prawdziwego pokoju i naprawdę dobrosąsiedzkich stosunków.

Zwłaszcza dzisiaj, w obecnej rzeczywistości, kiedy narody nasze są zaangażowane w długotrwałej walce z narzuconą im sowietyzacją duchową i duchowym wynarodowieniem, których celem jest zdeprawowanie umysłów, a więc pogodzenie się z egzystencją w warunkach kłamstwa i niewoli — nasza solidarność, wzajemne zaufanie i współpraca, jak również świadomość wspólnoty naszego losu i współzależności naszych dążeń i wysiłków — są i będą czynnikiem decydującym o lepszej przyszłości naszych narodów.

Walka z zagrażającym nam niebezpieczeństwem byłaby bardziej skuteczna, gdyby między nami był ściślejszy kontakt, większa wymiana myśli i mocniejsza współpraca.

Jesteśmy przecież dwoma największymi narodami po Rosjanach w Europie Wschodniej. Wtedy, kiedy Polska odgrywa przodującą rolę w obozie tzw. satelitów i jest krajem o pięknych tradycjach walk o wolność i niepodległość, Ukraina, jej zachowanie się, postawa, emancypacyjne wysiłki — daje orientację innym nierosyjskim narodom ZSSR. Jest ona więc dla nich naturalnym przywódcą, przykładem do naśladowania i jednocześnie probierzem taktyki emancypacyjnej i możliwości wyzwolenicznych.

Ale jak osiągnąć cel wzmocnienia więzów, łączących nasze narody? Od czego zacząć? Dlaczego właśnie dzisiaj zagadnienie polsko-ukraińskie nabiera takiej osobliwej aktualności? Dlaczego to dzisiaj mamy wziąć na warsztat sprawę wyprostowania stosunków polsko-ukraińskich z taką szczególną uwagą?

Mam głębokie przekonanie, że właśnie obecnie nadszedł odpowiedni czas, ażeby oczyścić nasze wzajemne stosunki od tendencji oskarżenia i od jednostronnych stereotypów — dążąc do systematycznego i spokojnego ich rozpatrzenia metodą uczciwych i powściągliwych rozważań oraz wzajemnej wymiany poglądów.

Pogląd wstecz i perspektywy na przyszłość

Wydaje mi się, że właśnie dzisiaj mamy szczególnie sprzyjające okoliczności — można by nawet powiedzieć nie wpadając w przesadę — wyjątkową okazję do analizy stosunków polsko-ukraińskich.

W latach powojennych wyjąłowiła się nasza myśl polityczna i koncepcja jakiegokolwiek współpracy pod naporem wzajemnych rekryminacji i przeróżnych uproszczeń. Stosunki nasze układały się wtedy bowiem głównie na płaszczyźnie politycznej bardzo uproszczonych i wysoce emocjonalnych pojęć.

Wydarzenia lat wojennych i powojennych utrwaliły w społeczeństwie polskim głęboki uraz antyukraiński. Jest on do pewnego stopnia uzasadniony, lecz również bardzo wyolbrzymiony na tle emocjonalnych uprzedzeń i sztucznie tworzonych mitów i legend, jak np. przeczący źródłom historycznym fakt udziału Ukraińców w stłumieniu Powstania Warszawskiego. W publicystyce politycznej i we wspominkarstwie zapuścił głębokie korzenie stereotyp antyukraiński.

Nieustający strumień tych stereotypów widzimy przede wszystkim w artykułach i książkach Jana Gerharda, autora osławionych „Łun w Bieszczadach” — prawdę powiedziawszy zawsze oprawionych przez autora w ramy nienawiści i szowinizmu, zastraszających rozmiarów jednostronności i wszędzie podkreślanej zasady zbiorowej odpowiedzialności.

Jerzy Lovell z krakowskiego *Życia Literackiego* występując w szczecińskim Klubie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (11 listopada 1966 r.) wyraził się, że dla wielu Polaków średniego i młodszego pokolenia Ukraińiec to często „bandero-wiec z nożem w zębach”.

Anonimowy natomiast „Lwowianin” piszący w numerze paryskiej *Kultury* — styczeń 1967 r. też wyraża się w podobny sposób: „My wszyscy mamy w sobie niezatarty nigdy kompleks Ukraińca z nożem i zawsze naszego wroga”.

Czy naprawdę „wszyscy”, czy rzeczywiście „niezatarty nigdy”, czy doprawdy „zawsze” i „wroga”?

Z drugiej znowu strony w niektórych skrajnie nacjonalistycznych kołach emigracji ukraińskiej patrzy się do dzisiaj na Polaków jak na jedynych i wyłącznie „odwiecznych wrogów”.

Literaturę produkowaną przez te koła na tematy polsko-ukraińskie cechuje często jakaś nieustępliwa uporczywość, nawet zaciętość, brak dobrej woli, nieposzanowanie prawdy i brak elementarnego poczucia samokrytyki.

Nic dziwnego więc, że przez długie lata wydawało się, że za tym parawanem uprzedzeń po prostu nie zauważaliśmy prawdziwego oblicza naszych narodów.

Obecnie jednak — i o tym obszerniej poniżej — nie tylko przyszedł czas na chłodniejsze refleksje, lecz również na systematyczne, konsekwentne rozładowanie wzajemnej wrogości i nienawiści. Byłoby bowiem oczywistym anachronizmem w dzisiejszej tak bardzo odmiennej sytuacji podtrzymywanie dawnych antagonizmów, sztucznie zresztą przez różne koła i na pewno nie w naszym wspólnym interesie wyolbrzymionych.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, że nie ma to oczywiście nic wspólnego z układaniem rejestrów nawzajem sobie wyrządzonych krzywd, czy wypominaniem wszystkich historycznych grzechów i niesprawiedliwości.

Chodzi natomiast przede wszystkim o zrozumienie i przezwyciężenie przeszłości w sensie krytycznego jej przemyślenia i przepracowania w celu wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

Jakże znamienne jest np., że w tak przecież bogatej literaturze ukraińskiego ruchu oporu na Ukrainie i w licznych publikacjach dysydenckich nie zauważyłem dotychczas jakichś akcentów antypolskich.

Na emigracji również zmieniło się wiele na lepsze.

Jest dzisiaj ogólnie znany fakt, że np. powstałe w 1967 roku w Londynie Towarzystwo Polsko-Ukraińskie nie tylko wytrzymało wszystkie ataki rodzimych sceptyków i szowinistów, lecz również bardzo znacznie rozszerzyło swoje wpływy i teren twórczej dyskusji polsko-ukraińskiej na obydwa społeczeństwa.

Paryska *Kultura* również bardzo przyczyniła się do odprężenia stosunków polsko-ukraińskich śmiałością wypowiedzianych niekonwencjonalnych poglądów i licznych prób wypracowania koncepcji współpracy.

Punkt zwrotny w naszych wzajemnych stosunkach

Jak już zaznaczyłem powyżej — mamy dzisiaj szczególnie sprzyjające warunki dla uczciwego wyprostowania stosunków polsko-ukraińskich.

A więc przede wszystkim coraz wyraźniejsze, stale wzrastające uświadomienie sobie przez nasze społeczeństwa tych niebezpieczeństw, które zagrażają nam ze strony reżymów, rządzących naszymi krajami i wszechobecnego sowieckiego totalizmu w ogóle.

Świadczą o tym liczne publikacje polskiego i ukraińskiego „samwydawu” (po rosyjsku — „samizdat”).

Z jednej strony widzimy przezwyciężenie strachu i bierności, co przejawia się w bujnym rozkwicie nieoficjalnej literatury, a z drugiej strony szukanie alternatywy i nowych metod edukacji narodowej, jak również krystalizowanie się postulatów narodowych, kulturalnych i społecznych.

Na naszych oczach powstaje prawdziwa opinia publiczna, wyrastająca ze swobody twórczego, nieskrępowanego wypowiedzania się.

Jak słusznie zauważa Stanisław Barańczak w swoim wnikliwym esej „Fasada i Tyły” — „druga połowa lat siedemdziesiątych stoi w naszym kraju pod znakiem ostrego kryzysu zaufania społeczeństwa do władzy” — dodając — „powstała po prostu nowa alternatywa. Zamiast „kompromis albo milczenie” powiedzmy dziś „kompromis albo niezależność, kompromis albo autentyczność, kompromis albo wolność”.

Właśnie z powstaniem „samwydawu” powstają nowe, znaczne możliwości rozwinięcia nieograniczonego cenzurą i zakazami dialogu polsko-ukraińskiego.

Uważam więc, że należy zauważyć i powitać z uznaniem i z wdzięcznością ze strony ukraińskiej fakt, że już w pierwszym numerze *Spotkań* ukazał się artykuł poświęcony stosunkom polsko-ukraińskim w okresie międzywojennym (x.y.z. — „Ukraińcy wobec państwowości polskiej”).

Ma to swoje duże znaczenie.

Przeciętnego bowiem Polaka „informowano” i „wychowywano” w przeciągu ostatnich 30 lat w duchu antyukraińskich nastawień i uprzedzeń, przypisując Ukraińcom przeróżne popełnione, ale również niepopołnione zbrodnie i grzechy.

Taka jednostronność negowała oczywiście i zacierała wkład i odpowiedzialność Polaków i polskiej polityki przedwojennej w stosunku do Ukraińców do stale przybierającego na sile konfliktu polsko-ukraińskiego, który osiągnął swój punkt kulminacyjny w tragicznych w skutki wydarzeniach lat wojennych i powojennych.

Innym nowym elementem w sytuacji jest fakt, że i w kraju i na emigracji wyrasta i przychodzi do głosu nowe pokolenie, nie obciążone uprzedzeniami przeszłości, przeżyciami dwudziestolecia i konfliktami wojennych i powojennych lat, które — jak już zaznaczyłem — oddzieliły Lacha od Rusina chińskim murem wzajemnej nieufności i niewiedzy.

Pokolenie to zaczyna rozumieć, iż jedynie odsunięcie uczuciowych obsesji może wzmocnić poczucie umiaru i odpowiedzialności i stworzyć wspólny język, jak również ułatwić uświadomienie zagrażających nam wspólnych niebezpieczeństw.

Jak wiemy w PRL wielu Polaków ze średniego i starszego pokolenia przesiedlonych z Wołynia i Rusi Halickiej na Ziemię Odzyskane, zajmujących różne, często odpowiedzialne stanowiska w administracji, a szczególnie w szkolnictwie no i w partii — niejednokrotnie używało swoich stanowisk i wpływów do załatwiania starych wojennych porachunków z Ukraińcami. Szukali

oni odwetu za wojenne pogromy Polaków przez Ukraińców. Była to po prostu kontynuacja wojny przy pomocy innych środków. Oczywiście nie wszyscy Polacy i nie w każdej sytuacji, ale takie zjawisko było dość rozpowszechnione.

Na emigracji natomiast można było przez długie lata zauważyć dużą powściągliwość, pewien rodzaj oportunizmu, nawet niechęć polityków polskich w wypracowaniu nowych zasad i nowej, bardziej realistycznej koncepcji polskiej polityki wschodniej w ogóle, a ukraińskiej w szczególności. Nie chcieli oni po prostu narażać się członkom swoich partii politycznych, pochodzących w ogromnej większości właśnie z tych ziem.

Nie brakowało również ideologów i szowinistów ziolkowskich, którzy w swoim rewizjonizmie terytorialnym, propagującym „odbieranie” tzw. Ziemi Wschodnich — identyfikowali naturalne zresztą umiłowanie stron rodzinnych z polską racją stanu, zwracając tym samym wyłącznie do zagadnienia granic tragedię Jałty, która odebrała Polsce wolność i niepodległość.

Nie wyglądały sprawy lepiej i po ukraińskiej stronie barykady. Zauważył na tym fakt, że kierownictwo ukraińskiego życia zorganizowanego, szczególnie na emigracji, spoczywało często przez długie lata w rękach ludzi nastawionych antypolsko — skrajnych nacjonalistów, działaczy podziemia ukraińskiego, polityków, którzy spędzili długie lata w polskich więzieniach przedwojennych lub byli prześladowani przez władze polskie.

Często trzeba przypominać moim rodakom w kraju i na emigracji, że obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej nie założono wyłącznie dla Ukraińców, lub, że w Brześciu znęcano się nie tylko nad nacjonalistami ukraińskimi, ale również nad Wincentym Witosem, trzykrotnym premierem Polski odrodzonej i dziesiątkami członków polskich partii politycznych, często znanych i wybitnych polityków.

I wreszcie jak bardzo zmieniła się nasza sytuacja polityczna, jak lekko jest dzisiaj ustalać nasze priorytety, czy rozpoznawać problemy, którym należy się bezwzględne pierwszeństwo. Przecież mamy dzisiaj tylko jednego wroga, który jest jednocześnie naszym wspólnym wrogiem.

Przed Pierwszą Wojną Światową można było np. organizować Ukraińców i Polaków przeciwko Rosji, która panowała nad większością narodu polskiego i ukraińskiego, jednak nie przeciwko Niemcom.

Wtedy, kiedy Ukraińcy nie mieli żadnych zatargów z Niemcami — to, co Niemcy robili z Polakami w Zaborze pruskim — było dla Polaków zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

Natomiast podczas Drugiej Wojny Światowej wrogiem numer jeden dla Polski były Niemcy, a Sowiety — wrogiem numer dwa. Dla Ukraińców było wręcz odwrotnie.

Wtedy, kiedy podziemie polskie współpracowało z partyzantką sowiecką na Wołyniu, Ukraińcy galicyjscy tworzyli esesowską dywizję, ażeby walczyć przeciwko bolszewikom.

Od teorii do rzeczywistości

Właściwie prawdziwy kontakt pomiędzy Ukrainą dzisiejszą i PRL jest skąpy i raczej ograniczonej natury. Nie mam oczywiście na myśli oficjalnych wymian delegacji partyjnych, bo są one zazwyczaj opatrzone w zgodne z przyjętą normą standardowe oświadczenia, ubrane w szaty powierzchownej serdeczności. Nie mają również osobliwego znaczenia kontakty pomiędzy trzymającymi się kurczowo poły Breżniewa, czy Gierka biurokratami.

Ale obecnie, kiedy stoimy na progu nowego etapu w ukształtowaniu stosunków polsko-ukraińskich — chodzi przecież o maksymalne wykorzystanie każdej i wszystkich sytuacji, okazji i możliwości dla twórczych i przyjaznych kontaktów i dla rozszerzenia terenu dyskusji.

Przecież pomimo różnic i konfliktów tworzyliśmy w przeciągu wieków pewną wspólnotę. Tradycje tej wspólnoty na pewno nie zanikły. Mamy poza sobą wieki powiązań kulturalnych.

Jeżeli chodzi o dotychczasową sytuację w PRL — to nie zależy mi bynajmniej na przypominaniu rzeczy na ogół znanych.

Na przykład pamiętnego artykułu Edwarda Hołdy i Jerzego Litwiniuka pod tytułem „Dziesięć lat nieistnienia” w tygodniku *Po Prostu* z 3 marca 1957 roku, analizującego przyczyny i skutki naszej wzajemnej wrogości lub szerzej znanych i dość licznych publikacji na tematy ukraińsko-polskie.

Albo kwestii przywrócenia ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL po „przewrocie październikowym” 1956 roku, własnych szkół, czy raczej namiastki szkół („punkty” nauczania języka ukraińskiego) lub pozwolenia Ukraińcom pielęgnowania kultury narodowej w ramach powołanego do życia Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Chodzi mi raczej o podzielenie się z czytelnikami faktami mniej znanymi. Na przykład, że na uniwersytetach ukraińskich studiowało w 1977 roku 750 studentów Polaków (*Życie Warszawy* z 16-17 kwietnia 1977), że w księgarni ukraińskiej na Kreszczatyku w Kijowie sprzedano w przeciągu czterech godzin 2.000 polskich książek (*Polityka* z 25. 12. 1976); lub, że niedawny film Wajdy według powieści Wł. Reymonta „Ziemia Obiecana” widział w przeciągu jednego tygodnia 69 tysięcy Kijowian; albo, że wielu widzów w Polsce zachwycano się niezwykle filmem ukraińskim Sergiusza Paradżanowa o Huculszczyźnie „Cienie Zapomnianych Przodków”, odznaczonym wielu nagrodami na festiwalach międzynarodowych.

Od ludzi natomiast podróżujących po Ukrainie, z coraz to liczniejszych relacji dziennikarzy i pisarzy polskich bywających na Ukrainie w ramach różnych jubileuszów, czy Dni Kultury i Literatury Polskiej (ostatni w kwietniu 1977 r.) dowiadujemy się jak bezpośredni i silny jest we współczesnej Ukrainie prąd dążący do współpracy, przyjaźni i zacieśnienia stosunków z Polską.

Inni znowu zapewniają mnie jak duży i niezmiernie żywy oddźwięk znalazły na Ukrainie „przerzucane” różnymi sposobami opracowania historyczne Pawła Jasienicy, szczególnie jego oryginalna i „rewizjonistyczna” „Rzeczypospolita Obojga Narodów” i przede wszystkim znakomity utwór Jerzego Jędrzejewicza o Szewczenko „Noce Ukraińskie”. Właśnie niecodzienna popularność na Ukrainie tej niezwyklej książki przyczyniła się bardzo do jej trzeciego wydania.

W ogóle książki na tematy polsko-ukraińskie spotyka często dziwny los.

Opublikowana w 1973 roku w wydawnictwie MON 587-stronicowa „Droga do Nikąd — Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce”, Antoniego G. Szczepniaka i Wiesława Z. Szoty była ściągnięta ze sprzedaży niemal natychmiast po ukazaniu się. Nie wszystko bowiem wyglądało w niej tak, jak w krzywym zwierciadle „Łuny w Bieszczadach” (szereg nakładów, bardzo „popularny” film) Jana Gerharda.

Dobrze poinformowani ludzie twierdzą, że stało się to w wyniku interwencji samego ambasadora ZSSR Stanisława Piłotowicza. Miał mu się nie spodobać zrównoważony ton książki i fakt, że autorzy oparli swe wywody na stanowczo za szerokiej bazie źródłowej.

Dla Ukraińców w Polsce był szczególnie nieprzyjemny, nawet bardzo bolesny fakt zakazania przez władze PRL wyjazdu znakomitego chóru ukraińskiego z Warszawy „Żurawli” na występy do Kanady. Jak już wiemy dzisiaj zabiegał o to ze szczególną gorliwością ambasador PRL w Ottawie.

Podobnie dla Polaków zamieszkujących Ukrainę przykra jest notoryczna odmowa władz sowieckich udzielenia teatrowi polskiemu we Lwowie zgody na wyjazd na gościnne występy do Polski, pomimo tego, że teatr ten był już w Moskwie i Wilnie.

Ukraina współczesna — potencjał i znaczenie

Pomimo wielowiekowych wysiłków zepchnięcia nas, Ukraińców, w wieczysty niedorozwój i prowincjonalizm — pomimo dużych strat, prześladowań, sowietyzacji, niszczenia kultury ukraińskiej i rusyfikacji — pozostajemy nadal narodem dużym, prężnym i co najważniejsze walczącym.

Chociaż zawsze walczyliśmy o wolność i niepodległość — to prawie nigdy nie mieliśmy warunków normalnego rozwoju narodowego i możliwości swobodnego rozwoju społecznego, gospodarczego i kulturalnego. I w tym właśnie leży źródło naszych wielu niedomagań narodowych. Przejawialiśmy jednak zawsze prężność narodu, który nie kapituluje.

Szczególnie dzisiaj w epoce, kiedy nawet prymitywne ludy, czy niewielkie wyspy, liczące nieraz kilkaset tysięcy mieszkańców bez żadnej tradycji historyczno-państwowej, posiadają ogólnie uznawane prawo do niezawisłego bytu lub uzyskują bez trud-

ności niepodległość — nie jest po prostu możliwe, ażeby stan obecny, sztucznie, bo przecież przemocą przez Moskwę utrzymany, mógł się utrzymać na stałe.

W warunkach normalnie funkcjonującej demokracji zachodniej, jak np. w Kanadzie, rodacy nasi wykazują duży dynamizm, przejawiają wszechstronne zdolności, znaczne osiągnięcia w dziedzinie akademickiej, w życiu publicznym i na arenie politycznej. Na przykład syn niedawnych, skromnych emigrantów ukraińskich jest generałem i dowodzi lotnictwem kanadyjskim. Niedawnym attaché wojskowym w Warszawie był również Ukraińiec kanadyjski. Powracający do Polski pod koniec ubiegłego roku po kilkutygodniowym pobycie w Stanach Zjednoczonych, Władysław Bartoszewski, sekretarz generalny polskiego PEN-Clubu i wykładowca historii współczesnej na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie — stwierdził np., że po najbardziej rozpowszechnionej na studiach slawistycznych w uniwersytetach amerykańskich rusycystyce największą popularnością cieszy się ukrainistyka.

Oznacza to zdystansowanie przez emigrację ukraińską o wiele liczniejszej Polonii.

A o bogactwie prężności i różnorodności ukraińskiego życia naukowego i społecznego poinformował niedawno czytelnika krajowego Jacek Woźniakowski w swoich „Zapiskach Kanadyjskich”. W styczniu 1976 roku ukazało się drugie wydanie tej książki w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy.

Nie jest już obecnie dla nikogo tajemnicą, że właśnie Ukraińcy odegrali bardzo wybitną i przodującą rolę w prawie wszystkich strajkach i powstaniach w łagrach sowieckich przed i po 1953 roku, szczególnie w Workucie, w Norylsku i Karagandzie. Potwierdzają to Aleksander Sołżenicyn i liczne źródła zachodnie, nie wyłączając polskich.

Dzisiaj natomiast, kiedy ze wszystkich trybun partyjnych padają oświadczenia o ostatecznym rozwiązaniu zagadnienia narodowościowego — reżym komunistyczny wtrąca z jednej strony setki intelektualistów ukraińskich do łagrów i klinik psychiatrycznych, a z drugiej — produkuje powódź literatury, zwalczającej niby to nie istniejący już „burżuazyjny nacjonalizm” i zatrudnia na samej tylko Ukrainie armię 150 tysięcy specjalnych agitatorów.

Sama skala i natężenie środków represyjnych, których się używa dla stłumienia ukraińskiego ruchu oporu, są również niezwykłych rozmiarów. Zgodnie z wiadomością podaną w 7-8 numerze znanej ukraińskiej publikacji podziemnej, która nazywa się *Ukrainskyj Wisnyk* (jest to ukraiński odpowiednik słynnej rosyjskiej „Kroniki bieżących wydarzeń”) w samym tylko Lwowie i okolicach dokonano od stycznia do marca 1972 roku tysięcy aresztowań i rewizji i skonfiskowano 3.000 egzemplarzy „samowydawnej” literatury.

Nawet na najwyższym szczeblu partyjnym sprawy nie wyglądają tak, jak chciałby tego reżym i moskiewskie kierownictwo. Przed kilku laty Moskwa usunęła ze stanowiska pierwszego

sekretarza kompartii ukraińskiej (w końcu wyrzucono go również z Politbiura) Piotra Szelesta za „... odchylenie nacjonalistyczne”.

Ponadto zaszły zmiany na lepsze w wyrównaniu struktury socjologicznej społeczeństwa ukraińskiego i w sposobie jego myślenia. Połączone jest to ze znacznym wzrostem świadomości narodowej i ze zwiększeniem się roli młodzieży w życiu narodowym, a zwłaszcza w szeroko rozgałęzionym ruchu emancypacyjnym, którego postawa i jakość, jak również wysoka klasa produkowanej przez ruch ten literatury, zrobiły takie wielkie wrażenie na Zachodzie.

Perspektywy na Przyszłość

Jak już zaznaczyłem powyżej, sytuacja w której znalazły się nasze narody ogromnie się zmieniła. Niebezpieczeństwa, które nam zagrażają, są wspólne i wielowarstwowe. Zagrażają one bowiem naszej osobowości narodowej, naszej kulturze i normalnemu rozwojowi naszych narodów.

Uświadomienie sobie tego nie tylko wzmacnia bazę naszej współpracy i naszych wysiłków emancypacyjnych, ale również uniemożliwia siłom nam wrogim lub nam nieprzyjaznym manipulowanie nami lub podjudzanie nas przeciwko sobie, jak to często bywało w przeszłości, lub skłócenie nas we wzajemnych walkach, często o drugorzędne cele.

Chodzi również o uodpornienie i przygotowanie nas na nieprzewidziane niespodzianki historii, chodzi o to, ażeby w chwili dziejowej koniunktury narody nasze nie pozostały z jednej strony nie przygotowane, bierne, a tym bardziej skłócone, a z drugiej strony ażeby nie zdały się wyłącznie na dobrą wolę i pomoc Zachodu.

Historia XX-go wieku pozostawiła u nas gorzki posmak metod stosowanych przez mocarstwa i możnych świata dzisiejszego: załatwiania naszych spraw notoryczną metodą „o nas — bez nas”.

XYZ słusznie np. podkreśla w poprzednim numerze *Spotkań* jak bardzo zaważyła na ukształtowaniu się naszych wzajemnych stosunków w Galicji Wschodniej zaraz po pierwszej wojnie światowej, z jednej strony nieustępliwość, a z drugiej naiwna wiara Jewhena Petruszewicza w Ententę i jego skrajnie negatywny stosunek do jakichkolwiek pertraktacji i dogadania się z Polakami. Historyk współczesny Janusz Radziejowski, również zarzuca Ukraińcom „jałową negację rzeczywistości polskiej”.

Podczas drugiej wojny światowej sprostęgamy również, jakżeż nieuzasadniony optymizm niektórych kół ukraińskich w stosunku do Niemców — albo pokładanie ogromnych nadziei na Zachodnich Aliantów przez wielu Polaków.

Uświadomienie sobie więc tej współzależności losu, perspektyw i wysiłków jest dla obydwu naszych narodów zagadnieniem

pierwszorzędnej wagi. Nie jest na pewno w interesie Polaków, ażeby rusyfikacja Ukrainy poszła za daleko. Rozprawiwszy się bowiem z Ukrainą Moskwa wzięłaby się ze wzmoczoną energią za Polskę.

Dzisiejszy Lwów z jego dużym zapleczem ukraińskim i głęboko zakorzenionymi tradycjami kulturalnymi i bezspornego patriotyzmu ukraińskiego — jest jednym z głównych obozów warownych przeciw rusyfikacyjno-imperialistycznej polityce Moskwy na Ukrainie.

W swoim więc sprzeciwie dalekosiężnym planom sowieckim „stopienia się narodów” — cały region dzisiejszej Ukrainy Zachodniej jest pierwszorzędny, potencjalnym sojusznikiem Polaków w ich walce przeciw moskiewskiemu naciskowi na Polskę i przeciwko perfidnej sowietyzacji Polski.

Z drugiej strony rozmiary i bezwzględność ofensywy komunistycznej na Ukrainie zwracają już dzisiaj oczy wielu Ukraińców ku Polsce jako naturalnej sojusznice.

Dlatego więc my Ukraińcy chcielibyśmy widzieć znacznie większe zainteresowanie nami wśród Polaków w sensie sprzeciwu tendencjom środków masowego przekazu w PRL topienia nas w morzu ogólnosowieckich uogólnień i stereotypów.

Ponadto, jeżeli Ukraińcy chcą się skoncentrować przeciwko Rosji — nie mam tutaj na myśli wojny z narodem rosyjskim, lecz z przejawami imperializmu sowieckiego i z imperialistyczną mentalnością wielu Rosjan — to muszą dążyć do odprężenia stosunków i do porozumienia na odcinku polskim.

Z drugiej znowu strony, gdyby się Ukraińcom udało dojść do jakiegoś wzajemnego porozumienia z Rosjanami, reprezentującymi nową Rosję, nie jest bynajmniej w interesie Polaków, ażeby to porozumienie było skierowane przeciwko Polsce.

Poza tym nie trzeba chyba dodawać, że przykład współpracy polsko-ukraińskiej byłby zachętą dla innych skłóconych przez historię narodów naszego obszaru do pokojowego współżycia i prawdziwej współpracy.

Przy tym powinniśmy również pamiętać o konieczności uniknięcia zatargów o tzw. Ziemię Wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej, o których „odbieraniu” mówi się jeszcze tu i ówdzie, zwłaszcza na emigracji, ale coraz to rzadziej i coraz to z mniejszym przekonaniem.

Wychodząc z założenia, że dzisiejsza Polska jest państwem narodowym i że na tzw. Ziemiach Wschodnich dawnej i międzywojennej Rzeczypospolitej powstały w zasadzie republiki narodowe oparte na ludności miejscowej, posiadającej na nich bezsporną większość, należy oba te zjawiska uważać za trwałe.

Natomiast obecny ich ustrój komunistyczny i stosowana przez Moskwę polityka imperialistyczno-kolonialna jest — uważam — zjawiskiem czasowym, bo opierają się one nie na dobrowolnym współistnieniu i na zasadach współpracy i przyjaźni, ale na przemocy.

Sztuczny ten gmach, utrzymywany w całości jedynie siłą i

strachem, może któregoś dnia runąć, co przeobraziłoby natychmiast Ukrainę, Litwę i Białoruś w niepodległe państwa narodowe.

Utrzymanie się ich jednak przy życiu i zapewnienie Polsce trwałej niepodległości zależałoby przede wszystkim od naszej wspólnej jedności i politycznego porozumienia i ułożenia się, które — wierzę — powinny i muszą przyjść poprzez zwyciężenie przebrzmiałych i nieaktualnych już dzisiaj antagonizmów i poprzez współpracę polityczną, kulturalną i gospodarczą.

Już dzisiaj jednak powinniśmy przygotować do tego grunt.

I jeszcze jedno. Chociaż nigdy nie brakowało w naszym życiu narodowym demagogów i szowinistów — wydaje mi się, że konfrontacja nacjonalistyczna w stosunkach polsko-ukraińskich nie będzie już nigdy mogła nabrać takiego natężenia, jak w latach przedwojennych ze strony polskiej i w latach wojennych ze strony ukraińskiej.

Uwagi końcowe

Leży więc na nas odpowiedzialność wypracowania jakiegoś programu, jasnej i wyraźnej koncepcji i wizji przyszłości, która by odzwierciedlała prawdziwe i najgłębsze aspiracje obydwu narodów.

Oba narody, ukraiński i polski, walczą o odzyskanie, czy uzyskanie zagrożonych przez ucisk totalitarny praw ludzkich i narodowych i o wolność i niepodległość. Na krótką metę chodzi nam przede wszystkim o osłabienie uchwytu sowieckiego nad Polską i Ukrainą. Na dłuższą metę jednak zmagamy się o zachowanie swego terytorium w kręgu własnej władzy i o regulowanie naszych stosunków za pomocą normalnych umów pomiędzy równymi w duchu współpracy i porozumienia.

Wydaje mi się, że w chwili obecnej obydwie nasze narody nie są jeszcze prawdziwymi partnerami, bo nie mogą samodzielnie pobierać decyzji politycznych.

„Lubimy powoływać się na sprawiedliwość dziejową”, powiedział przed kilku laty oddany szermierz porozumienia polsko-ukraińskiego, Józef Łobodowski, dodając jednocześnie — „ale należy jej pomóc, nie wolno oczekiwać jej zwycięstwa z założonymi rękami”.

Czego nie można zrobić dziś, może w zmienionych warunkach można będzie podjąć jutro, bylebyśmy tylko byli odpowiednio do tego przygotowani.

Szczególnie dzisiaj dla każdego z naszych narodów ich stosunki wzajemne są dużej doniosłości. Skazani jesteśmy po prostu na współżycie ze sobą, ale zależy od nas, od obu naszych narodów, czy to współżycie będzie przyjazne, czy wrogie z decydującymi konsekwencjami dla przyszłości. Wobec powyższego nabiera decydującej wagi stosunek większości polskiej, czy ukraińskiej do mniejszości drugiego narodu, żyjącej poza granicami

własnego państwa narodowego. Ponieważ jest to i będzie w przyszłości faktem trwałym w stosunkach polsko-ukraińskich — jest niesłychanie ważne, by mniejszość czuła się w domu wśród swoich, a nie obcych.

Jest to nieodzowny warunek pokochania wspólnego domu, a także odegrania roli łącznika, wnoszącego cenny udział do wzajemnej przyjaźni.

Właśnie te tak bardzo ważne okoliczności skłaniają mnie do zwrócenia się ze specjalnym apelem do wszystkich Polaków dobrej woli w imię nadrzędnych interesów polskich i tych wartości, z którymi są one nierozzerwalnie związane — o sprawiedliwość i słusność w traktowaniu mniejszości ukraińskiej na terenie Polski.

Nas Ukraińców martwią bowiem szczególnie przejawy nierównego traktowania Ukraińców w PRL przez część społeczeństwa polskiego. Często właśnie nie rząd, czy partia, a właśnie sąsiedzi Polacy i miejscowi urzędnicy nie szczczędają im różnych szykan.

Całkowita asymilacja, czy wyrzeczenie się tradycji narodowych, swego pochodzenia, życie w stałym lęku — nie przekształcała członków ukraińskiej mniejszości narodowej w dobrych obywateli i sąsiadów. Nie torują one także drogi do tak bardzo koniecznego w dzisiejszej sytuacji wspólnego zagrożenia, odprężenia stosunków i wypracowania zasad współpracy i porozumienia dla dobra obu narodów w najszerszym pojęciu tego słowa.

Wyda mi się, że właśnie Kościół Katolicki, ciesząc się u ludności polskiej szczególnie dużym autorytetem, mógłby w znacznej mierze wpłynąć na poprawę polsko-ukraińskiego współżycia.

Apeluję więc do poczucia odpowiedzialności i sprawiedliwości każdego Polaka, ażeby w imię zasad chrześcijańskich i w imię najlepszych zasad katolickich i z troską o lepszą przyszłość starał się w swoim życiu codziennym dążyć do ułożenia stosunków polsko-ukraińskich w PRL na nowych zasadach uszanowania ludzkiej godności i narodowej tożsamości swych współobywateli Ukraińców.

Bohdan SAHAJDACZNY

Spotkania, Lublin, Nr 5, 1978.

Nowe rosyjskie czasopisma

Przez wiele lat układ czasopism literackich rosyjskiej emigracji miał charakter względnie ustabilizowany; sięgało się stale po to samo, wiedząc czego się spodziewać. Była literatura w *Russkoi Mysli* z jej miłą staroświecczyną, im dalej tym bardziej wzruszającą, a dziś, w czasach retro, bardziej niż kiedykolwiek na

miejsu. Był solidny, z akademickim zapaszkiem, umiarkowanie, ale jednak dozujący nowatorów i nowinki *Nowyj Żurnał*. Były bardziej polityczne, ale i bardziej otwarte, wiele nowego z Rosji wyłapujące *Grani*, na które co prawda wypadało się zawsze lekko wybrzydzać; szczerze mówiąc i obiektywnie zważywszy z górą setkę wydanych numerów — niezupełnie wiadomo dlaczego. Był *Wiestnik russkowo christianskowo dżiżenija* wpatrzony w swoje ponadczasowe sprawy, ale również otwarty na rzeczy literacko poważne. I prawie już. Kiedy nastąpił wielki przypływ trzeciej emigracji układ ten uległ naturalnemu rozszerzeniu, ale nie zachwianiu. Wpisał się weń, zajmując miejsce centralne, *Konty-nent* — widać już dokładnie jak bardzo potrzebny, bo patrzący szeroko, w całą Wschodnią Europę i cały zespół ściśniętych sowiecką obrozą narodów. Już to samo — zerwanie z klasycznym rosyjskim pępocentryzmem — jeśli nawet jeszcze niedoskonałe, określa znaczenie tego pisma; chociaż nie tylko to. W odległej sferze bliskowschodniej podobną rolę zaczęło spełniać bardzo fachowo robione czasopismo *Wremia i my*, wzorowo realizując formułę rosyjskiego miesięcznego *tołstowo żurnała*, uwolnionego od martwego ciężaru sowieckiej drętwy. Byłoby też dziwne, gdyby doskonała plejada żydowsko-rosyjskich intelektualistów, wyemigrowawszy, czegoś takiego dla samookreślenia i określenia sytuacji swego kraju i narodu nie powołała.

I tak to szło, póki ostatnie już lata a nawet miesiące nie przyniosły wielkiego edytorskiego boom'u. Nagle zrobiło się pstro od tytułów. Zapanowała atmosfera niespodzianki, geryłowskiej i wolnej konkurencji. *Echo*, *Kowczeg*, *Tretja wolna*, *Syntaksis*, *Głagoł* — to bynajmniej nie wszystko, i piszący te słowa nie pretenduje do ogarnięcia wszystkiego. Okazało się, że trzecia emigracja, złożona znacznie bardziej niż poprzednie, z ludzi kultury i intelektu, ma jeszcze znaczne rezerwy. Lub może jest przekonana że je ma (czas to sprawdzi) i śpieszy poinformować o tym siebie nawzajem i swoich obserwatorów. Jakkolwiek będziemy to oceniać — o czym konkretnie za chwilę — przyjdzie najpierw pokiwać głową nad nieprawdopodobnym zaiste zaślepieniem sowieckiej władzy, której ideałem jest możliwe dokładne wymiatanie własnego podwórka z dysydenckiego śmiecia. Już raz, na początku lat dwudziestych „podarowano” tak, hojną ręką, emigracji dużą grupę najwybitniejszych rosyjskich umysłów. Teraz taktyka ta przybrała charakter uporczywie ciągły; jeśli nawet ludzi się siłą nie wyrzuca, to stwarza się warunki, w których wielu z nich widzi się zmuszonymi do wyjazdu. W efekcie rosyjska diaspora tak bardzo się literacko i artystycznie ożywiła, a literatura i sztuka w kraju tak wyraźnie zszarzała, zbłądła i bardziej niż kiedykolwiek podupadła, że wszystkie dotychczasowe kryteria się kolebią. Dawniej, niezależnie od przekonań, wszyscy obserwatorzy i badacze zachodni poważnie traktowali tylko rosyjski ład macierzysty; emigrację ledwo zauważano, albo i to nie. A teraz? Co będzie, jak tak dalej pójdzie, ważniejsze? Co się stanie „macierzą”, a co „marginesem”, i jakich

potrzeba będzie nowych określeń dla nowej sytuacji? Nie nasze to zmartwienie; naszym może być tylko zdziwienie, że władza sowiecka zdaje się nie wiedzieć co czyni.

Coraz nowym przybywom dotychczasowy układ czasopiśmienniczy musiał się wydać ciasnawy. I — zbyt akademicki przy tym. W ich obecnych poczynaniach gra na pewno rolę kilka czynników. Najpierw — szczerą, młodzieńczą radość artykulacji, której trudno się dziwić. Móc się wypowiedzieć, a wypowiedziawszy — ujrzeć w druku, a ujrzawszy — przedłużać ten kreacyjny gest, mając poczucie współkształtowania jakiejś sytuacji! Trzeba wiedzieć, albo umieć odczuć czym jest tam, za żelazną kurtyną PISMO, w swoim urzędowym majestacie, w ogrodzeniu potrójnymi zasiekami ideologicznej prawowierności, w autorskiej doświadczonej dla wybranych tylko, i to zmuszanych jakże często do poniżających zabiegów; PISMO w całej aurze swego negatywnego mitu, niezależnie od niewielu odstępstw od reguły — trzeba to wiedzieć, żeby się nie dziwić łatwości ulegania pokusie tu, gdzie wystarczy trochę pieniędzy i dobrych chęci — przynajmniej na początek.

Bodaj, że — nieco głębiej biorąc — własne pismo widzi się jako oznakę prawdziwej wolności. I będzie tych pism z pewnością coraz więcej — przez pewien czas. Różnice ich założeń nie zawsze są dostrzegalne, wielu autorów swobodnie koczując raz tu raz tam, i na zdrowy rozum wszystko to mogłoby się prawie zmieścić pod jednym większym szyldem. Ale zdrowy rozum jest chyba na razie zmagoryzowany przez emocje. I przemożny ruch odśrodkowy. Zbici w tamtym, poprzednim wcieleniu w przymusową i bezwładną „jedność” (Leszek Kołakowski napisał kiedyś o „jedności worka kartofli”) — Rosjanie w diasporze z rozkoszą rozbiegają się, byle najdalej, każdy do własnego, zazdrośnie strzeżonego kąca. Niektórzy załamują nad tym ręce, podobnie jak nad łatwością nadąsań; bo ciężkie inwektywy latają w powietrzu z byle powodu. Ja widzę tu dziecięcą hipertrofię samodzielności i jej koszt; za jakiś czas wszystko się utrzęsie i osiadzie. Chyba i z naszą emigracją było kiedyś podobnie, nim nie stało się dokładnie wiadomo kto jest kto, na czym stoi i na co pójdzie, a na co nie — i że nie warto się indyczyć na daremno. W każdym razie dzisiejszy stosunek starszej polskiej do młodszej rosyjskiej emigracji ma coś z wyrozumiałej pobłażliwości starszego wujaszka wobec siostrzeńca urwipółcia i szafalputy.

Jeszcze jednym czynnikiem sprawczym czasopiśmienniczego boom'u wydaje się odwieczna sytuacja artystycznego buntu „cyganów” przeciw „akademikom”. Nie we wszystkich wypadkach; widać to jednak np. w *Echu*, w *Kowczegu*, w *Trećiej wolnie*, częściowo w amerykańskim *Głagole*. Rzeczy tam drukowane są w większości bliskie duchowi europejskiej awangardy, starają się ją dogonić, albo nawiązać do rosyjskiego eksperymentu artystycznego lat dwudziestych. Szczególnie żywotna okazała się tradycja leningradzkiej grupy OBERIU (w przekładzie: Stowarzysze-

nie Sztuki Realnej), która umiała znaleźć oryginalną formułę między futuryzmem a nadrealizmem nim jej nie rozdeptano. Ten kierunek prowadzi zresztą głęboko w rosyjską tradycję, aż ku Gogolowi. W samej Rosji tradycję tę pokawałkowano i ostatecznie prawie stłamszono; dziś ledwo zipie, przyciśnięta górą socrealistycznej sztampy. Natomiast dla wyjeżdżających okazuje się z reguły najważniejsza; chwytają ją w lot jako naturalny sposób ekspresji. Koszmar albo dziwność przeżytych lat, poczucie kawkowskiej nierealności i grozy ojczystych struktur partyjno-państwowych, które można zaatakować grymasem albo groteską, wreszcie pewna nierzeczywistość sytuacji ludzi wytraconych z jednego kontekstu a nie całkiem osadzonych w drugim — zdaje się narzucać z góry język urwany, skojarzeniowy, metaforyczny, o podwyższonej ekspresyjności, czasem zgoła fantasmagoryczny czy wizyjny. Różne są warianty, ale niemal wszyscy wspólnie brzydzą się realizmu jak diabeł święconej wody; i wszyscy niemal piszą, mówiąc umownie, „gogolem” — nawet kiedy mają rękę ułożoną do innego stylu, nawet z gwałtem na własnej naturze. To też jest pasja trochę szkolna i bardzo naiwna, ale — też zrozumiała. Za jakiś czas odcedzą się tu rzeczy i postawy autentyczne od udawania i zwykłej tandety. Ta ostatnia musi się przemieszać w warunkach zgiełku, mącenia kryteriów, nadrabiania zaległości, taryfy ulgowej dla ludzi politycznie dzielnych, którzy jednak piszą znacznie gorzej niż żyją, albo półgrafomanów, wypychających się tylnymi drzwiami jako „prześladowani”; wszystko się zdarza. Za jakiś czas wyklarują się pojęcia używane z ograniczoną odpowiedzialnością; występują np. „absurdyści” którzy z absurdem w sensie ścisłym nie wiele mają wspólnego, ale uważają że mają i koniec. Tymczasem jednak pisma dotychczasowe muszą się przybywom wydawać zbyt tradycyjne i akademickie, sterowane przez ludzi o gustach zbyt staroświeckich. Tak też jest istotnie, w dotychczasowym układzie eksperymenty dopuszczano do głosu ostrożnie, w małych dawkach, a np. *Kontynent* daje zdecydowanie prym literaturze społecznej pasji, w duchu tradycji dawnego *Nowego Mira*. Doganianie Europy — wszystko jedno czy formułować to z przekazem, czy bez — musi się więc odbywać gdzie indziej, w luźniejszej atmosferze, we własnym gronie.

Tu znów widać różnice w porównaniu z nami: w Polsce dogonienie już się odbyło, na krótszym odcinku, więc szybko, po roku 1956; eksperyment artystyczny był później przez cały czas nie tylko, że dopuszczalny, ale nawet czuło się, że władza go często woli jako zabawę w sztukę „czystą”, mniej niebezpieczną niż zbyt uważne przyglądanie się rzeczywistości (w wielkim uproszczeniu, oczywiście). Toteż wolna prasa literacka i społeczno-literacka w kraju i na emigracji orze głęboko w rzeczywistości, w problematyce, w faktografii; nawet tomiki Barańczaka czy Krynickiego o zaostrożonej ekspresji przede wszystkim czemuś służą, o czymś i przeciw czemuś świadczą. Bawić się formą można u nas legalnie. Nie ubolewam i nie zadzieram, jako

Polak, nosa; konstatuję fakt. Tak nas i przyjaciół-Rosjan, przewrotnie dosyć, okoliczności losów przestawiły; bo w historii częściej bywało odwrotnie. Kiedyś historycy literatury będą to dokładnie opisywali.

Inny powód przepływu rosyjskiego czasopiśmiennictwa: całkiem zwyczajnie — są teksty, i już. „Wydawanie pisma — piszą redaktorzy w pierwszym *Echu* — i wszystkie kłopoty z nim związane wzięliśmy na siebie wyłącznie dlatego, że wszyscy mamy pełno rękopisów — przede wszystkim z Rosji. Rękopisów jest dużo, rosyjskich edycji za mało. Niech będzie jeszcze jedna, na dodatek do wszystkich innych. To jedyna i bardzo prosta przyczyna”. Bardzo prosta, fakt. Czasem wydaje się, że wiele nowych redakcji równie prosto traktuje swoją rolę. Polega ona na złożeniu razem pewnej ilości tekstów, zadiustowaniu i zanieśieniu do drukarni. U spodu takiego poczynania kryje się przekonanie, że sama ilość jest jakością. W efekcie niektóre z pism jakby się wciąż jeszcze jako pisma nie spełniły; nie przebiega wewnątrz nich ta magiczna iskierka, która łączy wszystko. Słyszałem kiedyś, w dawnych czasach, rozmowę dwóch fachowców od plastycznych wystrojów uroczystych akademii; zastanawiali się czy Bierut „dobrze patrzy” na Stalina, czy trzeba dobrać inne portrety. Była, okazuje się, i taka problematyka; wodzowie nie mogli się na ścianach odwracać od siebie, lecz k'sobie. Otóż w niektórych pismach jest wiele tekstów odsiebnych; nie patrzą na siebie wcale. To raczej almanachy niż czasopisma. *Tretja wołna* na przykład, po namyśle, zdecydowała się na takie właśnie samookreślenie, i było to trzeźwe postawienie sprawy. Inni redaktorzy są jeszcze na okresie próbnym, ucząc się zawodu. A nie jest to zawód łatwy, więc bez obawy błędu można przypuścić, że go opanują lub nie. W drugim wypadku będziemy mieli sporo almanachów, z czego też jest korzyść. Boże chroń nas przed *besserwisser'skim* wymądrzaniem — jeśli rzeczywiście jest pełno rękopisów z Rosji, to niech się ujawniają, niech łączność duchowa diaspory z macierzą nie ulegnie zerwaniu, i niech ją podtrzymuje kto chce i jak potrafi; daj mu Boże wytrwałość i pieniądze!

Przechodząc do szczegółów zacznijmy od czasopisma *Echo*, które nie określiło początkowo swojego rytmu publikacyjnego; na razie wyszły dwa numery. Redagują pismo prozaik Włodzimierz Maramzin, oraz poeta i pieśniarz Aleksy Chwostienko. Zresztą — co łączy się z napisanym wcześniej — demonstracyjnie redagują nie redagują, oświadczając we wstępie „Pojęcie redagowania jest dla nas nienawistne, wskutek naszych niewolniczych doświadczeń; chociażby z poczucia dobrego smaku były niewolnik nie powinien nosić pasiaka”. No właśnie; jesteśmy w domu. Ale pismo tak czy owak jest robione, na razie właśnie w sposób almanachowy, jako mozaika różnych tekstów. Podstawowy zrab tekstów to krajowy samizdat. Dał on dwie ciekawe prozy, zwłaszcza „Pewną całkowicie szczęśliwą wieś” Borysa Bachtina, przypominającą trochę wiejskie fantasmagorie wybit-

nego prozaika lat dwudziestych, Sergiusza Kłyczkowa. Rzecz druga, „Pora bezdeszczowa do września” Włodzimierza Gubina udziwnia świat i przesuwając porządki, jak to dziś u Rosjan powszechnie przyjęte, w sposób nieco bardziej konwencjonalny. Nie brak również ostrych realistów, z których wybija się, już dostatecznie w ogóle jako indywidualność, mięsisty, kuprinowski Włodzimierz Rybakow. Poezję reprezentują przede wszystkim autorzy bliscy dwujęzycznemu zbiorowi „*Freiheit ist Freiheit*” (Zürich, 1975), a więc łagodnie absurdalizujący. Ich ojcem duchowym jest Aleksander Wwiedeński, zgładzony poeta z cytowanej grupy OBERIU, reprezentujący w niej skrajne eksperymentalizację; toteż dwie jego publikacje w *Echu* są rzeczywiście cenne. Poza tym pismo jest jak arka Noego — *wsiakoj twari po parie*; doskonałe rozważania o kwestii żydowskiej, pisane w łagrze przez Michała Chejfeca, nekrolog Galicza, list Rostropowicza, recenzje, przekłady i stare wiersze Brodskiego na początek.

Kowczeg, redagowany przez Mikołaja Bokowa i A. (?) — nie-dobry rosyjski obyczaj nieujawniania imion) Krona, zapowiada, że będzie wychodzić nieregularnie, i konsekwentnie stara się być arką eksperymentatorów, budujących mikroświaty antylogiczne, złożone z cząstek odpychających się nawzajem, czasem wyraźnie parodystyczne, poddane zasadzie swoistej gry z rzeczywistością. Jest to również dziedzictwo oberiuckie. Z największym poczuciem artystycznej odpowiedzialności, tworząc wizję istotnie autonomiczną, podchodzi do sprawy chyba dobrze już znany na Zachodzie Włodzimierz Kazakow. Otaczają go m.in. również autorzy z „*Freiheit ist Freiheit*”, wśród których dość nieoczekiwanie zjawia się, z zupełnie innej stylistycznej beczki, ale bardzo wybitny poeta estoński Uku Masing, będący we własnym kraju rodzajem literackiej legendy. Dość żenujące bzdury plecie natomiast pod tytułem „Poza marksizmem” A. (?) Łaskow; dyletanizm w prozie czy poezji pozwala się czasem maskować, ale publicystyka czy esejistyka obnaża go natychmiast. Łaskow pisze tak, jakby nic przed nim na temat kryzysu marksizmu nie napisano — niedbale i rozwięźle, a w końcu dopisuje się do tego, że wszystko wszędzie jest podobne, za co już zresztą dostał w *Tretiej wołnie* po łapach, więc dajmy mu pokój i pozwólmy zmądrzeć. Honor domu ratuje N. (?) Kononowa bardzo rzeczowo, zwięźle i wnikliwie przedstawiając „Twarz Petersburga” i sytuację inteligencji twórczej w tym ciężko doświadczanym mieście. Jeśli dobrze pójdzie, to bodaj taki „petersburski”, wrażliwy na formę i zawsze bardziej otwarty ku Europie profil może się u Kowczega wyrysować.

Tretja wołna wychodzi pod redakcją Aleksandra Glezera i Maji Murawnik, od numeru drugiego jako almanach, również zapowiadający nieregularność. Dotychczas wydano cztery numery w tym jeden podwójny. *Fala* jest wyraźnie przedsięwzięciem plastycznym, dopuszczających na swe łamy także literaturę; tę reprezentują nazwiska które znamy już z *Echa* czy Kowczega; wszyscy są wszędzie, a rekord bije bodaj Henryk Sapgir, którego zabawne

i agresywne „Sonety na koszulach” drukują wszyscy, nie wyłączając *Kontynentu*. Almanach ma staranny wystrój plastyczny, zamieszcza sporo reprodukcji, dużo miejsca poświęca losowi i pracom plastyków-nonkonformistów w kraju i w diaspory. Dużo tu jest polemik, wynikających, jak się zdaje, z monopolistycznych aspiracji niektórych ugrupowań, ale laikowi trudno sądzić kto ma rację, pozostaje więc tylko życzyć wszystkim, którzy mają w sztuce i w piśmie coś do powiedzenia, żeby mogli to robić swobodnie i nie starali się przy tym zamknąć ust innym.

Głogoł jest dzieckiem michigańskiego wydawnictwa „Ardis”, które bardzo energicznie wkroczyło na rusycystyczny rynek, zagarniając wszystko co wpadnie w rękę i nie zawsze przestrzegając reguł gry. Tak jest i tu: co jest wydawane — almanach? miesięcznik? rocznik? kto wydaje? skąd są wzięte publikowane teksty? — informowaniem o takich drobiazgach wydawcy się nie trudzą, to co jest — jest i basta. Ale, przynajmniej, są rzeczy ciekawe; fragment nowej rzeczy Saszy Sokołowa, autora bardzo ciekawej „Szkół dla głupców”; wczesny, bardzo młodzieńczy ale z werwą i blaskiem napisany utwór jednego z najlepszych dziś krajowych prozaików, Wasylego Aksionowa „Stalowy ptak”. W pobliżu tradycji jednego z „oberiutów”, ale oddzielnie stojącego, Konstantego Waginowa, mieszczą się wartościowe wiersze Aleksego Cwietskowa, z klimatem rozpadu tradycji, kruszenia form i melancholijnego dogasania. Ważne jest przypomnienie tragicznej postaci sowieckiego Petersburga, Aleksandra Rywina, *poète maudit*, szalonego, chyba z wielkimi zdolnościami. Jest też parę publikacji epistolograficznych, trochę przekładów, wszystko jak trzeba w almanachu (bo chyba to jednak almanach) z wyjątkiem wspomnianych drobiazgów informacyjnych, tak, że ostatecznie nie wiadomo czy *Głogoł* to sprawa rosyjska, czy anglosaska; zobaczmy.

Inną od wszystkich sprawą jest *Syntaksis*, pismo Marii Rozanowej i Andrzeja Siniawskiego, z podtytułem „Publicystyka, krytyka, polemika”, poświęcone Aleksandrowi Ginzburgowi, w latach 1959-1960 redaktorowi słynnego, samizdatowskiego pisma pod takimże tytułem, które było przedsięwzięciem wolnościowych ruchów rosyjskiej literatury. Wyszły dwa numery. Formuła jest bardzo ambitna: żadnej literatury pięknej, czysty ruch myśli krytycznej, esejistycznej i publicystycznej. Czy starczy sił? Na razie pierwszy numer okazał się zbiorem różnych artykułów, z których wybijał się bardzo wnikliwy tekst Aleksandra Janowa o ideologach rosyjskiej prawicy i jej skrajnych formach. Natomiast w numerze drugim, gdzie ta linia — wykład poglądów nacjonalistycznych i „neosłowiańskich”, oraz polemika z nimi — jest kontynuowana, dokonano się coś, spełnienie pisma, akt prawie mistyczny, bo trudno uchwytne, ale iskierka przebiegła, i zamiast zbioru artykułów mamy już pewną całość, teksty patrzą na siebie. Taka trybuna bardzo się może emigracji przydać, nawet — lub zwłaszcza — jeśli wywoła zaostrenie emocji, bo ostry ruch myśli jeszcze żadnemu środowisku nie zaszkodził. *Syntaksis*

wzbogaciłby wówczas *spectrum* postaw, rozkładających się od tajemniczego i dwuznacznego dosyć *XX wieku* Roya Miedwiediewa, przez próby „nowej lewicy” ze zbioru „SSSR. Diemokrati-czeskije alternatywy” (Pluszcz, Biełocerkowski, Andrejew. Etkind, Lewitin-Krasnow i inni) ku *Kontynentowi*. Ciekawy jest to układ, i sam zasługuje na oddzielne omówienie, ale już innym razem.

Są jeszcze pisma inne, np. izraelskie *Dwadcat' dwa*, które do piszącego dotąd nie dotarło. Już i z tego widać że ruch jest duży, a może będzie większy, z przechodzeniem ilości w jakość bywa różnie, częstotliwość jest zmienna, redaktorzy ukrywają swoją obecność i wymawiają sobie własne posady, albo nie. Zamiast „jak grzyby po deszczu” będzie można mówić „jak rosyjskie pisma na emigracji”. Zobaczymy co z tego zostanie, gdy dopływ rosyjskiego samizdatu osłabnie (a może nie osłabnie?). Na razie radość rozbiegania w różne strony i zaklepywania własnych kącików na wielkim podwórku świata — trwa. *Honny soit, qui mal y pense.*

CZYTELNIK

Kronika litewska

Toronto staje się światową stolicą „etników” (termin ostatnio bardzo modny w niektórych krajach anglosaskich), bo po zjeździe „Polonii Jutra” obradował tam również litewski sejm — światowy zjazd delegatów organizacji społecznych. Z powyższych uchwał można zacytować w skrócie: Sejm zwraca uwagę na litewsko-żydowski dialog w związku z wypadkami w czasie drugiej wojny, i zaleca zachowanie jak największego obiektywizmu, wyłączając z dyskusji podejście emocjonalne, zaleca też unikanie oskarżeń narodów litewskiego i żydowskiego za postępowanie poszczególnych jednostek. Sejm poleca zarządowi troskę o zbieranie materiałów i dokumentacji do dziejów stosunków litewsko-żydowskich.

Sejm zaleca: 1) Czynnienie starań, aby arcybiskupstwo wileńskie i okręg kaliningradzki zostały wyłączone z polskiej prowincji kościelnej i włączone do prowincji litewskiej. 2) Wszczęcie akcji o zwrot kościołowi katedry wileńskiej i kościoła Św. Kazimierza, jak też zwrócenie się do Stolicy Apostolskiej, Prymasa Wyszyńskiego i biskupa łomżyńskiego, aby Litwini mieli prawo do swych nabożeństw w katedrze sejneńskiej. 3) Wszczęcie akcji celem ogłoszenia bojkotu moskiewskiej olimpiady, jeżeli nie zostaną przywrócone podstawowe prawa człowieka.

W prasie uzupełniono to zalecenie żądaniem, by sportowcy byli wymieniani jako reprezentanci poszczególnych republik, a nie ogólnikowo — sowieccy. W związku z czym przypomina się anegdota w prasie białoruskiej. Po olimpiadzie monachijskiej, na której zabłysła młoda lekkoatletka Korbut, prasa światowa pisała o niej jako o Rosjance, Polacy twierdzili, że Korbut z Grodna, to przecież Polka, Litwini mówili że to stare litewskie nazwisko, a ona sama oświadczyła reporterowi monachijskiemu, że jest Białoruską.

Na wiadomość o wyroku na litewskiego dysydenta Wiktora Petkusa, Litwini w Toronto natychmiast urządzili demonstrację protestacyjną. Burmistrz miasta zawiadomił, że rada miejska potępiła wyroki na dysydentów. Przemawiali też poseł do parlamentu stanowego dr J. Duksza (rodem z Lidy) oraz delegat kongresu żydowskiego J. Katz. W pochodzie były transparenty „Stalin zmartwychwstał, prawa człowieka umarły” i in.

Aczkolwiek Litwini chlubią się sprawnym serwisem informacyjnym, to jednak jego zasięg propagandowy okazał się niewystarczający. Nazwiska Szczarańskiego i Ginsburga były głośne na całym świecie, a Petkusa do tego stopnia pomijano, że chociaż Sacharow je wymienił w swej wypowiedzi, to korespondent amerykański je pominął. Podobnie zachowała się prasa światowa, chociaż sąd wileński wydał na niego nawet surowszy wyrok, niż na innych

Radio watykańskie, nadające audycje w 33 językach, w dn. 20. 4. 1978 omawiało obszernie włoskie wydanie samizdatowej *Kroniki K. K.* na Litwie, podkreślając prześladowanie religii, które ostatnio się wzmacnia. Ks. Mancini cytując zawartą w *Kronice* krytykę watykańskiej *Ost-Politik* i dialogu z komunistami, wspomina że chociaż wiele krajów nie uznaje *de jure* inkorporacji państw bałtyckich to jednak Zachód nie śmie otwarcie występować przeciw Sowietom i opinia publiczna przemilcza sytuację w tych krajach. Innym razem omówiono książkę „Zapomniani Bałtowie”, która się ukazała w Szwajcarii.

Tego lata przybyły na Litwę liczne oddziały wojsk sowieckich, które rozmieszczono z dala od wielkich miast żeby nie kontaktowały się z ludnością. Napływ sowieckich wczasowiczów z głębi Rosji na plaże bałtyckie był mniejszy niż zazwyczaj. Utrudniony jest również przyjazd z Zachodu i z Polski. Z Zachodu łatwiej jest dostać standardową pięciodniową wizę do Wilna, natomiast bardzo trudno na prowincję. Łatwiej dostać się na Łotwę i Białoruś a znacznie trudniej do Estonii i na Ukrainę, zwłaszcza tzw. zachodnią. Tym niemniej jednak, w dn. 12-19 września były dnie literatury polskiej z udziałem polskich pisarzy, którzy nie poprzestali na Wilnie, ale jeździli z odczytami również na prowincję. Dawniej Wilno i mniejsze miasta były najbardziej polskie. Dzisiaj Wilno, po napływie kilkuset tysięcy przybyszów z Rosji i z litewskich wsi, straciło polski charakter. Natomiast więc w swych większych skupiskach się ostała. Najbardziej polski jest okręg Ejszyski. Inteligencji polskiej jest niedużo. Najaktywniejsze, bardzo nieliczne jednostki emigrują do Polski. Większość inteligentów, albo się wynaradawia, albo zgodnie z tradycją Kowieńszczyzny przyjęła postać, opisywanych niegdyś przez Katelbacha — „Cichych Polaków”. Jednak ten termin w o wiele większym stopniu pasuje do Polaków we Lwowie czy Grodnie. W Wilnie zamknięto 23 kościoły katolickie, a w Kownie — 14. W obu miastach nie ma już kościołów protestanckich, a ilość cerkwi nie uległa zmianie. Natomiast w Kłajpedzie luteriańską kapliczkę zamieniono na cerkiewkę.

Na Kowieńszczyźnie przystąpiono do restaurowania ruin zamku Radziwiłłów w Birżach, pałaców Tyszkiewiczów w Rakiszkach oraz Karpiów w Johaniskielach.

Pomimo znacznego zmniejszenia się emigracji Żydów ze Związku Sowieckiego, z Litwy wyjechało w ub. roku 300 Żydów, i pozostało ich tam zaledwie 5 tysięcy. Przed kilkunastu laty było 20 tys. W Izraelu fundusz pożyczkowy Żydów litewskich ma około miliona dolarów. Istnieje tam chór pod nazwą „Wilno”.

Ilustrowane albumy miast Kowna i Wilna zawierają zdjęcia nowych pomników. Że jest Lenin — to jasne. Że w proletariackim kraju postawiono inny pomnik jegomościowi w modnym fraku — to już niespodzianka.

Był w cesarskiej operze, w Petersburgu młody tenor Piotrowski. Po rewolucji wrócił na Litwę w czasie dwudziestolecia był śpiewakiem tak popularnym, jak Elwis w Ameryce. Wykorzystując to Sowieci uczynili go w roku 1945 burmistrzem Kowna, a w lat 30 potem nagrodzili pomnikiem w Wilnie. Trzeci pomnik otrzymał Feliks Dzierżyński i to zastrzeżenie, bo za czasów carskich redagował nielegalne pismo *Robotnik Kowieński*, w języku polskim, dając tym dowód jakim językiem mówiła wówczas ludność tego miasta.

Na budowę linii kolejowej Bajkał-Amur odjechało w sierpniu br. 449 pracowników z Wilna, ponadto w republice Jakuckiej pracuje czasowo 600 studentów litewskich.

Tak się złożyło, że szczupła acz hałaśliwa partia amerykańskich nacjonalistów, założyła swą siedzibę w Chicago, w litewskiej dzielnicy Marquette Park, stąd zarzuty że byli kolaborantami i nadal sprzyjają nazistom. W związku z tym Litwini podają bilans rządów nazistowskich na Litwie. Spośród 29 tysięcy aresztowanych Litwinów zginęło 6.225, z czego jedynie we Flossenbursu zamęczono 2.480 Litwinów. Ogółem Litwinów zginęło około 10 tysięcy, zaś zamordowanych lub poległych na Wileńszczyźnie było 5 tys. (Polaków?). Żydów zamordowano 185 tysięcy. Do Niemiec deportowano na roboty 70 tys., a 65 tysięcy było uchodźców pod koniec wojny. Z kraju kłajpedzkiego (nawówczas część Reichu) wywakuowano lub wyjechało 70 tys. W ten sposób w okresie rządów hitlerowskich ludność Litwy zmniejszyła się o 400 tys., czyli o 13,5 procent. Dodajmy, że wśród deportowanych na pracę było bardzo dużo Polaków i innych mniejszości narodowych, nawet Cyganów, co wywołało niemieckie protesty, a wśród ewakuowanych z kraju kłajpedzkiego musiało być wielu Niemców.

Dotarła na Zachód deklaracja Litewskiego Narodowego Frontu Ludowego, wydana z okazji święta międzynarodowej solidarności proletariackiej. Zwraca się on do litewskiej emigracji, by poprzez środki masowego przekazu głosiła ich hasła o konsolidacji poczynań wszystkich nie-rosyjskich narodów ujarzmionych przez Sowietów, i zapowiada w wolnej Litwie udział w wyborach całego narodu walczącego o wolność. „Front” w zasadzie nie wypowiada się przeciw ideologii komunistycznej, jako takiej, a tylko przeciw narzuconej obcej władzy. Z drugiej strony stwierdza, że podporządkowuje się kierownictwu litewskiej emigracji. Wśród sloganów znajdujemy: Niech żyje przyjaźń Litwinów, całej Nadbałtyki i Polski, oraz dążenie w przyszłości do wzajemnego zbliżenia i osiągnięcia decyzji o losach b. Prus (wschodnich), tej rosyjskiej kolonii, która według programu Związku litewskich patriotów, ma być w jurysdykcji litewskiej, aby raz na zawsze zlikwidować imperialne zakusy rosyjskie i niemieckie na tym etnicznie bałtyckim terytorium, tworząc z Królewca miasto „Pokoju i Przyjaźni”, między Polakami, Litwinami i Niemcami. Niech żyją wolne zjednoczone Niemcy, Rosja w swych etnicznych granicach, wolna Ukraina, itd.

Chęć dogodzenia antykomunistycznej litewskiej emigracji, nie wypowiadając się przeciw ideologii komunistycznej, jak też utworzenia nowego Berlina czy Gdańska z wieloraką przynależnością państwową, w oparciu o gwarantowaną dożgonną przyjaźń polsko-niemiecko-litewską — wszystko to bardzo piękne, ale czy realne?

E. ŻAGIELL

Ci co odeszli

Pan Adam

Pierwszego października zmarł w Londynie Adam Ciołkosz, wybitny przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej.

Piszę o nim to krótkie wspomnienie, chociaż tytuł mam do tego mniej niż wąty. Należę do innego pokolenia, inną drogę życiową przebywałem, kształtowały mnie inne środowiska. Nie byłem towarzyszem partyjnym Adama Ciołkosza, nie miałem udziału w jego pracy publicznej. Nie zaliczam się nawet do patriotów emigracyjnego Londynu, w którym on był postacią tak ważną i tak wszechobecną. Mam wszakże nadzieję, że usprawiedliwia to wspomnienie sam walor jego bezinteresowności, bo szczerze bezinteresowna — to znaczy, niezależna od środowiskowo-politycznych układów — była nasza znajomość.

Pana Adama poznałem osobiście przeszło dwadzieścia lat temu, jako początkujący krytyk i dziennikarz. Był centralną postacią emigracyjnego „Państwa na Wyznaniu”, a ja i moi koledzy szukaliśmy własnych postaw buntując się przeciw tej strukturze i hierarchii spraw jaką jej rzecznicy postulowali. Ale Ciołkosz już wtedy wydawał się „inny”. Nie traktował nas z góry, nie agitował, nie odmawiał prawa do własnej drogi, natomiast ciekaw był nas i naszego świata, łatwo był dostępny, i niezmiernie uczynny. Kiedy w roku 1959 wybierałem się do Wiednia na organizowany przez komunistów Światowy Festiwal Młodzieży, pan Adam sam mi ofiarował socjalistyczne austriackie kontakty i zaopatrzył w „list żelazny”. Nie dawał mi przy tym na drogę żadnych ostrzeżeń, nie pouczał jak się mam zachować. A po powrocie wypytywał się pilnie o moje wrażenia z wiedeńskich spotkań, nawet w sferach od polityki całkiem odległych.

I tak już pozostało. Przez następne lata — przez wiele następnych lat — snuła się ta znajomość luźna, niby przypadkowa, a przecież trwała, całkiem niezależna od koniunktur politycznych

polskiego Londynu, i od oficjalnych ról jakie na londyńskiej politycznej scenie przypadały Ciołkoszowi. Udałem się do pana Adama kiedy trzeba mi było kontaktów, informacji — bo w zakresie mapy i historii środowisk robotniczych niepodległej Polski on i jego żona, pani Lidia, byli niezrównaną kopalnią wiedzy — lub kiedy chciałem opowiedzieć mu coś z moich podróży po Kraju. Przychodziłem do ich mieszkanka-pracowni na Putney, ciasnego od książek, lub spotykałem pana Adama w taniej herbariarni na jego londyńskim szlaku pomiędzy biblioteką British Museum i Oxford Street.

W początkach znajomości pan Adam był dla mnie przede wszystkim emigrantem, postacią terazniejszą. Zbyt wtedy słabo i zbyt jednostronnie znałem dzieje Dwudziestolecia, by go widzieć w perspektywie historii. Wiedziałem, że był posłem na sejm z listy PPS, działaczem robotniczym, podsądnym w procesie brzeskim i więźniem politycznym na początku lat trzydziestych. Wczesne karty jego życia otwierały mi się stopniowo, wcale nie z bezpośrednich z nim rozmów. Nabierały życia przez jaskrawość pojedynczych faktów. Więć że w procesie brzeskim jednastu przywódców Centrolewu, Ciołkosz, skazany na trzy lata więzienia, nie skorzystał z opcji wygnania, wyjazdu za granicę. Był jednym z pięciu, którzy wybrali odsiedzenie wyroku w polskim więzieniu. I że częścią wyroku było dziesięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Po wyjściu z celi stał się więc banitą we własnym kraju. Jako nie-obywatel działał nadal w Partii, organizował robotników, pisał, przemawiał, wchodził w nowe konflikty z rządem. W zaraniu wojny, po ogłoszeniu mobilizacji, Ciołkosz stawiał się do służby wojskowej w krakowskim Dowództwie Okręgu Korpusu. Nie został przyjęty. Ten był siedemnastoletni członek i organizator POW w Tarnowie, ochotnik w odrodzonym wojsku polskim, osiemnastoletni oficer, dziewiętnastoletni dowódca kompanii ciężkich karabinów maszynowych w kampanii 1920 roku, dwudziestoletni dowódca pociągu pancernego w powstaniu śląskim, pozbawiony został prawa przywdziania munduru w momencie najstraszniejszego dla Polski zagrożenia.

Cóż się dziwić, że na emigracji pan Adam wybuchał publicznym gniewem kiedy ktoś w jego obecności przedstawiał Polskę pod rządami sanacji jako kraj kwitnących, demokratycznych swobód. Ale też protestował tak samo namiętnie słysząc, że ktoś stawia znak równości między stosunkami politycznymi w przedwojennej Polsce a rzeczywistością Polski Ludowej. Niepodległa Polska karmiła go chlebem więziennym, ale była też szkołą otwartego życia politycznego, sceną jawnej walki z elitą rządzącą o ład inny, i w swych założeniach i w mechanizmie demokratyczny, ład w którym mógłby współgospodarzyć krajem lud pracujący wszystkich zamieszkujących Rzeczpospolitą narodowości: Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini i Żydzi.

Tylko państwo suwerenne daje szansę realizowania takich ideałów. Toteż po wojnie Adam Ciołkosz pozostał na emigracji.

Ale emigracja — tak mi się zdaje — gdzie łatwo jest unikać odpowiedzialności za to, co się głosi, była dla niego obcym, nieprzychylnym terenem, choć od czasu do czasu wynosiła go na wysokie szczyble pseudo-państwowych godności. Jest mi trudno zgadnąć na ile ta działalność była dla niego osobistą koniecznością i na ile mu się opłacała — niezależnie od politycznych racji jakie go do niej skłoniły. Jego temperament publiczny zapewne potrzebował chociażby takiej, zwężonej platformy, tej jedynej szansy aktywnej obecności w konwencjonalnym procesie politycznym, osobistej, fizycznej konfrontacji z innymi racjami na zebraniach, dyskusjach, komitetach i konferencjach. Być może była to pożywka dla innych pokładów jego bogatej wrażliwości. Ale mnie, z mego zewnętrznego (lecz niekoniecznie bezstronnego) punktu obserwacyjnego zawsze się zdawało, że pan Adam płaci prawdziwą monetą za walutę fałszywą, że w konfrontacjach z bledo-krwistymi, a histerycznie kłótliwymi politykierami prawdziwe emocje przeciwstawia egzaltacji, prawdziwym gniewem odpowiada na płytką napastliwość, że jego naturalna ludzka próżność odnosi głębokie rany od tępych mieczów krótkowzrocznych emigracyjnych szermierzy.

Jego życiem była polityka, ale było to życie bogate. Pan Adam cały swój kapitał umysłu i serca, całą dynamiczną inteligencję, uczuciowość i wrażliwe poczucie moralne umieścił w polityce. Bywał gwałtowny w reakcjach, omylny, niesprawiedliwy, ale nigdy wykrętny, tani w motywach, nigdy cyniczny. Był rzadkim egzemplarzem ginącego gatunku, co z polityki czyni profesję szlachetną, jak apostołowanie.

Zapewne cena jaką płacił za swój udział w politycznych sporach była nieunikniona dla ocalenia własnej integralności, po to by w polityce być człowiekiem pełnym. Dla pana Adama każda sprawa, której się dotknął, stawała się ważna. Mogłoby się здаwać, że dawał się wciągać w konflikty i rozłamy czysto środowiskowe, personalne, ale w jego wypadku animozje osobiste — tam gdzie one istniały — wynikały zawsze z autentycznych, zasadniczych różnic, były obroną zasad, lub przemyślanej strategii.

Bo pan Adam miał własne, konsekwentne stanowisko we wszystkich istotnych sprawach polskich, we wszystkich sprawach międzynarodowego socjalizmu i polityki światowej. Jego praca pisarska i publicystyczna opierała się na ogromnej, zapobiegliwie zbieranej i wciąż powiększanej wiedzy. Dwa grube tomy „Zarysu dziejów socjalizmu polskiego”, opracowane i pisane wspólnie z panią Lidią, to najbardziej imponujące świadectwo pracy, chłonności i odwagi intelektualnej obojga Ciołkoszów. Wśród aktywnej działalności publicznej znajdowali czas — ogromne ilości czasu — na mozolne studiowanie książek, badanie dokumentów, i na pisanie.

W pisarstwie Adama Ciołkosza, tak jak i w osobistych z nim rozmowach, obecny jest rys chyba najbardziej dla mnie sympatyczny i godny podziwu: romantyczny charakter jego zawsze

żywej, pobudliwej i świeżej wyobraźni politycznej. Cokolwiek się w świecie działo, stawało się mu bodźcem do myślenia, do śmiałych spekulacji, do konstruowania przyszłości. Był socjalistą, więc chociaż w tych percepcjach nie brak było akcentów czarnych, nawet katastroficznych, witalność im dawał niezachwiany optymizm, religijna niemal wiara, że świat da się zmienić na lepsze, że polityczne działanie może mieć głęboki i szlachetny sens.

Denis Potter, angielski pisarz i socjalista, tłumaczył potrzebę politycznej nadziei poprzez obraz matki, która tuli rozplakane dziecko szepcząc: — „Wszystko będzie dobrze, nie płacz, będzie dobrze”. Matka wie, że tak dobrze wcale nie będzie. Na dziecko czeka ból, gorzkie dorastanie, zawody i upadki życia. Lecz ta oczywista nieprawda ma walor prawdy. Rodzi energię niezbędną do przetrwania. „Wszystko będzie dobrze”. Polska będzie wolna i demokratyczna. Będzie matką nam wszystkim.

Miałem w swoim życiu szczęście spotkać paru Polaków w Kraju i paru na emigracji, których przykład i wpływ pomaga z otuchą patrzeć na nasz wspólny los. Jednego z nich już nie ma.

Bolesław SULIK

Wspomnienie o Adamie Ciołkoszu

Wiadomość o śmierci Adama Ciołkosza przyszła nagle i niespodziewanie. Jeszcze kilkanaście dni przedtem słyszałem przez radio jego tak charakterystyczny głos, donośny i jak zawsze pełen siły przekonywania. W dniu jego śmierci, jego audycję odczytał ktoś inny, ale to się już zdarzało, więc choć wiedziałem o jego chorobie serca, wierzyłem, że jego życiu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Pod pierwszym wrażeniem cisną się nieuporządkowane jeszcze wrażenia z okresu bliskiej i serdecznej przyjaźni trwającej przeszło 50 lat. Nie pamiętam dokładnie okoliczności, w jakich się poznaaliśmy. Było to w każdym razie wkrótce po jego powrocie do cywila. Jako oficer, walczył w latach 1918-1920 w szeregach wojska polskiego, a w roku 1921 po trzecim powstaniu śląskim, jako dowódca pociągu pancernego. Przy małej różnicy wieku należeliśmy do tego samego pokolenia działaczy polskiego ruchu socjalistycznego: najpierw w organizacjach młodzieżowych, następnie w PPS. Dzieliła nas zawsze odległość między Warszawą, Krakó-

wem czy Tarnowem, a potem, trudniejsza do przebycia, między Warszawą a Londynem. Adam rzadko przyjeżdżał do Warszawy i zwykle szybko wyjeżdżał, gdyż czekały go pilne sprawy środowiska, w którym działał. Ja jeszcze rzadziej bywałem w Krakowie, ale zawsze interesowałem się jego działalnością. Pamiętam, że odwiedziłem go w jego skromnym pokoju, który zajmował wraz z żoną Lidią, w domu górników w Alei Krasińskiego w Krakowie. W środowisku socjalistycznych studentów krakowskich zajmował niewątpliwie pierwsze miejsce. Wybiła się dzięki swej wiedzy z zakresu teorii i praktyki socjalizmu, darowi przekonywania, temperamentowi i twórczej energii. Gdy przyjeżdżałem do Krakowa, czy to w sprawach organizacyjnych czy też wracając z urlopu w Zakopanem, wstępowałem do kawiarni na Plantach, niedaleko Domu Robotniczego. Zbierali się tam przy stoliku krakowscy przyjaciele i współpracownicy Adama i dyskutowali na temat aktualnych wydarzeń. Pamiętam spośród nich: Halinę Pilichowską, Wandę Wasilewską — wówczas jeszcze wierną ideałom swego ojca, Leona, jednego z najbliższych ludzi Piłsudskiego — Bronisławę Brunerównę, później Langrodową, Lidię Ciołkoszową, żonę Adama, Romana Szymańskiego, męża Wasilewskiej, Ryszarda Waserbergera, który wkrótce zginął w Tatrach. Adam przychodził zwykle później, wracając z jakiegoś zebrania. Kieszenie miał wypchane gazetami. Dźwigał ciężką tekę z książkami. Dzielił się nowymi wiadomościami, poglądami na sytuację w kraju i w świecie. Znał kilka obcych języków i czytał zagraniczną prasę. Mówcą był znakomitym. W przemówieniach chłostał przeciwników politycznych, występował z ostrą krytyką władz. W okresie rządów sanacyjnych, jego zdecydowana działalność opozycyjna spowodowała uwięzienie go w twierdzy brzeskiej wraz z jego również aktywnym rówieśnikiem Stanisławem Dubois i innymi postaciami opozycyjnymi. W tak zwanym procesie brzeskim wykazał siłę charakteru i zachował postawę godną socjalisty. Skazany na trzy lata, zanim władze zdecydowały się na darrowanie kary w potępionym przez społeczeństwo procesie, Ciołkosz zdołał odsiedzieć rok w więzieniu w Wiśniczu. Jako działacz był niesłychanie obowiązkowy. Cechowało go duże poczucie odpowiedzialności, interesowały go nie tylko ogólne sprawy jego okręgu, reagował na każdą ludzką krzywdę na powierzonym sobie terenie. Dostawałem od niego niezliczoną ilość listów, w których prosił o porady prawne lub interwencje w urzędach na rzecz pokrzywdzonych. Starałem się sumiennie załatwiać jego polecenia. Obawiałem się tylko, że zaabsorbowany mnóstwem drobnych spraw, Adam zmarnuje swoje wielkie zdolności, które predystynowały go do odegrania większej roli w życiu politycznym. O jego zaangażowaniu świadczy fakt opowiedziany przez jednego z krakowskich towarzyszy. Ciołkosz rozchorował się w dniu wyznaczonym na wiec w jednym z miast małopolskich, na który przybyć mieli okoliczni chłopci. Adam prosił mego rozmówcę o zastępstwo. Jakież było jego zdumienie, kiedy wyjeżdżając z Krakowa, zobaczył na peronie kolejowym opatulonego Ciołko-

sza, który biegnąc za pociągiem wołał: „Tylko nie zapomnij mówić o zbrodni”. Kiedy w czasie strajku okupacyjnego w Chrzanowie robotnicy położyli się na torze kolejowym, Ciołkosz położył się wraz z nimi aby dać dowód, że nie kieruje nimi zza biurka lecz prowadzi wspólną walkę. W latach 30 często różniliśmy się poglądami na taktykę Polskiej Partii Socjalistycznej. Jednakże gdy stanęła na porządku dziennym sprawa strajku chłopskiego, Adam i Lidia z satysfakcją oświadczyli mi, że podzielają mój pogląd, że trzeba strajk poprzeć wbrew oporom ze strony kierownictwa PPS.

Wojna i pobyt Adama na emigracji rozdzieliły nas na długie lata. Widziałem go po wojnie gdy w 1965 roku dostałem po kilkuletnich staraniach paszport by odwiedzić rodzinę w Paryżu. Adam przyjechał tam by się ze mną zobaczyć. Już wtedy narzekał na serce, na spacerach często przystawał by zaczerpnąć tchu. Po 26 latach niewidzenia się byliśmy sobie bardzo bliscy. Wieloletni pobyt w tak ważnym ośrodku politycznym jak Londyn, dobre stosunki z działaczami Labour Party i socjalistami innych krajów, rozszerzyły jego horyzonty myślowe. Dużo wiedział także o Polsce, nie tylko od ludzi, którzy przyjeżdżali z kraju, lecz również dzięki znajomości wielu materiałów u nas niedostępnych. Położenie Polski oceniał z dużym poczuciem realizmu. Nie liczył na rychłe zmiany w istniejącym systemie rządzenia. Była to jedna z przyczyn rozdziewięku między nim a Zygmuntem Zarembą, który wierzył w stopniową liberalizację reżymu. Adam był wprawdzie rozgoryczony z powodu sporu wśród dawnych towarzyszy i osobistych ataków z innych stron, na które zresztą ostro reagował w dostępnej mu prasie. Udało mi się jednak doprowadzić do spotkania dawnych przyjaciół a ówczesnych antagonistów, to jest Zaremby i Ciołkosza. Ustaliliśmy wspólnie tryb dalszych rozmów, które jednak, jak się dowiedziałem już po moim powrocie do kraju, nie dały wyników. Różnice zdań były zbyt wielkie, rany zadane w toku wzajemnych polemik, pozostały niezabliźnione. Ze spotkania z Adamem byłem bardzo rad. Niezależnie od osobistej wzajemnej serdeczności okazało się, że nasze poglądy na sytuację polityczną były całkowicie zgodne. Później już go nie widziałem, jednak staraliśmy się mimo licznych trudności utrzymać ze sobą kontakt. Usiłowała temu przeszkodzić służba bezpieczeństwa w kraju. Przeprowadzono w 1971 roku u mnie rewizję i wszczęto śledztwo w tym przedmiocie. Umorzono je dopiero po blisko 2-ach latach. Od czasu do czasu otrzymywałem jego prace. Znakomite artykuły o Róży Luksemburg, krytyczne artykuły o Komendancie, a przede wszystkim „Zarys dziejów socjalizmu polskiego” pisany wspólnie z żoną, Lidią. Wszystkie te książki zabrano mi w czasie dwukrotnych rewizji. Szeroki zasięg miały natomiast jego przemówienia radiowe, szczególnie przemówienia z okazji ważnych wydarzeń w kraju, święta 1-go Maja i rocznic. Wstrząśnięty wypadkami na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, nie szczędził słów uznania dla stoczniovców i włókniares łódzkich oraz słów potępienia dla

rządzącej partii, która strzela do robotników. Żarliwie popierał demokratyczną opozycję z lat ostatnich. Po powstaniu KOR w 1976 roku, zajął się czynnie zbieraniem funduszy na pomoc dla represjonowanych i został sekretarzem powołanej w tym celu komisji pod zwierzchnictwem ambasadora Raczyńskiego.

Śmierć Adama Ciołkosza jest ciosem dla wszystkich, którzy są wierni ideałom niepodległości, demokracji i socjalizmu.

Ludwik COHN
Warszawa

NAKŁADEM „ANEKSU” W LONDYNIE UKAZAŁA SIĘ
KSIĄŻKA

1956

W DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ
Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI

Książka zawiera: Fr. Fejtő — *Od Budapesztu i Warszawy 1956 do Pragi roku 1968*; L. Kołakowskiego — *Świadomość narodowa i rozkład komunizmu*; M. Molnara — *Obecność historii*; Cl. Leforta — *Pierwsza rewolucja totalitarna*; Wl. Brusa — *Trwałe konsekwencje Polskiego Października*; Br. Baczki — *Mity i rzeczywistość*; A. Kriegel — *Zachodnioeuropejskie partie komunistyczne: powrót historii*; K. Pomiana — *Robotnicy i sekretarze*; Al. Smolara — *Prosta i koło: o dynamice systemu komunistycznego*; A. Michnika — *Nowy ewolucjonizm*; J. Pelikana — *Perspektywy i możliwości przemian w krajach wschodniej Europy: reforma czy rewolucja?*; P. Kende — *Kształty społeczeństwa postkomunistycznego*.

Wołanie na puszczy

Warszawskie rozrywki jesienne

Warszawa, koniec września.

W stolicy deszcze i zimno, a wieczorami ciemno jak podczas nalołów: światła wygaszone, bo kryzys energetyczny, huta „Katowice” wysysa z kraju elektryczność, telewizja zapowiada częściowe wyłączanie prądu nawet w zakładach pracy (!) — ktoś się widać pomylił w układaniu „bilansu energii”. Przed sklepami ogony, w autobusach tłok, pijaków gołym okiem widzialnych słania się po ulicach zastęp, za to samochodów prywatnych coraz więcej, w sklepach pełno po najdroższe towary, w sklepach dewizowych i „komercyjnych” też — to górna pianka stolicy, elita, dewizowi krajowcy, wyżsi funkcjonariusze z „chodami”, kombinatorzy — najgorzej to pracować normalnie: nie opłaci się. W Warszawie i Warszawce pulsuje energiczna łapczywość konsumpcyjna, pieniądze są, nawet i spore, ale z towarem gorzej, zwłaszcza z jedzeniem, nawet w najdroższych hotelowych restauracjach podają byle co. Socjalizm umie rozbudzać masowe apetyty, to jego propagandowa specjalność, tyle, że z zaspokajaniem gorzej, widać nie można mieć dwóch rzeczy naraz...

Zresztą nawet i z ową propagandą też jest gorzej, bo po dziesiątej rano nie sposób już dostać dzienników z *Trybuną Ludu* i *Życiem* na czele. Jeśli nawet własnej reklamy nie da się wyprodukować w dostatecznej ilości, to już naprawdę plajtal! A gdy chcecie wpłacić dewizy do banku PKO, też musicie wystać się w dwóch ogonach z półtorej godziny — to zaiste szczyt organizacyjnego niezdarstwa, boć przecież na tym to państwu zależy. Ludzie klną, ale i śmieją się, takiego bałaganu dawno nie było! A spróbujcie iść na pocztę — o jej przeciążeniu nawet prasa warszawska musiała w końcu zacząć pisać. Najwidoczniej za dużo jest w Polsce ludzi i przeszkadzają państwu w jego ważnych pracach. Może by, jak to doradzał Brecht, rozwiązać naród?

Przed Szkołą Muzyczną umieszczono na trawie stary pomnik Paderewskiego: mistrz po latach wygnania i przemilczania został nagle ułaskawiony i od razu awansowany na wielkiego patriotę oraz „działacza” (o premierostwie raczej się nie mówi). W ogóle wielu dawnych polityków sobie przypominano z okazji 60-lecia wskrzeszenia Polski, nawet o Piłsudskim pisze się tu i ówdzie. Wiadomo, jak nie ma chleba, trzeba dać więcej igrzysk... patriotycznych. Ale wizytę naszych Kardynałów w Republice Federalnej niemal dotąd pominięto, zbyto krótką groteskową notatką, w której więcej było o asystujących na dworcu polskich oficjalach niż o samym Prymasie i przebiegu tej arcyważnej dla Polski podróży (pewno boją się Sąsiada i nie wiedzą jeszcze co napisać). Za to pełno jest w gazetach wieści o odwiedzinach, jakimi nas zaszczycił minister spraw zagranicznych republiki Beninu — tyle, że nikt nie wie, co to takiego.

Ludzie klną i wygadują okropne rzeczy, za to w prasie euforia, „byczo jest” i obowiązkowe, codzienne fotografie dygnitarzy na pierwszych stronach — aż dziw, kiedy oni pracują, jak się tak wciąż fotografują. Ale gdy się wczytać w dzienniki i tygodniki, można w nich znaleźć to i owo. Oczywiście nie w wiadomościach zza granicy, te dobierane są i selekcjonowane ściśle w myśl polityki i propagandy Wielkiego Brata. Ale jeśli chodzi o Kraj, to każde pismo ma prawo od czasu do czasu (niektóre tygodniki częściej) umieścić reportaż krytyczny, nie krytykując oczywiście zasady ustrojowej, lecz błędy wykonania. Nie kijem go to pałką, bo od relacji tych włosy stają na głowie. Wynika z nich bowiem po prostu, że: a) energetyka leży; b) budownictwo mieszkaniowe leży; c) transport kolejowy leży; d) transport rzeczny leży (miażdżący raport *Trybuny Ludu* o przewozach Odrą); e) łączność, poczta i telefony leżą; f) hodowla i skup bydła leży (wstrząsający artykuł Mozołowskiego w *Polityce*); g) lotnictwo pasażerskie leży; h) flota pasażerska leży; i) przeładunek towarów w portach leży (słynna publicystyczna walka Józefa Kuśmierka z workami); j) gospodarka leśna leży; k) produkcja papieru leży; l) produkcja książek leży; m) gospodarka wodna i oczyszczanie wód leży; n) kultywacja roślinna leży; o) gastronomia leży; p) konserwacja walących się starych miast leży — etc., etc. Co więc nie leży?! Eksport węgla i huta „Katowice” (nasz *Wirtschaftswunder* tylko jak skalkulowany?!). Cenzura czyli „Urząd Kontroli” oraz produkcja i konsumpcja alkoholu na łypek, mimo wszczętej ostatnio antypijackiej kampanii. Ale jakże to ma Państwo zwalczać pijaństwo, jeśli z niego żyje, drenując skutecznie a obficie z rynku nadmierne złotówki? Toć *contradictio in adiecto*!

Sporo też było śmiechu na temat rewelacji o rzekomych projektach Egonu Bahra zjednoczenia Niemiec za cenę ich neutralizacji. Byłaby to realizacja moich proroctw o „finlandyzacji” Europy Zachodniej (patrz *Kultura*, 1977, nr 11). *Trybuna Ludu* półgębkiem potępiła te pogłoski jako „szkodliwe” (dla kogo?), nie

wykrztusiwszy oczywiście słówka, że wszystko zaczęło się od ucieczki szefa rumuńskiego wywiadu (podało to jedynie *Forum*). Półgębkiem, bo diabli wiedzą, a nuż a widelec?! Pewno ktoś w redakcji *Trybuny* pamiętał jeszcze, jak to w latach 50-tych stalinowską tezę o konieczności zjednoczenia Niemiec wymieniało z dnia na dzień na tezę o dwóch niemieckich państwach? Może się więc i zdarzyć odwrotnie. — Jakby się Szkopy sfinlandyzowały — mówią w Warszawie ludzie — to chyba i nam by było lepiej, przestalibyśmy być drogą tranzytową do NRD, dałoby się może choć wytargować z tym nieszczęsnym ustrojem! Tymczasem ja znalazłem w nieocenionym *Le Monde* (13. 9. 1978, nr 10457) list do redakcji pióra starego francuskiego dziennikarza, który pisze, że koniecznie trzeba zjednoczyć Niemcy w granicach Republiki Weimarskiej, wtedy bowiem dopiero uda się nam Europa od Atlantyku po Ural. Jak to zwykle Francuzi zapomnieli biedak o istnieniu Polski: miałyby więc ona być bez Wrocławia, Szczecina i Gdańska, z „korytarzem” ale za to na pewno bez Wilna i Lwowa, które mądrzy panowie Roosevelt i Churchill skwapliwie i bez targów podarowali Rosji. Zaiste, każdy co chce w Europie coś zrobić zwykł zaczynać od rozbioru Polski i przewiezienia Polaków kilkaset kilometrów w lewo czy w prawo, pewien że nie podniesie się o to światowy postępowy wrzask, jaki się podniósł np. o Palestyńczyków — Polacy, wiadomo, nigdy nie mają reklamy. Pokazałem ten list warszawskim rodakom. — O cholera — powiedzieli — to niech już nas chyba Ruscy trzymają aż do owej finlandyzacji — wtedy i my się sfinlandyzujemy! Ale czy pozwolą?! Może już wtedy starzy sklerotycy wymrą, a na Kremlu zasiądzie jaki młodziak z głową?! Ba. Nadzieje, nadzieje... No ale są przecież Chiny, a i Japończyk nie głupi...

Specjalną jeszcze rozrywką dzisiejszej Warszawy jest czytanie prasy na odwrót, zwłaszcza tego, co piszą korespondenci zagraniczni. Na przykład panowie i panie Łodziński, Boniecka, Ramotowski, Kedaj, Broniarek, Kołodziejczyk, Hoffman (Rudolf) oraz falanga innych. Piszą tylko i wyłącznie o bezrobociu na Zachodzie, ewentualnie o inflacji i strajkach. Trzej ostatni specjalizują się w bezrobociu skandynawskim, napisali już o tym 723 korespondencje, pomijając wszystko inne, np. poziom organizacji życia, budownictwa mieszkaniowego, lecznictwa, usług, świadczeń społecznych, komunikacji etc. Jest to po prostu kopiowanie propagandy sowieckiej, tylko że tam się pisze dla odbiorcy, który wszystko kupi, bo nie wyjeżdża za granicę i nie ma możliwości żadnego porównania, a u nas... U nas wyplatanie w kółko ludziom skłopotanym i rozwścieczonym codziennymi brakami i trudnościami koszałków opałków o szwedzkim czy duńskim bezrobociu lub zachłystywanie się cudzymi strajkami w kraju, gdzie prawo do strajku nie istnieje a strajki kończą się krwawo jest wołającym do nieba absurdem. Rezultat bywa również absurdalny, bo ludziska, czytając na odwrót, nie wierzą w ogóle w jakiegokolwiek bezrobocie na Zachodzie, co się czasem smutno dla nich kończy, gdy tam pojadą. Tymczasem bezrobocie w krajach kapi-

talistycznych to zjawisko arcyciekawe, wynika ono z wysokiego rozwoju techniki i organizacji, kiedy to praca fizyczna staje się wręcz zbędna, co przeczy teorii Marksa o przewodniej, historycznej roli proletariatu. W istocie proletariatu w krajach wysoko rozwiniętych zanika, a problem wolnego czasu i ludzi nie pracujących będzie musiał zostać tam rozstrzygnięty na innej drodze — oczywiście nie wskażą jej Kołodziejczycy i Broniarkowie, których zadaniem jest ple-ple-pleptać jak najwięcej o okropnościach życia w kapitalizmie. Sami jednak jak najchętniej w nim żyją i chcą pozostać jak najdłużej, dlatego służą dyktowanej propagandzie tak gorliwie — oto paradoks. Rzecz bowiem w tym, że nasi szefowie od propagandy każą tak pisać, bo chcą mieć spokój z Rosją, a „korespondenci” usłużnie wykonują zamówienie (150 % gorliwości), bo chcą zachować swój wygodny status „dewizowych krajowców”, żyjąc przyjemnie i ciekawie za granicą. Obie strony są zadowolone z kontraktu i nic ich nie obchodzi WIELKI NIEMOWA, czyli czytające społeczeństwo, wykształcone już przecież oraz żadne wiedzy a zmuszane do czytania i słuchania na odwrót, co jest czynnością równie oglupiającą, jak odbieranie tej propagandy wprost. Ale jak długo Wielki Niemowa będzie jeszcze niemową? Warszawska wieść podziemna głosi, że już niedługo: pierwszy sygnał dały tajne gazetki, a teraz z kolei chłopcy się burzą. Chłopcy się burzą w Grójeckim, przedtem w Lubelskim, o czym doniosła... nie prasa rzecz prosta lecz stacja „Warszawa IV”, jak zwą tutaj *Wolną Europę*. Chłop potęgą jest i basta, a więc nie truć nadziej, Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi. No to cyk, pod tego chłopca! — i tak się kończy warszawski jesienny wieczór.

KISIEL

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 296 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
CZTERDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: G. Jaworowskiego — *Nieznaną relacją o grobach katyńskich*; A. Zielińskiego: *Korespondencja z Jerzym Stempowskim*; Ks. inf. T. Skalskiego: *Garstka wspomnień z mego życia (I)*; M. Krzepkowskiego — *Wspomnienia dziennikarza z czasów okupacji (Wilno 1939-1941)*; *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty* (prof. Olgierd Górka, poseł Z. Dreszer); Z. S. Siemaszki — *Stanisław Szabunia*; „*Nothing but Honour*” J. K. Zawodnego (Zbiór recenzja: Jan Ciechanowski, St. Korboński, Jan Nowak, Andrzej Pomian); RECENZJE, POLEMIKI, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

KsiążkiWzorowa historia literatury
emigracyjnej

Pierwsze lata naszego wychodźstwa cechował kult literatury Wielkiej Emigracji i przekonanie, że rodząca się dopiero literatura nowej emigracji nie potrafi nawet zbliżyć się do tamtego wysokiego poziomu. Ten pogląd wypada dzisiaj skorygować. Po Gombrowiczu, Wierzyńskim, Miłoszu, nie wyliczając innych pisarzy nieposłedniej miary, których ilość wciąż wzrasta, wolno twierdzić, że chociaż odmienna w charakterze i nie dorównująca poziomem tamtej, literatura obecnej emigracji jest na swój sposób także wielka i będzie stanowić ważną pozycję w dorobku naszego narodowego piśmiennictwa.

Nic nie uświadamia nam tego równie żywo jak pierwszy pełny konspekt literatury obecnej emigracji, który dała nam Maria Danilewicz Zielińska w swoich (najnieśluszniej tak skromnie przez autorkę nazwanych) „Szkicach o literaturze emigracyjnej”.

Książka jest doskonała. Uderza nie tylko pełnią ujęcia i oprowadzaniem tematu, ale wybitną zdolnością syntezy i starannie wyważonym umiarem sądu. Książka jest przy tym przejrzysta i celnie podzielona na tematy i okresy, mimo rozsadzającej obfitości materiału — prawdziwa *reference book* dla przyszłych pokoleń. Wreszcie imponuje w niej umiejętność prostego ujęcia skomplikowanych problemów i sytuacji. Wymieniłem tylko najbardziej znamienne zalety. Jest ich znacznie więcej.

Co prawda nikt chyba tak jak Maria Zielińska nie był powołany do tego zadania. Twórczyni i wieloletnia kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie, miejsca spotkań z wszystkimi niemal żyjącymi pisarzami, gdzie zbiegały się najważniejsze problemy życia kulturalnego emigracji; własna jej działalność kry-

* Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*. Instytut Literacki, Paryż, 1978.

tyczna, kształtująca na żywo sądy, które potem mogły być wykorzystane przy wstecznym spojrzeniu; wreszcie umiejętność, tak trudna i rzadka w warunkach emigracyjnych, zachowania dystansu do lokalnych koterii literackich i ich wzajemnych uwielbień i animozji — przy równoczesnej wielkiej życzliwości dla każdego, skądkolwiek przybywał — wszystko to predystynowało autorkę na wiernego i sprawiedliwego bibliografa i historyka literatury emigracyjnej. Tak się przy tym szczęśliwie złożyło, że ówczesna Maria Danilewiczowa potrafiła oderwać się w czas od umiłowanej placówki londyńskiej (zresztą nie bez poważnego zatargu wewnętrznego) i schroniła się w swoim portugalskim zaciszu, co dopiero dało jej pełną możność przetrwania i uporządkowania materiału, gromadzonego od tylu lat i swobodę wyrażenia własnego, nie skrzepowanego już niczym sądu.

Nie sposób w krótkim omówieniu zdać sprawę choćby najpobieżniej z poszczególnych pozycji dzieła, które każdy, kto interesuje się literaturą emigracji, powinien poznać osobiście — zbyt bogaty jest na to materiał całości, zbyt wiele elementów, z których każdy pobudza do refleksji i konfrontacji z własnymi ocenami — muszę więc ograniczyć się do kilku ujęć ogólnych świadom, że i one pozostaną tylko dorywczymi migawkami sądów. Ich jedynym zadaniem jest służyć jako orientacja i zachęta.

Co przede wszystkim uderza w „Szkicach” to dojrzałość dzieła; jest to pełno dojrzały plon obserwacji, przemyśleń i osądów wielu lat. Drugą cechą tego profesorskiego z wyglądu dzieła, która mi osobiście szczególnie odpowiada jest jego „nieprofesorskość”, osobisty wydźwięk każdej z ocen. Można z tą lub ową oceną się nie zgadzać (co zdarza się raczej rzadko) ale wszystkie są ocenami żywymi, przemyślanymi i odczutymi przez autorkę, ocenami z własnego przekonania, a nie tylko suchym ekstraktem, przeznaczonym dla szkolnego podręcznika. Jedynie taki osobisty stosunek autora do dzieła udziela czytelnikom coś z własnego życia, zapala, pobudza do własnych przemyśleń. Jeśli dodać do tego, o czym już wspominałem na początku, bezstronność sądów autorki mimo indywidualnego zabarwienia — otrzymujemy ideał dzieła naukowego, które jest równocześnie książką dla wszystkich i bodźcem do dalszych rozważań.

Przykładem i próbą jej obiektywizmu i rzetelności krytycznej jest potraktowanie tematu tak złożonego i kontrowersyjnego jak literacka i moralna ocena pisarzy o podwójnej przeszłości: krajowej i emigracyjnej (np. Miłosza i na odwrotnym końcu Stanisława Mackiewicza). Autorka potrafiła w każdym wypadku wyznaczyć co się komu należy, zrozumieć choć nie zawsze wybaczyć, osądzić *sine ira et studio*. Jest to zresztą jej ogólna i podstawowa cecha w każdej wyrażonej w tej książce ocenie.

Nota-bene skoro wspominałem tu Miłosza, polecam każdemu przeczytanie kart poświęconych omówieniu twórczości i postaci tego pisarza — prawdziwie odrębne studium, wyznaczające po-

ziom całego dzieła. Podobnie wyznaczają ten poziom syntetyczny, zwięzły, a mimo tego zadziwiająco pełne omówienia całych dzieł książki, jak opis literackiego Londynu w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie, albo mała monografia londyńskich *Wiadomości* i osoby jej redaktora Grydzewskiego.

Na tym wolę skończyć tę krótką impresję głęboko zainteresowanego czytelnika. Jeżeli dałbym się wciągnąć w dalsze wymienianie godnych wzmianki elementów książki, znalazłbym się w gęstym lesie, z którego nie prędko zdołałbym się wydostać.

Wit TARNAWSKI

Plastyka Sidura

Nakładem wydawnictwa uniwersyteckiego w Konstancji ukazał się imponujący album reprodukcji prac Wadima Sidura*. Album zawiera sto siedemdziesiąt cztery fotografie rzeźb, grafiki, linorytów i rysunków tego płodnego i ciekawego artysty i poprzedzony jest kompetentną przedmową pióra K. Eimermachera — wykładowcy literatury rosyjskiej na uniwersytecie w Konstancji.

W planie tematycznym sztukę Sidura cechuje skłonność do podejmowania uniwersalnych, „wiecznych” motywów miłości, śmierci itd. zaś pod względem formalnym — stopniowa ewolucja od bardziej tradycyjnego realizmu ku sztuce deformacji i metaforycznego skrótu. W rzeźbie towarzyszy temu przejściu posługiwanie się takimi kategoriami kształtowania tworzywa artystycznego jak seria i cykl. Jeśli seria przedstawia rozwój linearny i podporządkowana jest zasadzie porządku chronologicznego, to cykl u Sidura jest osobliwą strukturą przestrzenną złączoną wspólną kręgą tematycznego. K. Eimermacher słusznie wskazuje, że plastyka Sidura nie jest zwykłą reakcją przeciw sztywnym kanonom realizmu socjalistycznego lecz *alternatywą*, nie odruchem, lecz konsekwentnym i przemyślanym programem artystycznym. Rzeźbiarz ten pragnie podjąć autentyczny dialog ze społeczeństwem. Wspomniałem o uniwersalizmie jego tematyki. Jest to uniwersalizm mocno osadzony w realiach współczesności, dotyczący spraw aktualnych pod każdą szerokością geograficzną (np. podjęcie tematu *baby boom*). Sztuka Sidura posiada wymowę dramatyczną; zamierzeniem artysty jest wywarcie wpływu na kształtowanie się wyobraźni i świadomości odbiorcy. Eimermacher nie posługuje się terminem „desydent”, lecz zalicza Sidura do „drugiej fali” awangardy rosyjskiej, która obejmuje lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte (pierwsza — to drugie i trzecie dziesięciolecie naszego wieku). Książkę zamyka obszerny zestaw bibliografii prac o Sidurze oraz wybór jego listów do przyjaciół.

Edward MOZEJKO

* Karl Eimermacher, *Vadim Sidur, Skulpturen. Graphik*. Fotos: Eduard Fladkow. Universitätsverlag Konstanz GmbH 1978, 116 s.

Nadesłane nowości wydawnicze

- PIAST (Rafał). *Dacza KGB*. Powieść dokumentalna. Str. 232. (Wyd. Polsko-Amerykańskie Legion, New York - New Jersey, 1978; cena Dol. 8,00 łącznie z kosztami przesyłki).
- LASOCKI (Wiesław S.). *Kajakiem przez ziemie wschodnie Rzeczypospolitej*. Ilustrował Otto Maciąg. Str. 182. (Wyd. Gryf Publication Ltd., Londyn, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, 1978).
- Z *Chrystusem idziemy przez życie*. Katechizm religii katolickiej część trzecia. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).
- Z *Chrystusem przetwarzamy świat*. Katechizm religii katolickiej część czwarta. Str. 142 i 8 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).
- Nous, dissidents. La dissidence en U.R.S.S., Pologne, Allemagne de l'Est, Tchécoslovaquie. Textes réunis par Natalya Gorbaniewskaya. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Recherches, Nr 34, Paryż, Octobre 1978).
- HERBERT (Zbigniew). *Mr Cogito*. Przekład z polskiego John i Bogdana Carpenter. Str. 24 (nienumerowanych). (Wyd. J. M. Gogol and R. A. Davies, *Mr. Cogito* Macena 3-ch numerów Dol. 3,00).
gazine, Volume IV, No 1, 1978;
- An Appeal — *End the Occupation of Czechoslovakia*. Str. 10 i 2 nlb. (Wyd. Council of Free Czechoslovakia, Washington, D.C., July 1978).
- KRYŃSKI (Magnus J.) i MAGUIRE (Robert A.) *Anna Świrszczyńska: Thirty-four Poems on the Warsaw Uprising*. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXII, No 3, 1977, str. 77-100, wyd. przez The Polish Institute of Arts and Sciences of America, Inc.).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *A Special Time*. Poemat przełożony z

polskiego przez Magnusa Jana Kryńskiego. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXIII, No 1, 1978).

KRYŃSKI (Magnus Jan). *Poland 1977: The Emergence of Uncensored Literature*. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXIII, No 2, 1978, str. 64-75).

MOSTWIN (Danuta). *Family Mental Health In a Pluralistic Society*. (Nadbitka z *Social Thought*, Spring 1978, str. 21-31).

Marian Bohusz. *Album*. Str. 158. (Wyd. The Drian Gallery, 1977 1st Impression, Londyn; cena £ 12).

Invincible Spirit. Art and Poetry of Ukrainian Women Political Prisoners in the USSR. Tekst ukraiński Bohdan Arey, tłumaczenie na angielski Bohdan Yassen. Str. 136. (Wyd. Smoloskyp Publishers, Baltimore - Chicago - Toronto - Paris, 1977; cena Dol. 30,00).

Information Bulletin No 1. Ukrainian Public Group to Promote the Implementation of the Helsinki Accords, Kiev, Ukraine. Tłumaczenie i redakcja Bohdan Yassen. Str. 24. (Wyd. Smoloskyp Publishers — seria *Documents of Ukrainian Samvydav*, No 1 (6), 1978, Ellicott City, Md.).

Three Philosophers — Political Prisoners in the Soviet Union. Tłumaczenie i redakcja Taras Zakydalsky. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. Smoloskyp Publishers — seria: *Documents of Ukrainian Samvydav* No 4, 1976, Baltimore Md.).

MOŻEJKO (Edward). *Der sozialistische Realismus — Theorie, Entwicklung und Versagen einer Literaturmethode*. Str. 306 i 2 nlb. (Seria: *Studien zur Germanistik, Anglistik und Komparatistik*, Band 54; wyd. Bouvier Verlag Herbert Grundmann, Bonn, 1977).

Humor krajowy

- Co robić kiedy wieje wiatr ze Wschodu?
— Wiać razem z nim...



Gierkowi śniły się kartofle. Nie wiedząc co by to mogło znaczyć, poszedł do wróżki. Wróżka pomyślała, spojrzała w szklaną kulę i orzekła: „Albo wykopią na jesieni, albo posadzą na wiosnę”...



- Co robi milicjant kiedy leży z uchem przytkniętym do chodnika?
— Słucha płyt...



- Dlaczego w Polsce zboże leży?
— Dlatego, że odpoczywa przed podróżą we wiadomym kierunku...



W Warszawie mówią, że kiedy Breżniew dowiedział się że kardynał Wojtyła został papieżem krzyknął ze złością: „Eh, ci Polacy, co za chytry naród! Jak tylko któremu pozwoli się na wyjazd za granicę na jakiś kongres — od razu znajduje sobie tam zajęcie!”



Na wiadomość, że kardynał Karol Wojtyła został papieżem, Polacy zawołali: „*Habemus Papam!* ale *non habemus papu...*”

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

12-9-78

Zmarł w Olsztynie, w wieku 74 lat, bp dr Józef Drzazga, ordynariusz warmiński, 46-ty z kolei biskup diecezji warmińskiej i jej pierwszy powojenny biskup rezydencjalny. ■ Na Litwie odbyły się dni Literatury Polskiej, które trwały do 19. 9. br. Brała w nich udział grupa pisarzy polskich z Jerzym Putramentem na czele.

20-9-78

300 Nigeryjczyków będzie się kształcić w polskich wyższych uczelniach na koszt rządu nigeryjskiego. ■ W Instytucie Badań Literackich PAN zakończono prace nad 4-tomową „Historią prasy polskiej”. Praca obejmuje okres od 1661 roku do końca drugiej wojny światowej. ■ Według ostatnich badań konsumpcja stali przez gospodarkę PRL jest o 40 % za wysoka. Japonia, która ma dwa razy wyższy dochód narodowy, zużywa tyle samo stali co PRL.

25-9-78

W Warszawie rozpoczęła się „Warszawska Jesień Poezji”. W „Jesieni” bierze udział ponad 100 poetów z kraju i z zagranicy. Główną nagrodę przyznano Ewie Boguckiej-Słaskiej z Gdańska za wiersz „Bezsenność”.

29-9-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 83 lat, Jan Parandowski, wybitny prozaik i eseista, tłumacz literatury klasycznej i francuskiej, prezes polskiego Pen-Clubu.

1-10-78

Ksiądz biskup Jerzy Stroba, ordynariusz szczecińsko-kamieński, został powołany na stolicę metropolitalną w Poznaniu.

3-10-78

W Nieborowie pod protektorem Uniwersytetu Warszawskiego i Wrocławskiego oraz Polskiej Akademii Nauk odbyło się kolokwium poświęcone Wolterowi i Rousseau z okazji 200-lecia ich śmierci. Wygłoszono na nim 24 referaty, i wzięło w nim udział ośmiu Francuzów i dwóch Belgów.

4-10-78

W Warszawie obradowała 165-ta konferencja plenarna Episkopatu polskiego. Z okazji 60-lecia odzyskania niepodległości biskupi zarządili, że w dniach 11-12 listopada br. we wszystkich kościołach, a nawet kaplicach zostaną odprawione specjalne nabożeństwa. Biskupi wyrazili zaniepokojenie, że mimo porozumienia Episkopatu z rządem PRL władze wojskowe nadal powołują do służby wojskowej alumnów, przyjętych do seminarium i że z powołanych do wojska alumnów tworzy się specjalne jednostki, w których próbuje się odciągnąć ich od kapłaństwa. Ponadto biskupi stwierdzili: „Władze państwowe nie mogą odmówić prawa do zakładania i utrzymywania różnorodnych, działających w łączności z hierarchią, stowarzyszeń katolickich, do prowadzenia działalności wydawniczej oraz do posiadania niezbędnego dla tych celów majątku. Administracyjne środki znajdujące się w rękach państwa nie mogą być używane do kierowania ich działalnością, przeciwstawiania lub podporządkowywania jednych stowarzyszeń innym i prób osiągania na tej drodze celów politycznych. Sami członkowie tych stowarzyszeń nie mogą się dać używać do realizacji takich zamierzeń”.

5-10-78

Tegoroczną nagrodę Nobla z dziedziny literatury otrzymał pisarz amerykański polsko-żydowskiego pochodzenia Issac Bashevis Singer. Singer urodził się w Radzyminie pod Warszawą 74 lat temu. Polskę opuścił w roku 1935. Mieszka stale w USA. Pisz w yiddisz i natychmiast jest tłumaczony na angielski. Wybitniejsze książki: „The Family Moskat”, „The Estate”, „Satan and Goray” i in. O ile nam wiadomo nie był nigdy tłumaczony na język polski. ■ Ekolodzy krajowi alarmują, że źródła pod Baranią Górą, z których wypływa Wisła, uległy poważnemu osłabieniu, a nawet miejscami wyschnięciu. Jest to spowodowane nieprzemyślanymi inwestycjami turystycznymi.

7-10-78

Przedstawiciel centrali farmaceutycznej „Cefarm” podaje w związku z ostrym brakiem lekarstw w Polsce, że „niedobory dotyczą 607 pozycji z 2.150 znajdujących się w obecnym lekospiisie”. ■ Warszawski *Kurier Polski* podaje: „... że tworzone są obecnie trzy rodzaje sklepów mięsnych. Pierwszy to sklepy specjalne, delikatesowe, których będzie 300-400 i poprzez które sprzedawana będzie jedna trzecia szlachetnych asortymentów mięsa i wędlin. W sklepach tych obowiązywać będą elastyczne zmiany cenowe, zbliżone do faktycznych kosztów produkcji mięsa, relatywne do aktualnych cen skupu. Drugim rodzajem będą sklepy mięsne o dotychczasowym charakterze, poprzez które — jak podaje autor — przechodzić będzie zasadnicza masa mięsa i wędlin na ogół poprzedniego asortymentu, sprzedawana po cenach normalnych, niższych niż w delikatesach. Trzeci rodzaj, to sklepy spożywczo-mięsne sprzedające standardowe, popularne, paczkowane rodzaje mięs i przetworów. ■ Absolwenci wyższych uczelni nie wypełniający obowiązku podjęcia zatrudnienia zgodnie z ustawą z 23 lutego 1964 roku (Dziennik Ustaw nr 8, poz. 48) obowiązani są zwrócić państwu koszty swego wykształcenia. Aktualne częściowe koszty studiów kształtują się następująco: biologia, chemia i fizyka uniwersytecka — 150 tys. zł. inne kierunki — 100 tys. zł.; wyższe szkoły techniczne i rolnicze — 125 tys. zł.; wyższe szkoły ekonomiczne kierunku inżynierijno-ekonomicznego i towaroznawstwo — 125 tys. zł.; pozostałe kierunki — 75 tys. zł.; wyższe szkoły pedagogiczne — 60 tys. zł.; akademie medyczne wydział lekarski — 185 tys. zł.; stomatologia — 145 tys. zł.; farmaceuci — 120 tys. zł.; wydziały pielęgniarstwa — 40 tys. zł. W szkołach artystycznych: muzycznych — 150 tys. zł., plastycznych — 160 tys. zł., teatralnych — 220 tys. zł., telewizyjnych i filmowych — 350 tys. zł., innych 150 tys. zł. W uczelniach sportowych — 130 tys. zł. Rozporządzenie obowiązuje od września br. ■ 396 mld. zł. oszczędności znajduje się w bankach. W PKO — 327 mld. zł., w Bankach Spółdzielczych — 69 mld. zł. Na jednego mieszkańca kraju przypada 11.400 zł. W ostatnim roku oszczędności wzrosły o 39 mld. zł.

8-10-78

We Wrocławiu została zakończona międzynarodowa Konferencja Intelktualistów. Brało w niej udział ponad 100 uczonych, ludzi kultury i sztuki z 78 krajów. Wrocławska konferencja jest przygotowaniem do Drugiego Światowego Kongresu Intelktualistów. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku lat 77, Aleksander Maliszewski, poeta, prozaik, dramaturg i tłumacz. Przed wojną członek grupy poetyckiej „Kwadruga”.

9-10-78

W Alei Zasłużonych na starych Powązkach w Warszawie odsłonięto płytę nagrobną Juliusza Poniatowskiego.

10-10-78

Prezesem Polskiego PEN-Clubu został znany literat Juliusz Żuławski. Jego poprzednik, Jan Parandowski, piastował tę funkcję przez 45 lat.

12-10-78

Zmarł w Poznaniu, w wieku lat 77, Kardynał Bolesław Filipiak. Przez szereg lat był on audytorem i dziekanem św. Roty Rzymskiej.

21-10-78

Ambasador PRL w Belgii, Stanisław Kociołek, został odwołany. Na jego miejsce przyszedł Jerzy Feliksiak, b. działacz ZMP, redaktor *Sztandaru Młodych* w latach 1959-1970, a więc w okresie najgorszym. St. Kociołek, który był mężem zaufania Gierka, musiał „zniknąć” po masakrze w Gdańsku, której był sprawcą. Prawdopodobnie obecnie uznano, że może powrócić do życia politycznego PZPR i wzmocnić, osłabioną obecnie, pozycję Gierka. Jak dotąd brak wiadomości jakie stanowisko obejmie w kraju.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18-8-78

Zmarł w Paryżu, w wieku lat 83, dr Leopold Jokiel; w latach 1928-39 lekarz Prezydenta RP, Ignacego Mościckiego, w czasie okupacji we Francji naczelnym lekarzem PCK i członek P.O.W.N. Zmarły odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Polonia Restituta, Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Niepodległości. *Kulturze* i wielu instytucjom emigracyjnym udzielał anonimowo pomocy pieniężnej.

9-9-78

W Zagrzebiu zakończył się VIII Międzynarodowy Kongres Słowistów. Na Kongresie wygłoszono około 1.000 referatów, z których 70 omawiało tematykę polską. Wśród prelegentów było 94 naukowców z Polski, 18 reprezentowało ośrodki zagraniczne — również z Kanady i Stanów Zjednoczonych.

15-9-78

W Editions Payot w Paryżu ukazała się książka Bronisława Baczko „Lumières et l'utopies”, a w wydawnictwie Calmann-Lévy książka Stanisława Lema „Le Rhume”. ■ W Örebro w Szwecji odbył się światowy kongres rehabilitacji psychiatrycznej, na którym dr Witold Parnas z Instytutu Psychiatrii Uniwersytetu w Odense w Danii wygłosił referat o socjologicznych i psychologicznych problemach uchodźców żydowsko-polskich (emigracja 1968-1971).

23-9-78

Zmarła w Nicei Elżbieta Walfisz, wdowa po wybitnym prawniku, przed wojną sędzią Sądu Najwyższego w Warszawie, Sewerynie Walfiszu — która brała czynny udział w życiu społecznym emigracji polskiej w Paryżu.

29-9-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Janusza St. Pasięry pt. „Kultura współczesna — zagrożenie i szansa dla Ewangelii”.

1-10-78

Zmarł w Londynie, w wieku 77 lat, Adam Ciołkosz, wybitny polityk i pisarz.

5-10-78

51-sze Walne Zgromadzenie L'Union des Français de l'Etranger uchwaliło ostatnio rezolucję stwierdzającą, że jest faktem godnym pożałowania, że audycje radia francuskiego przeznaczone dla Europy Wschodniej są nadawane tylko w języku francuskim. W tej sprawie od szeregu miesięcy krąży we francuskich sferach politycznych memoriał Jerzego Monda, wykładowcy w Institut Français de Presse — Université de Paris, stwierdzający że Francja spada obecnie w dziedzinie audycji radiowych dla zagranicy na 20-te miejsce w świecie. J. Mond proponuje przywrócenie audycji w językach narodów wschodnioeuropejskich z tym jednak, by programy były na wysokim poziomie intelektualnym. Przyczyną ich zlikwidowania w 1974 r. był fakt, że nie miały one dostatecznej liczby słuchaczy. Wynikało to z tego, że audycje te były poddawane bardzo ścisłej, przesadnej kontroli, tak że dla wschodnioeuropejczyków przestały być interesujące. ■ W Paryżu krąży pogłoski, że w najbliższym czasie Chiny mają uruchomić serię audycji radiowych dla Europy Wschodniej. Podobno mają one zasadniczo odbiegać od tonu Radio Tirana. *Nota-bene* w Polsce Radio Pekin jest bardzo dobrze słyszalne.

6-10-78

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało odczyt dr. inż. Tadeusza Lisickiego pt. „Polski wkład naukowo-techniczny do ostatniej wojny”.

13-10-78

Na uniwersytecie w Lizbonie miał miejsce VII Światowy Zjazd Psychiatrii Społecznej. Na Zjeździe prof. Jerzy Wojciechowski z Kanady wygłosił odczyt „Knowledge and the Contemporary Predicament”, zaś prof. A. Kawczak odczyt „Emotional Cognitive Structures from the Viewpoint of Positive Desintegration” (teoria prof. Dąbrowskiego). Ponadto wzięli udział w Zjeździe prof. Grygier i p. Sokołowska. Z PRL i innych krajów socjalistycznych nie było nikogo.

19-10-78

Ecco Press wydała nowy tom wierszy Czesława Miłosza pt. „Bells in Winter”. Jednocześnie w The Guggenheim Museum, staraniem The Academy of American Poets, odbył się wieczór autorski Miłosza, podczas którego czytał swoje wiersze, a po wieczorze podpisywał egzemplarze swojej książki. W *Times Literary Supplement* ukazała się wielka recenzja z wierszy Miłosza.

20-10-78

Została otwarta w Winterthur w Szwajcarii wystawa polskiej plastyki Barbary Borowieckiej, córki Władysława i Barbary Sieroszewskich.

21-10-78

W nr. 4/129 (1978) *Duszpasterza polskiego za granicą*, ukazującego się w Rzymie, który, jak nam wiadomo, jest organem bp. Rubina, ukazała się obszerna recenzja z książki ks. Józefa Warszawskiego, TJ „Studia nad wyznaniowością Marszałka Piłsudskiego”. (Wydana przez Towarzystwo im. Romana Dmowskiego w Londynie). Recenzja jest podpisana literkami O.W. Wymieniona książka to paszkwil z pozycji pseudoteologicznych, który spotkał się z ostrym potępieniem zarówno na emigracji (J. Łobodowski) jak i w kraju (A. Micewski). Tego rodzaju publicystyka jest może zrozumiała na łamach Stronnictwa Narodowego, gdzie książka w swoim czasie była drukowana, ale jest rzeczą zaskakującą, że pochlebna recenzja ukazała się

on Refugee. Pierwsza z nich załatwiła przyjmowanie dzieci polskich do Sacré Cœur bez wszelkich opłat; dziewczęta, które uczyły się w tej szkole i chłopcy, z podobnej, prowadzonej przez OO. Jezuitów, byli bardzo uzdolnieni i osiągnęli później poważne stanowiska (w ich gronie m.in. prof. Zbigniew Brzeziński, dr Schally który w br. otrzymał Nagrodę Nobla, J. Stachiewicz, dr Hanna Kwiecińska-Pappius, dr Maja Romer, dr Ewa Stachiewicz). Natomiast p. Mac Dowell ułatwiła imigrantom włączenie się do życia kanadyjskiego ułatwiając kontakty intelektualne, nawiązywanie osobistych stosunków itp. Obie Panie otrzymały Złoty Krzyż Zasługi z rąk przedstawiciela p. Ostrowskiego. To odznaczenie nastąpiło chyba z 30-letnim opóźnieniem.

KRONIKA SZWEDZKA

W Finlandii wzbudziły niepokój krytyczne wobec ZSSR programy, nadawane przez skandynawskie telewizje. Ponieważ istnieje projekt wspólnego skandynawskiego programu telewizyjnego *via* satelita, Finowie zaproponowali nordyckiej konferencji rady ministrów jego cenzurowanie w przyszłości. Większość uczestników konferencji, w której udział brali ministrowie oświaty, kultury i komunikacji, stoi jednak na stanowisku projektu pierwotnego czyli niecenzurowania siedmiu głównych programów nadawanych wprost. Poruszoną przez Finów sprawę przekazano komisji specjalnej, która ma opracować swój wniosek na 15 lipca 1979 roku.



Kjell Öberg, naczelny dyrektor Państwowego Urzędu Imigracyjnego, wyraził w wywiadzie prasowym poważne zaniepokojenie w obliczu fali ksenofobii, jaka rośnie w Szwecji. Wśród dzieci i młodzieży szkolnej daje się odczuwać niechęć do dzieci emigrantów. Zdaniem Öberga, uprzedzenia te są wynikiem rosnącego w Szwecji bezrobocia wśród młodzieży. Szczególny niepokój wywołała ankieta przeprowadzona wśród dzieci w Göteborgu, drugim co do wielkości mieście w Szwecji. Ankieta wykazała, że znaczny procent dzieci szwedzkich uważa emigrantów za „obrzydlivych”, a Szwedów za „dobrze wychowanych i miłych”. Öberg ostrzegł, że jeżeli nie przeprowadzi się zawczasu akcji uświadamiającej na szeroką skalę, i jeżeli nie będzie się walczyć z bezrobociem wśród młodzieży, konflikty między ludnością szwedzką a emigrantami okazały się nieuniknione. Przed wojną Szwecja nie znała prawie emigracji zarobkowej czy politycznej. Znikoma była ilość zamieszkałych w Szwecji cudzoziemców, względnie obywateli szwedzkich obcego pochodzenia. Obecnie aż 10 % ludności szwedzkiej jest pochodzenia obcego: przede wszystkim Finowie, po nich (w kolejności) Duńczycy, Jugosłowianie, Grecy, Turcy. Osób pochodzących z Polski jest już w Szwecji kilkanaście tysięcy. Większość emigrantów to ludzie młodzi, wobec czego co czwarte dziecko urodzone obecnie w Szwecji ma nie szwedzkich rodziców. W roku 2000 co drugie dziecko będzie miało rodziców urodzonych nie w Szwecji. Urząd Imigracyjny, w swoim wniosku do rządu, nalega by przyspieszono proces zrównania praw i sytuacji emigrantów z rdzenną ludnością. Rosnące w Szwecji bezrobocie oraz przedłużający się kryzys gospodarczy zmuszają władze do coraz większego zaostrzenia przepisów, które regulują osiedlanie się cudzoziemców w Szwecji. Emigrować dzisiaj do Szwecji mogą w zasadzie ludzie mający podstawy do powoływania się na Konwencję Genewską, czyli ci którym w kraju pochodzenia grożą bardzo poważne prześladowania. Poza tym udziela się zezwolenia na emigrację do Szwecji w wypadkach łączenia rodzin. Rodzeństwo nie wchodzi tu w rach-

bę. Przepis dotyczy łączenia dzieci z rodzicami, oraz łączenia rozdzielonych małżeństw. W celu szybszego załatwiania rosnących jak lawina podań o stały pobyt w Szwecji, Urząd Imigracyjny domaga się znacznego podwyższenia swego budżetu. Postulat jest bardzo ważny, jego realizacja pozwoliłaby, naszym zdaniem, uniknąć wielu osobistych tragedii. Często odstawiano przymusowo do kraju pochodzenia ludzi po rocznym czy dwuletnim pobycie w Szwecji, gdy zdążyli już zapuścić w Szwecji korzenie, względnie byli w posiadaniu paszportów, których ważność już wygasła. Pociągało to nieraz za sobą represje władz w krajach pochodzenia. W takich wypadkach władze szwedzkie wykazywały często humanitarną wyrozumiałość, przyznając azyl osobom, które trudno było uważać za uchodźców politycznych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Począwszy od 15 lipca br. procedura załatwiania podań została już przyspieszona; wiele podań Polaków o stały pobyt i prawo pracy odrzucono w obu powołanych do tego instancjach.

Norbert ŻABA

„MŁODZI Z POSKIEM”

Pod tym hasłem 13 organizacji młodzieżowych i studenckich z terenu Wielkiej Brytanii rozpoczęło akcję propagandową i zbiórkową na rzecz ośrodka społeczno-kulturalnego mieszczącego się w Londynie.

Od lat ośrodek skupia pod jednym dachem szereg polskich placówek: nigdy nie rozproszonych po całym mieście. Funkcjonuje już Biblioteka, Instytut, kawiarnia jak i tzw. Posk-klub. Jednakże program pełnej działalności POSK'u zakładał również istnienie własnego teatru jak i sal wystawowych. Niestety inflacja funta sterlinga nie tylko uniemożliwiła realizację tych zamierzeń, ale także spłacenie w całości pożyczek bankowych.

Wspólny apel do bratnich organizacji oraz do społeczeństwa polskiego na całym świecie o zapisywanie się na członków i fundatorów POSK'u i o niestawianie w hojnym popieraniu Ośrodka podpisali:

Polski Ośrodek Młodzieżowy; Akademicki Związek Sportowy; Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”; Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej; Klub „Pomidor”; Koło Byłych Wychowanków Junackiej Szkoły Kadetów na Środkowym Wschodzie; Młodzieżowy Klub „Millenium”; Polska YMCA; Teatr „Syrena”; Warsztat Teatralny Grupy „Pro Arte”; Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii; Związek Harcerstwa Polskiego; Związek Polskich Klubów Sportowych w Wielkiej Brytanii.

Listy do Redakcji

NIEDOSŁOWNE IGRASZKI

Lekkomysłnie machający piórem K. Zbyszewski przypisuje mi: twierdzenie, że język polski jest antysemicki, uraz do wszystkiego co polskie, a nawet — złudzenia słuchowe. W artykule pt. „Słowne igraszki” (*Dziennik Polski* nr 205 z 31. VIII. br.) pisze on, że ja, „H. Grynberg, laureat *Wiadomości*”, słyszę w słowach: brzydki, obrzydliwy, nieużyteczny, pasożyt, przeżytek — dźwięk „żyd”. Skąd K. Zbyszewski wie, co H. Grynberg słyszy? Tego z artykułu się nie dowiadujemy, ale domyślam się, że chodzi o fragmenty mojej nowej powieści „Życie osobiste” z lipcowo-sierpniowego numeru *Kultury*, gdzie (str. 71-72) narrator, główna postać opowieści, zastanawia się nad przejawami antysemityzmu u dzieci, w PRL-owskich miasteczkach, u malców, którzy prawdziwego Żyda nie widzieli na oczy. Narrator obwinia Greków o to, że w opowieściach o Jezusie Chrystusie nazwali zdrającą „Judaszem” od hebrajskiego imienia „Jehuda”, które oznacza Judeę, Judejczyka i w ogóle Żyda. Narrator przypuszcza też, że niemiecki antysemityzm jest pobudzany tym, że po niemiecku Żyd brzmi „Jude”, co się właśnie kojarzy z Judaszem. Może więc, zastanawia się narrator, i polskie dzieci ulegają tego rodzaju skojarzeniom, bo po polsku „judasz” w drzwiach symbolizuje nieufność i brzydkie są słowa „judzić” i „podjudzać”, a dźwięk „Żyd” jest słyszalny w takich słowach, jak: brzydki, brzydota, obrzydzenie, obrzydzać, obrzydliwość. Nigdzie w książce nie jest powiedziane, że narrator, który ma wiele obsesji, to jest H. Grynberg, i nigdzie nie twierdzi się, że „język polski jest antysemicki”, a tylko, że ma pewne przypadkowe skojarzenia dźwiękowe. Zresztą cała ta teoria narratora jest zaraz potem podana w wątpliwość na przykładzie języka słowackiego, który takich skojarzeń nie zawiera, a „nikt z hitlerowskich sojuszników nie wykazał tyle inicjatywy i energii w zatracaniu Żydów, co niepodległe i ultra-chrześcijańskie państwo Słowaków”. Poza tym nigdzie nie przytoczyłem słów „nieużyteczny”, ani „przeżytek”, i w żaden sposób nie mogę tam usłyszeć dźwięku „żyd” (Zbyszewski podaje go z małej litery). Musiałoby to raczej brzmieć „nieużydeczny” i „przeżydek”, nie mówiąc już o tym, że ja zawsze słyszę „Żyd”, a nie „żyd”. Wszystko zależy widocznie od tego, kto słucha, jak w dowcipie żydowskim wszystko zależy od tego, kto opowiada...

Po wyrwaniu rzeczy z kontekstu, przekręceniu treści, przytoczeniu nieużytych (czy może „nieużytych”) przeze mnie słów i wypaczeniu ich sensu autor tych „igraszek” w nieoczekiwany dla logiki sposób konkluduje, że ja — w przeciwieństwie do Szymona Laksa z Paryża, który „przeżył Auschwitz i napisał o nim bardzo dobrą książkę” — mam „uraz do wszystkiego co polskie”. Czy to ma znaczyć, że ja przeżyłem okupację w idyllicznych warunkach i nigdy o tym nie napisałem dobrej książki, czy autorowi chodzi może o pochwalenie innego „żyda” dla higieny psychicznej i żeby nikt go nie posądził o antysemityzm?

Nie tylko nie mam urazu, ale nawet lubię moją całkiem polską żonę Krystynę Walczakównę, z którą mam dwoje jasnowłosych i jasnoocich dzieci (pań, które poznałem przed ślubem, z braku miejsca tu nie wymienię), lubię też ogromnie posługiwać się polskim językiem, a moi czytelnicy mieli

w ciągu ostatnich dwudziestu lat sporo okazji, żeby to zauważyć. Natomiast mam uraz do ludzi, którzy nie potrafią odczytać prostego polskiego tekstu, ani przytoczyć go w rzetelny sposób, a publicznie się o nim wypowiadają, przypisując innym głupotę i chorobliwe urazy.

W artykule Zbyszewskiego nie brak i innych pochopnych twierdzeń, a nawet przepowiedni, np. że prof. Doroszewski „bardzo prędko będzie klasyfikowany jako nieuk i jego książki pójdą na śmietnik”. Czy włącznie z 10-ciotomowym „Słownikiem Języka Polskiego”? Poczekamy, przekonamy się. Dla mnie zaczepki Zbyszewskiego są już „nieużytecznym przeżytkiem”, świadczącym o urazach wciąż jeszcze tkwiących w nim samym... Z dobrze poinformowanych źródeł wiem również, że ma m.in. uraz na punkcie nagrody *Wiadomości*.

Henryk GRYNBERG

Lund, 18 października 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z nadaną w telewizji szwedzkiej audycją pt. „Varför är de farliga” („Dlaczego są niebezpieczni”), chciałbym przeprosić polskich widzów i wyjaśnić pewne nieporozumienia. Współpracowałem przy przygotowaniu tego programu zbierając i omawiając statystyki obywateli szwedzkich niewpuszczonych do Polski. Wielokrotnie dyskutowaliśmy z realizującym program Bengtem Göranssonem samą koncepcję audycji, a moja rola w programie polegać miała na ukazaniu kontrastu między nieliczną grupą politycznie aktywnych emigrantów a znakomitą większością niewpuszczanych, gdzie jedynym kryterium jest pochodzenie.

Mój pogląd na kwestię antysemityzmu władz PRL wyłożyłem w artykule pt. „Polen... du gamla du fria”, opublikowany m w *Sydsvenska Dagbladet* z dnia 1 października br. Podobne myśli zawierała moja koncepcja programu zakupiona przez redakcję TV w Malmö.

Oświadczam, że nie byłem obecny przy montażu audycji, a z wywiadu ze mną wycięte zostały istotne fragmenty mojej wypowiedzi. W sprawie tej audycji zwróciłem się już do kierownictwa szwedzkiego radia i telewizji, żądając publicznej dyskusji w studio na jej temat. Samego Bengta Göranssona znam od szeregu lat i współpracowałem przy przygotowywaniu większości jego audycji o Polsce. Znając jego prywatne poglądy nie oczekiwałem z jego strony nielojalności. Będąc specjalistą od spraw Europy Wschodniej, a mając zakaz wjazdu do ZSSR, Czechosłowacji i NRD, postanowił widocznie zostawić sobie furtkę do Polski. Szkoda, że robi to za cenę mówienia pół prawd wygodnych dla reżymu w PRL.

Z poważaniem,

Andrzej KORASZEWSKI

DEPESZA

Paryż, 17 października 1978.

Do Redaktora *Kultury*

Russkaja Mysl wyraża kolegom z *Kultury* swoją głęboką radość z powodu wyniesienia kardynała Karola Wojtyły na tron papieski.

Dowiadujemy się, że m.in. Mscisław Rostropowicz i Galina Wiśniewska wysłali 18. 10. 78 telegram do papieża Jana Pawła II treści następującej: „Wasza Świętość, wybranie Waszej Świętości na tron papieski dodaje nam nowych sił i nadziei w naszym życiu niełatwym. Rodzina nasza

przepełniona jest radością, zachwytem i życzeniami szczęścia dla Waszej Świętobliwości.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Artykuł Brukselczyka pt. „Między rozumem a brzegiem pucharu”, zamieszczony w nr. 7/8 *Kultury* z br., spowodował falę protestów i oburzeń Polonii Argentynskiej. Niezależnie od potępiającej rezolucji 52-go Sejmiku Związku Polaków w Argentynie zaprottestowała p. Danuta Mittelstaedt Franciska listem z października br., p. E. Gavel przysłał list protestujący bez daty, podpisany przez kilkadziesiąt osób, których nazwisk niestety nie możemy podać, gdyż większość jest nieczytelna, oraz p. J. Nosel z Monheim (RFN) — zapewne znawca stosunków południowo-amerykańskich.

Listów tych nie zamieszczamy, gdyż wszystkie powtarzają dokładnie te same zarzuty, które znajdowały się w liście Związku Polaków w Argentynie. Artykuł Brukselczyka w październikowej *Kulturze*, który przytacza prawie w całości list Związku Polaków w Argentynie, jest, naszym zdaniem, wyczerpującą odpowiedzią na wszystkie zarzuty.

Julian Wielgosz, Willowdale (Kanada). — List Pana z 8. 10. br., protestującego przeciwko listowi p. Chileckiego (*Kultura*, wrzesień 1978), nie zamieszcimy, tak jak nie zamieszciliśmy listu p. J. Rozwadowskiego. List p. Chileckiego wydrukowaliśmy jedynie dlatego, że nie zamieścił go *Związkowiec*, do którego był skierowany. Ponieważ p. Chilecki nie dysponuje żadną trybuną, a pisuje często do *Kultury*, uważaliśmy za słusne udzielenie mu miejsca. Nie zamierzamy jednak kontynuować tej polemiki zarówno z braku miejsca, jak i ze względu na ton, jaki przybiera.

Al. Bak. — Listu nie zamieszcimy.

M. W. Bronx. — Wierszy nie zamieszcimy — słabe.

K. Z. H., New York. — Nie zamieszcimy.

Wydział Stanowy Kongresu Polonii Amerykańskiej w Waszyngtonie — w związku z notą we wrześniowej *Kulturze* pt. „Widmo Katynia” — przysłał oświadczenie biorące w obronę Głosu Ameryki podając, że „Nie widzi żadnych podstaw do kwestionowania uczciwości, zawodowej etyki i patriotyzmu kierownictwa polskiej sekcji Głosu Ameryki”. W związku z powyższą notą p. Andrzej Pomian z Waszyngtonu bierze w obronę Feliksa Bronieckiego „człowieka wyjątkowo prawego i dobrego Polaka, który został skrzywdzony”. Z kolei p. V. Walery Starczewski z Waszyngtonu także wziął w obronę p. Bronieckiego.

Jesteśmy ciekawi czy wyżej wymieniona instytucja i osoby próbowały sprostować artykuł w *The Globe* z 6. 7. br., na którym była oparta nota pt. „Widmo Katynia”?

SPROSTOWANIE

W mojej korespondencji z Rzymu w nrze 9 *Kultury*, na str. 34/35 wypadło w korekcie szereg słów co zniekształciło treść zdania, które powinno brzmieć następująco: „W ten sposób episkopat zdezawuował zarzut stawiany przez 'neo-Znak' i innych zacietrzewionych, kolaboranckich zwolenników

ideologii chrześcijańsko-społecznej, przeciw zespołowi *Tygodnika Powszechnego*, że 'nie stoi na gruncie' lub wręcz zwalcza katolicką naukę społeczną (którą identyfikują z programem chadeckim, co stanowi pomieszczenie dwóch odmiennych kategorii pojęciowych)”. Dodaję i precyzuję: zespół *Tygodnika Powszechnego* słusznie przeciwstawia się chadeckim aspiracjom grupy „neo-Znak”, uważając je za przejaw niebezpiecznego mętniactwa i świadomego dezinformowania opinii zachodniej. W warunkach polskich bowiem rekonstrukcja ewentualnego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego musiałaby skończyć się tragiczną farsą, podobnie jak w Pradze i Berlinie Wschodnim, gdzie istnieją satelickie partie chadeckie.

Dominik MORAWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F.75,00.

(Dalszy ciąg Wpłaty ze str. 2)

WPLATY NA ROPCio

Tadeusz Błazewski, Waterbury, Conn. (USA)	F. 42,00
B. B. S. — na apel „Konfederacji 76”	F. 42,00
Tadeusz Dziekanowski, Newark, N.J. (USA) — na apel „Konfederacji 76”	F. 105,00
Horezgaz Władysław, New Jersey, N.J. (USA)	F. 42,00
Henryk Korzenko, Bridgeport, Conn. (USA)	F. 42,00
Marian Orłowski, z N.Y. — na apel „Konfederacji 76”	F. 42,00
Polish Workers Relief Committee — Polish American Congress, Inc., Illinois Division	F. 1680,00
Henryk Szuster z N.J. — na apel „Konfederacji 76”	F. 42,00
Zebrane na balu Komitetu Parady Pułaskiego w Newark, N.J. (USA)	F. 176,40
Bezimiennie z Bergen (Norwegia)	F. 200,00

WPLATY NA PPN

K. z Polski — żołnierz AK — zamiast kwiatów na grób mego dowódcy, gen. Bora Komorowskiego	F. 50,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — dla uczczenia pamięci zmarłego w Australii Andrzeja Chciuka	F. 100,00

STOWARZYSZENIE POLSKIEJ KULTURY W AUSTRII
Klub i Czytelnia SPK

czynne od wielu lat zapraszają turystów, mieszkańców Wiednia polskiego pochodzenia i uchodźców oczekujących na dalszą emigrację.

Adres Klubu i Czytelni:

WIEN IV, SCHELLEINGASSE 2.
Tel.: 65 04 212.

Czynny od środy do niedzieli od godz. 18-tej.

Adres Zarządu:

WIEN I, POSTGASSE 14/2.
Tel.: 63 65 23.

Od poniedziałka do piątku w godzinach od 7-mej do 16-tej.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1978.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Dakling House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlattergasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA: O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen. Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tél. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowlec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00	\$ Can. 26,00	\$ Can. 50,00
NIEMCY: St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 9,00	D.M. 50,00	D.M. 90,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8888; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; J. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA, Bookstore, 2888 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 469-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 1, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ stg. 2,15	\$ stg. 12,00	\$ stg. 22,50
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
WLOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”

JACEK KUROŃ

ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.

TOM 297 — JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

BYŁO TAK

Wznowienie wydanej w Kraju przed wojną *literackiej historii Polski* od zarania dziejów do śmierci Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Książka ta, w której nasza historia podana jest na kanwie najważniejszych wydarzeń światowych, wydaje nam się godna przypomnienia w chwili kiedy Polska święci 60-lecie odzyskania Niepodległości.

Str. 200.

Cena F. 45,00.

TOM 298 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY SZÓSTY

Zawiera m.in. prace: M. Danilewicz Zielińskiej — *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej*; J. Drewnowskiego — *Władza a opozycja*; Wł. Żeleńskiego — *Zabójstwo Pierackiego i rozrachunki polsko-ukraińskie*; ks. inf. T. Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia* (2); Z. Baua — *35-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku*; oraz bogaty dział POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

(Zeszyt 46-ty ukaze się w drugiej połowie listopada)

W końcu listopada ukaze się również III-ci i ostatni tom

GŁÓWNYCH NURTÓW MARKSIZMU
LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

omawiający najbliższy nam okres tj. m.in. Stalinizm, Trockizm.